nexto.pl
LEKTURY

JOSEPH
RUDYARD
KIPLING

KSIĘGA DŻUNGLI

Rudyard Kipling

Księga dżungli

Publikacja zrealizowana w ramach projektu WolneLektury.pl

Konwersja:

Przedmowa

Zazwyczaj, gdy się pojawia książka tego rodzaju, specjaliści zasypują autora nader hojnie pytaniami, skąd czerpał materiał. Toteż na wstępie czynię zadość ich ciekawości i śpieszę z wyjaśnieniem oraz podziękowaniem dla mych łaskawych informatorów.

W pierwszej linii poczuwam się do gorącej wdzięczności wobec czcigodnego, uczonego i zasłużonego Bahadur Szacha, słonia jucznego Rządu Indyjskiego, zarejestrowanego w spisie pod liczbą 174, który wraz z uroczą swą towarzyszką, genialną Pudmini, dostarczył mi mnóstwo nieocenionych szczegółów do ustępu pt. *Tumaj, przyjaciel słoni*. Szczegóły owe weszły także do opowieści pt. *W służbie królowej*.

Opowieść pt. *Bracia małego Maul* powstała na podstawie danych zebranych w różnych czasach i miejscach, otrzymanych od mnóstwa cnych P. T. informatorów, którzy pragną zachować jak najściślejsze inkognito.

W tym miejscu winien jeszcze autor wyrazić hołd swój pewnemu hinduskiemu dżentelmenowi, którego rezydencja mieści się na stromych lesistych szczytach gór Jakko. Śpieszę tedy wyrazić mu swą, uszczypliwą może nieco, estymę, wymownie kreśląc podziwu godne cechy charakterystyczne jego rasy, zaprawdę bardzo starej, którą nazwałbym — prezbiteriańską.

Ogromnie dużo zawdzięczam również mędrcowi — *Sachi* — owemu niezmordowanemu w badaniach i przemyślnemu jeżozwierzowi, członkowi rozproszonego niedawno szczepu ludów seeoneeńskich. Ten dzielny artysta, który węszył wszędzie i wycierał wszystkie kąty, zaznajomił mnie z wieloma lokalnymi sprawami południowych Indii. Wraz ze swym mistrzem zwiedzał on wielką połać kraju, pociągnięty urokiem, pięknością i rodzinną kulturą wielu wiosek i osiedli i odeń to

otrzymałem mnóstwo ważnych wiadomości odnośnie do ludowych zwyczajów i obyczajów.

Dużo z nich weszło do opowiadania pt. *Na Tygrysa, Łowy węża Kaa* oraz *Bracia małego Mauli*.

Odnośnie do ustępu *Riki-tiki-tavi* autor oświadcza, że wszystko winien jest uprzejmości jednego z najwybitniejszych herpetologów Górnych Indii, nieustraszonemu badaczowi, którego hasłem jest „żyć to wiedzieć". Ów nieśmiertelnej sławy, samoistny mędrzec poświęcał nieraz swe życie, kierując się tą maksymą przy badaniu naszych wschodnich tenatofidii („jadowitych").

Szczęśliwy przypadek w podróży sprawił również, że autor, jadąc statkiem „Cesarzowa Indii", miał za współpasażera pewnego maleńkiego informatora. Ile wziął odeń nieocenionych szczegółów, sam czytelnik osądzić zechce, przeglądając opowiadanie pt. *Biała foka*.

Bracia małego Mauli

Noc nadchodzi, to pora łupów sępa Chila
I nietoperza Manga, i innego zwierza.
Ludy dżungli bój zaczną lub wznowią przymierza,
Bo nadszedł czas turnieju, wielka łowów chwila.
Walczcież dzielnie, o ludy, póki dzień nie wstawa,
Szanując jednak wiernie stare dżungli prawa.

(Nocna pobudka ostępu)

Skwarny to był wieczór, kiedy około siódmej przebudził się wilk-ojciec, śpiący dotąd w jaskini na płaskowzgórzu Seeonee położonej i zaczął przeciągać powoli, z namysłem łapy, chcąc wygnać rozleniwienie senne i przywrócić gibkość kończynom. Matka-wilczyca leżała z nosem utkwionym w czeredę czworga wilcząt, które ruszały się niespokojnie, piszcząc. Przez otwór wejściowy jamy zaglądała pyzata twarz miesiąca.

— Uu! — mruknął wilk — Czas na polowanie!

Właśnie chciał ruszyć na łowy, gdy nagle w wejściu zjawił się cień jakowegoś małego stworzenia o puszystym ogonie i zaskowyczał głos:

— Szczęśliw bądź zawsze, o wielki wodzu wilków! Niech ci się darzą dziatki, niech mają ogromne białe kły i niech w sercu swym nie zapomną nigdy o nieszczęsnym głodomorze!

Głos ten wydawał szakal, zwany Tabaki-pieczeniarz. Marną ową stworą gardzą zazwyczaj wilki dżungli Hindostanu, bowiem jest to natrętny gałgan, wywołuje intrygi, plotkuje, wadzi jedne rody zwierząt z innymi, a przy tym żywi się wstrętnymi odpadkami po śmietnikach wiejskich, pożerając nawet szmaty i kawałki rzemieni. Jednocześnie zwierzęta obawiają się szakala-pieczeniarza, popada on bowiem łatwo we wściekliznę, a w takim razie porzuca wrodzoną tchórzliwość, biega po całym lesie i kąsa każde stworzenie, jakie dosięgnąć

może. Staje się tak straszny, że sam nawet tygrys zmyka przed nim, wścieklizna bowiem to największa hańba, jaka spaść może na zwierzę dżungli. Zwą ją one — *devanee*, czyli szaleństwem i chronią się przed owym złem na wszelkie sposoby.

— Wejdź i poszukaj! — odparł oschle wilk-ojciec — Chociaż, o ile wiem, nie ma tutaj żadnego pożywienia.

— Naturalnie! — rzekł przypochlebnie Tabaki — Nie ma może jadła godnego wilka, ale mizerota jak ja, zadowoli się byle jaką kosteczką! Czyliż nam — *gidurlogom* (ludowi szakali) — wolno przebierać i w pożywieniu?

Zaczął węszyć i niebawem wygrzebał gdzieś w kącie sarnią kostkę z odrobiną mięsa. Przykucnął i zaczął smacznie zajadać.

— Bardzo dziękuję za tak gościnny poczęstunek! — zawołał mlaszcząc językiem — Ach! Co za uroczy młodzieńcy! — dodał, patrząc na młode wilczki — Jakże bystre mają oczy i to w tak młodym wieku! Hm… hm… prawda… dzieci władcy dorastają bardzo prędko!

Tabaki wiedział dobrze, że nie należy chwalić dzieci w oczy. Uczynił to jednak, by nasycić się zakłopotaniem wilka i wilczycy. Przez chwilę siedział cicho, rozkoszując się złośliwą uwagą swoją, potem zaś rzekł:

— Wielki Shere Khan przenosi się na inne miejsce. Słyszałem, że od najbliższego nowiu zacznie tutaj polować.

Shere Khan, wielki tygrys, mieszkał dotąd nad rzeką Wajgungą, odległą o jakichś dwadzieścia mil[1].

— Nie wolno mu uczynić tego! — zawarczał wilk gniewnie — Prawa dżungli zabraniają nachodzenia cudzych obszarów łowieckich bez zawiadomienia i pozwolenia właścicieli. Przepłoszy nam zwierzynę w obrębie przynajmniej dziesięciu mil i to jak na złość właśnie teraz, gdy ja muszę polować za dwoje.

— Matka moja — rzekła łagodnie wilczyca — słusznie zwała go „kuternogą”… *lungri*… Od małego utyka na jedną łapę i dlatego poluje tylko na bydło domowe. Musiał pewnie doprowadzić do wściekłości farmerów znad Wajgungi, ucieka

przed nimi i zjawia się, by tutaj uczynić to samo. Oczywiście niebawem przetrząsną w poszukiwaniu za nim całą dżunglę. Zapewne ucieknie, ale mściwi ludzie podpalą trawę i my i dzieci nasze będziemy się musieli również wynosić. To wszystko zawdzięczać będziemy przeklętemu Shere Khanowi.

— Czy mam mu powiedzieć, jakie dlań żywicie uczucia? — spytał Tabaki.

— Milcz! — szczeknął wilk gwałtownie — Wynoś mi się stąd razem z twym kulawym chlebodawcą! Dość łajdactw i tak narobiłeś dziś!

Tabaki odrzekł spokojnie:

— Idę. Mogłem, co prawda, oszczędzić sobie przynoszenia wam wieści, bo oto, jak sami słyszycie, zapewne Shere Khan przybył osobiście i siedzi w pobliskich zaroślach.

Wilk nastawił uszu.

Od strony łąki zbiegającej w dół ku strumieniowi doleciał wrzask gniewny, donośny podrażnionego tygrysa, który chybił w skoku na zdobycz i nic sobie nie robi z tego, że dowie się o jego porażce cała dżungla.

— Dureń — powiedział wilk — Któż zaczyna robotę od takiego krzyku? Czy sądzi, że nasze jelenie są podobne do jego spasionych byków znad Wajgungi?

Przerwała mu wilczyca:

— Cicho bądź! Nie na wołu ni jelenia poluje on tej nocy, ale na człowieka!

Ryk tygrysa przemienił się w pomruk, a głos dolatywał nie z jednego punktu, ale jakby zewsząd. Jest to sztuczka znana dobrze, a wprawia w takie osłupienie ludzi spędzających noc w dżungli i tak ich myli, że często chcąc uciekać, sami wpadają tygrysowi w szpony.

— Poluje na człowieka? — zdziwił się wilk, szczerząc kły — Czyż tedy zabrakło już glist i żab w bagniskach, że zabiera się do ludzi i to w dodatku na naszym obszarze?

Słuszne i mądre prawa dżungli wzbraniają zwierzętom zabijać człowieka. Dozwolone to jest tylko, gdy idzie o

pokazanie dzieciom, jak należy walczyć z ludźmi, a i wówczas polowanie takie musi się odbywać z dala od rodzimego lasu, poza terytorium gminy własnej, czy rodu. Prawo to uzasadnione jest względami natury praktycznej. Zamordowanie człowieka wywołuje niechybnie najście na dżunglę ludzi białych, z karabinami, siedzących na słoniach, otoczonych krajowcami uzbrojonymi w hałaśliwe gongi, pochodnie i inne straszne przyrządy. Gdy taka czereda zwali się do lasu, źle się dzieje mieszkańcom dziewiczych borów. Zwierzęta tłumaczą sobie owo prawo inaczej. Nie przystoi, powiadają, dzielnemu łowcy uganiać się za człowiekiem, który jest najsłabszym ze stworzeń i nie posiada naturalnych narządów obrony. W dodatku ponoć wszyscy zjadacze ludzi parszywieją rychło i wypadają im zęby.

Pomruk tygrysi rósł coraz bardziej, aż przemienił się w potężny okrzyk bojowy. Widocznie zwierz rzucił się na zdobycz.

Ale niezwłocznie zabrzmiało przeraźliwe, naprawdę niegodne tygrysa wycie Shere Khana.

— Nie powiodło mu się coś! — powiedziała wilczyca.

Wilk-ojciec wychylił się z jamy i usłyszał wyraźnie dziki pomruk gniewu i warczenie Shere Khana miotającego się w zaroślach.

— Niedołęga. Skoczył na ognisko rozłożone przez drwali i poparzył sobie łapy. Tabaki jest przy nim.

— Ktoś idzie wzgórzem! — powiedziała wilczyca, nastawiając jedno ucho — Uważaj!

W zaroślach rozległ się trzask gałęzi. Wilk zebrał się w sobie i złożył do skoku. Szkoda, drodzy czytelnicy, że nie mogliście widzieć, co się teraz stało. Oto wilk-ojciec odrzucił się od ziemi potężnie i cisnął wprzód całe ciało, ale nagle wywinął się prosto w górę, podleciał jak ptak w powietrze na kilka stóp i spadł na to samo niemal miejsce. Zatrzymał się tedy w skoku, zmieniwszy zamiar.

— To człowiek! — warknął ze złością — Maleńki człowiek! Popatrz no, matko!

Zobaczyli tuż przed sobą małego brunatnego chłopczynę, wspartego na kijku. Był tłusty, nagusieńki i stąpał z trudem niemałym. Naprawdę, nic chyba podobnego nie zjawiło się dotąd w wilczym osiedlu. Malec stał już przed wilkiem z podniesioną głowiną i śmiał się w najlepsze.

— To ma być człowiek? — zdziwiła się wilczyca — Nie widziałam nigdy takiego człowieka! Przynieś go do jamy.

Wilki, nawykłe przenosić swe małe, umieją to czynić tak delikatnie, że mogłyby wziąć w paszczę jajko, nie uszkadzając go. Toteż, mimo że zęby zwierzęcia objęły małe ciałko, nie zadrasnęły skóry dziecka, które za chwilę leżało pośród wilcząt u łona karmicielki.

— Jaki ładniutki! Jaki golutki! Jaki śmiały! — dziwowała się wilczyca.

Dziecko szukało wolnej sutki u ciepłej piersi przybranej matki.

— Ho… ho… jaki mądry! Zabiera się do ssania! Więc to jest małe szczeniątko ludzkie? Chyba nie ma na świecie drugiej wilczycy, która by się mogła poszczycić takim wychowankiem!

— Podobno stało się tak już raz, doszły mnie słuchy, ale nie zdarzyło się to ani w rodzie naszym, ani w tych czasach! — powiedział ojciec poważnie — Jest goły, słaby, mógłbym go po prostu rozdeptać nogą, a jednak patrzy mi prosto w oczy, nie odczuwając strachu.

W tej chwili zaćmiło się wejście do jamy, albowiem cały otwór wypełnił olbrzymi, kanciasty łeb i potworny kark Shere Khana. Tygrys starał się wcisnąć do środka, a Tabaki stojący za nim skomlił:

— Władco dżungli, malec tutaj się schował!

— Co widzę? To Shere Khan! — zawołał wilk-ojciec, błyskając wściekle oczyma — Wielki to dla mnie zaszczyt! Czego życzysz sobie, kuternogo?

— Oddaj mi łup! Mały człowiek schował się tutaj… Oddaj mi go zaraz!

Shere Khan rzeczywiście poparzył sobie łapy, skoczywszy na ognisko drwali, a przeto popadł w wielką wściekłość. Nie obawiał go się jednak ojciec-wilk, wiedząc dobrze, że dla tygrysa otwór jamy jest za szczupły. Tkwił on też w nim głową i karkiem i nie mógł się ruszać podobnie, jak by nie mógł występować zaczepnie człowiek wtłoczony w beczułkę.

— Wilki są wolnym ludem! — zawołał ojciec-wilk — Słuchają tylko wodza własnego rodu, nie robią sobie natomiast nic z bydłobójców, choćby byli pomalowani w pręgi. Mały człowiek jest naszym łupem i zrobimy z nim, co nam się spodoba!

— Ho… ho…! — zaryczał tygrys — Cóż to za głupie przechwałki! Czyż mam tkwić nosem w tej śmierdzącej budzie? Oddaj mi natychmiast co moje! Słyszysz, parszywy psie? Shere Khan do ciebie mówi!

Głos tygrysa roztętnił się donośnie w jamie. Matka-wilczyca zerwała się z posłania, poskoczyła ku napastnikowi, utopiła świecące niby księżyce ślepia w rozgorzałych źrenicach jego i zawarczała:

— Słuchaj, *lungri*, słuchaj, kuternogo, tego co ci powiem ja, *raksha*, wilczyca, zwana szatanem. Mały człowiek jest mój, będzie żył i na złość tobie będzie polował razem z naszym rodem. Przekonasz się, skrytobójco, pożeraczu niemowląt, łowco zdechłych ryb i śmierdzących żab, że niedługo ten malec rozpocznie polowanie na ciebie! Wynoś mi się precz! Słyszysz? Inaczej klnę się na sambhura, którego dziś upolowałam, — nie żywię się bowiem jak ty padliną — że będziesz zmykał za chwilę, oparzony niedołęgo, kulejąc lepiej jeszcze, jak to czynisz od chwili, kiedy cię matka na świat wydała. Wynoś mi się stąd zaraz, powiadam!

Wilk-ojciec spojrzał ze zdumieniem. Wspomniał one czasy, kiedy zdobył swą żonę w uczciwej, a zaciekłej walce z pięciu rywalami. Nie darmo zyskała ona czasu wypraw łowieckich całego rodu miano szatana, czyli *rakshy*. Zmiarkował to snadź

i Shere Khan, że nie da rady wilczycy, zwłaszcza w danej sytuacji, bo będzie walczyła do upadłego. Wycofał się tedy z ciasnego otworu, a poczuwszy się na wolnej przestrzeni, warknął zaciekle:

— Każdy pies śmiały jest na własnym śmietniku! Przekonamy się, co powie ród wasz o tym głupim pomyśle hodowania człowieka w wilczej jamie. Malec jest mój i prędzej czy później wpadnie w moją paszczę! Zapamiętajcie to sobie, złodzieje o puszystych ogonach!

Wilczyca wróciła do małych, pomrukując z irytacji, a wilk-ojciec rzekł poważnie:

— Muszę przyznać słuszność Shere Khanowi. Należy malca pokazać rodowi. Czy chcesz go naprawdę chować, matko?

Oburzyła się.

— Po cóż pytasz o to? Przywlókł się tutaj sam jeden biedny, naguteńki, mrący głodem i nie bał się wcale. Odepchnął jedno z moich małych i ssie. Ten drab byłby go porwał i zaniósł nad Wajgungę, a tymczasem ludzie naszych okolic urządziliby wielką obławę, mszcząc śmierć malca. Ładnie byśmy wyglądali wszyscy! Naturalnie, zatrzymam go w jamie. Leż sobie mój maleńki, mój *Mauli*, moja droga żabko! Przyjdzie czas, że zapolujesz na kulawego Shere Khana, jak on polował na ciebie.

— Zobaczymy, co powie rada! — zauważył wilk-ojciec.

Wedle praw dżungli każdy wilk pojąwszy żonę, żyje osobno w swej jamie, ale skoro jego wilczęta podrosną na tyle, że mogą biegać, winien przywieść je na zgromadzenie rady, odbywające się raz w miesiącu przy pełni księżyca. Ma to na celu stwierdzenie ich tożsamości i nadanie praw rodu, którego stają się członkami. Po oględzinach młode wilczki udają się do rodziców, żyją z nimi, wzrastają i dopóki nie upolują pierwszej sarny, żadnemu wilkowi z tego samego rodu nie wolno ich zaczepiać ani ranić. Prawo to nie zna łaski i wilk, który by zabił młodzieńca, zostaje natychmiast ukarany śmiercią na miejscu czynu. Każdy chyba przyzna, że prawo to jest mądre i słuszne.

Gdy wilczęta zaczęły już biegać, wilk-ojciec i wilczyca-matka zaprowadzili je wraz z Maulim-żabką na Skałę Rady, czyli otoczony złomami skalnymi wierzchołek wzgórza, gdzie było dość miejsca dla obrad stu wilków co najmniej.

Na płaskim bloku skalnym, pośrodku wzgórza leżał wyciągnięty wielki, siwy już wilk-samotnik, tak silny, sprytny i mądry, że został obrany naczelnikiem rodu. Wokół niego przysiadło około czterdzieści wilków różnej wielkości i maści. Byli tam weterani o sierści przypominającej borsuka, tak potężni, że w pojedynkę zarzynali z łatwością rosłe jelenie dżungli, a obok nich widniały czarniawe, trzyletnie wilczury, zadzierżyste i butne, pewne, że potrafią dokazać tejże samej sztuki. Akela-samotnik już od roku był naczelnikiem rodu. W życiu zdarzyło mu się niejedno, kilka razy wpadał do dołu najeżonego palami, był tak zbity kijami, że porzucono go jako trupa, toteż posiadał wiele doświadczenia i znał się na podstępach i chytrości ludzi.

Rozprawy na Skale Rady były bardzo zwięzłe. Wokół zasiedli rodzice wilcząt, które igrały wesoło pośrodku. Od czasu do czasu zbliżał się do tej gromadki starszy wilk, przyglądał się bacznie to temu, to innemu malcowi, a potem wracał w milczeniu na swoje miejsce. Czasem któraś z matek wysuwała swe dziecko na środek zalanej księżycowym światłem polanki, by nie zostało przypadkiem pominięte. Akela leżał na swym głazie i powtarzał raz po raz:

— Znacie prawo… znacie je dobrze! Badajcież tedy dobrze, o wilki!

Matki powtarzały wołanie niespokojnymi głosami:

— Badajcież uważnie… badajcież uważnie, o wilki!

Matka-wilczyca uczuła, że grzywa jeży jej się na karku, gdy mąż wysunął Mauli-żabkę na środek koła. Malec rzucił się zaraz ze śmiechem na ziemię i zaczął skwapliwie zbierać iskrzące się w świetle, połyskliwe krzemienie.

Akela leżał dalej spokojnie z łbem pomiędzy łapami i naszczekiwał monotonnie:

— Badajcie uważnie, o wilki!

Nagle spoza skalnych złomów doleciał głuchy ryk tygrysa.

— Malec jest moim łupem! Oddajcie mi go natychmiast. Cóż wolnemu rodowi po małym człowieku?

Akela nie potrząsnął nawet uszyma. Powtarzał dalej swoje:

— Badajcież uważnie, o wilki! Wolny ród nie słucha innych rozkazów ponad własne prawo! Badajcież dobrze, o wilki!

Rozległy się wokół szemrania, a któryś z młodych wilków zwrócił się do Akeli i powtórzył pytanie Shere Khana:

— Cóż wolnemu rodowi po małym człowieku?

Prawo dżungli powiada, że w razie sporu, czy młode szczenię ma należeć do rodu, czy nie, o tej jego przynależności rozstrzygają dwa głosy przychylne członków rodu, oczywiście z pominięciem głosów rodziców.

— Kto głosuje za małym człowiekiem? — spytał Akela — Kto spośród członków wolnego rodu chce, by przyjąć ludzkie szczenię do gromady?

Zaległa cisza. Matka-wilczyca uczuła, że musi stoczyć teraz walkę, a zarazem, że będzie to ostatnia walka w jej życiu.

Naraz ozwał się ciężki, spasły, brunatny niedźwiedź Balu, jedyny obcy przypuszczony do rodu, wykładający wilczętom prawo dżungli. Balu wszędzie był mile widziany, albowiem nie spierał się z nikim o łup, żywił się miodem dzikich barci, orzechami i korzonkami.

— Ja daję głos za małym człowiekiem! Ja głosuję za szczenięciem ludzkim! Cóż nam złego może uczynić Mauli-żabka? Nie mam daru wymowy, ale mówię prawdę. Pozwólcie mu pozostać pośród gromady wilków, ja zaś będę go uczył praw dżungli.

— To głos jeden! — powiedział Akela — Któż daje głos drugi? Balu, nauczyciel dzieci naszych, oświadczył się za szczenięciem ludzkim, któż spośród rodu przyłącza się do jego zdania?

Wtem cień jakiś zamajaczył na zalanej światłem polance. Była to Bagera, pantera czarna. Sierść jej kruczej barwy, w

pełnym, księżycowym świetle łyskała srebrnymi cętkami, niby mieniący się jedwab czarny. Wszyscy znali Bagerę i spośród całego rodu żaden wilk nie ośmieliłby się stawać wbrew jej zamysłom. Była przebiegła jak Tabaki, popędliwa jak dziki bawół, a nieustraszona jak ranny słoń. Natomiast słodki jej głos przypominał patokę cieknącą po pniach drzew z dzikich barci leśnych, a włos przewyższał miękkością puch najdelikatniejszy.

— Czcigodny Akelo i wy członkowie wolnego ludu wilków! — powiedziała — Co prawda nie przystoi mi zabierać głosu w waszym zespole. Atoli ogólne prawo dżungli powiada, że jeśli idzie o spór, dotyczący niedorostka, jakiegokolwiek bądź narodu puszczy, wolno o losie jego i życiu wyrokować za pomocą okupu. Tak mówi prawo, nie objaśnia zaś komu wolno okup ten złożyć. Tedy nie jest zabronione, by członek jednego rodu składał okup za członka rodu innego! Czy nie mam racji?

— Masz rację! Najzupełniejszą rację! — wrzasnęła czereda młodych, wiecznie głodnych wilków.

— Słuchajmy Bagery! — ozwali się wszyscy — Szczenię ludzkie może zostać okupione! Prawo wyraźnie zezwala na to!

— Nie mam prawa głosować w waszym rodzie! — powiedziała Bagera — Proszę was o pozwolenie przemawiania w tej sprawie.

— Mów! Mów!— wrzasnęło całe zgromadzenie.

— Jest to rzeczą nikczemną mordować nagie, bezbronne szczenię. Zważcież przy tym, że gdy malec podrośnie i utyje, stanie się znacznie lepszym kąskiem. Balu głosował za tym, by żył w waszym rodzie, ja głosuję za pomocą okupu, dodając do jego głosu młodego, tłustego bawołu, którego przed chwilą zadusiłam o małe pół milki stąd. Spożyjcież go ze smakiem, ale proszę, przyjmijcie małe ludzkie szczenię, wedle prawa, do swego rodu. Sądzę, że nic temu nie stoi na przeszkodzie?

Zaczęły się burzliwe narady, na ogół jednak przychylne dla malca.

— Mniejsza z tym! Zginie i tak czasu pory deszczowej! Zginie od żaru słońca w lecie! Cóż nam szkodzić może ta goła żaba?

Niech sobie biega z wilkami! Gdzież ten bawół, Bagero! Pokaż nam! Trzeba przyjąć okup!

Pośród tego rozbrzmiewało nieustanne naszczekiwanie Akeli:

— Badajcie dobrze, o wilki! Badajcie dobrze!

Malec pozostał zupełnie obojętny na to wszystko, nie zważał wcale na wilki, które go przychodziły oglądać i bawił się kamykami.

Za chwilę całe zgromadzenie udało się na poszukiwanie bawołu, a na Skale Rady pozostali tylko Akela, Bagera, Balu i sprzymierzone z Maulim wilki. Shere Khan porykiwał w dali, rozgniewany porażką i niemożnością odzyskania swego łupu.

— Wyj sobie, wyj! — szydziła Bagera. — Znam się na ludziach i pewna jestem, że ten malec zmusi cię do skomlenia z innego zgoła tonu.

— Rad jestem, że się tak stało! — powiedział Akela. — Ludzie, to przemyślne stworzenia. Ten malec może nam się nieraz przydać.

— Tak … Tak — odrzekła Bagera — może się bardzo przydać, zwłaszcza, że nikt nie może łudzić się, iż panowanie jego nad rodem trwać będzie w nieskończoność.

Zmilkł Akela. Przez myśl mu przeszło, że może niedaleki już dzień, kiedy zostanie zabity przez wilki jako stary i niedołężny wódz, by ustąpić miejsca innemu, który po pewnym czasie dozna tego samego losu.

— Zabierz go z sobą — rzekł do wilka-ojca — i wychowuj, jak przystało kształcić członka wolnego ludu!

Mauli-żabka został w ten sposób przyjęty do rodu wilków seeoneeńskich, okupiony bawołem oraz życzliwym wstawiennictwem mądrego Balu.

Musicie, czytelnicy, przerzucić się myślą przez okres jakichś lat dziesięciu czy jedenastu i w wyobraźni tylko własnej przedstawić sobie ów dziwny żywot małego Mauli pośród wilków, gdyż, chcąc wszystko opisać, musiałbym stworzyć mnóstwo książek.

Wychowywał się razem z wilczętami, które jednak, jak to łatwo zrozumieć, wyrosły na stare wilki, gdy tymczasem on był ciągle jeszcze małym chłopcem. Wilk-ojciec wyuczył go, jak się ma starać o żywność oraz tłumaczył mu wszystko, co go otaczało w dżungli. Z czasem zrozumiał, co znaczy najlżejsze drgnienie źdźbła trawy, powiew ciepłego wiatru w nocy, krzyk sowy w dziupli drzewa, szmer na korze pnia, spowodowany przez przysiadającego na chwilę nietoperza lub pluśnięcie rybki w wodzie. Te wszystkie odgłosy poznał dokładnie i zaznajomił się z nimi tak dobrze, jak człowiek z codziennymi swymi zajęciami zawodowymi.

Gdy się nie uczył, grzał się na słońcu i spał, potem szukał pożywienia i zasypiał znowu. Gdy czuł, że jest brudny lub że mu gorąco, zanurzał się w jednej z leśnych sadzawek, a chcąc dobrać się do miodu, którego spożywanie wraz z orzechami zalecił mu Balu i który mu smakował nieraz lepiej niż surowe mięso — wdrapywał się poń na drzewa. Tej to sztuki wyuczyła go Bagera. Siedząc na gałęzi, wabiła go do siebie, a Mauli wspinał się w górę, zrazu niezdarnie jak opasły rosomak, potem jednak, nabrawszy wprawy, hulał pośród gałęzi, niby płowa małpa.

Miał swe miejsce na Skale Rady podczas zebrań wilków i przy jednej z takich sposobności uczynił odkrycie, że wystarczy mu spojrzeć bystro w oczy któremuś z wilków, by go zmusić do odwrócenia głowy. Robił też nieraz przysługi swym przyjaciołom, wyciągał im z kudłów ciernie, co jest rzeczą niemałą, bowiem takie drobne, nikłe, kłujące kolce dokuczają bardzo zwierzętom. Nieraz w nocy udawał się w dolinę ku polom uprawnym i spozierał z ciekawością na mieszkania ludzi. Ale nie miał do nich zaufania od kiedy Bagera pokazała mu w lesie paść ukrytą zręcznie pośród gęstwiny. Było to pudło czworoboczne z zapadającym się pomostem, przeznaczone do łapania dzikich zwierząt i Mauli omalże nie wstąpił na zdradziecką deskę. Najbardziej atoli lubił kryć się wraz z panterą na całe dni w niedostępnych oczeretach puszczy i spać

tam godzinami aż do wieczora. Gdy słońce zaszło, Bagera rozpoczynała łowy, a chłopiec przypatrywał się i uczył od niej. Pantera polowała na wszystką zwierzynę, podług zachcianki czy podniety głodu. Mauli czynił to samo, z pewnym jednak zastrzeżeniem. Unikał zabijania bawołów, bowiem od chwili, kiedy zaczął pojmować, wiedział od przyjaciółki, iż życie jego okupione zostało ofiarą bawołu.

— Wszystko w dżungli jest twoje! — nauczała go Bagera, — Polować możesz na każde stworzenie, któremu podołasz siłami. Ale przez pamięć tego bawołu, którym zostałeś okupiony, nie zabijaj członków owego rodu, ani nie jedz ich mięsa. Tak nakazuje prawo puszczy!

Mauli pilnie przestrzegał owego prawa.

Rósł, mężniał i stał się silny, zresztą inaczej nie mogło stać się z chłopcem, który nie chodził do szkoły, nie męczył się niczym, a dbał tylko o to, by miał co jeść.

Matka-wilczyca powtarzała mu ze swej strony, by nie dowierzał Shere Khanowi, który jest jego wrogiem. Wiedział od niej, że przyjdzie dzień, w którym będzie musiał zabić tygrysa i gdyby był młodym wilkiem, nie zapomniałby niezawodnie o tym obowiązku. Uleciało mu to jednak rychło z głowy, albowiem był tylko chłopcem, chociaż nazwałby się niewątpliwie sam wilkiem, gdyby umiał myśl swą wyrazić w jakimkolwiek narzeczu ludzkim.

Ale Shere Khan nie zapomniał o nim wcale. W miarę jak stary Akela, naczelnik, niedołężniał z wiekiem, kulawy tygrys nawiązywał coraz to bliższe stosunki z młodszymi wilkami rodu, wodził je za sobą i karmił resztkami upolowanej zwierzyny. Gdyby Akela był w pełni sił i mógł wymusić poszanowanie praw obowiązujących, nie byłoby nigdy doszło do tego. Shere Khan schlebiał głupim młodzikom, wychwalał ich piękność i podburzał je przeciwko Akeli, dziwując się niby, że tylu dzielnych, mądrych wojowników znakomitego rodu może podlegać władzy starego samotnika i gołego szczenięcia ludzkiego.

— Słyszałem — mawiał tygrys chytrze — że podczas obrad nie ma z was żaden odwagi spojrzeć mu w oczy!

Młode wilki warczały groźnie i jeżyły sierść, gdyż wstyd im było tej niższości swojej.

Bagera miała słuch niezrównany i dowiedziała się, jak sprawa stoi, toteż nieraz przypominała z naciskiem Maulemu, że pora skończyć z Shere Khanem. Ale chłopak śmiał się niefrasobliwie i odpowiadał:

— Mam po swojej stronie większość poważnych członków rodu, wreszcie ty i Balu, chociaż leniwy, nie będzie szczędził pazurów w mej obronie, nie potrzebuję się tedy niczego lękać!

Pewnego dnia przyszło to znów na myśl Bagerze, a może podszepnęła jej nowinę jeżatka *sahi* wałęsająca się wszędzie. Siedziała wraz z Maulim zaszyta w największą gęstwę boru, a chłopiec spoczywał z głową opartą o jej czarne futro.

— Wspomnij — powiedziała mu — ile razy ostrzegałam cię przed kulawym bydłobójcą!

— Tyle razy chyba, ile orzechów jest na tym drzewie! — odrzekł Mauli, który naturalnie nie umiał rachować — Ale cóż stąd wynika? Nie boję się, spać mi się chce, a z Shere Khana robię sobie tyle, co z krzykliwego pawia Mora!

— Nie czas teraz na spanie! Sprawa jest ważna! Wiem o tym, wie Balu, wie cały ród, cała puszcza, nie wyłączając nawet głupich żubrów. Wszakże nawet Tabaki mówił ci niedawno…

— Tak! — zawołał Mauli. — Przed paru dniami przyszedł do mnie śmierdzący szakal i zaczął natrząsać się z mej nagości oraz twierdził, że nie potrafię nawet znaleźć trufli pod ziemią, do czego zdolny jest każdy odyniec. Wobec tego schwyciłem głuptaka za kitę, okręciłem w kółko i grzmotnąłem nim kilka razy o pień gojawy, by go przyuczyć lepszych obyczajów.

— Głupstwoś zrobił! — odrzekła pantera — Tabaki jest drab, ale miał ci właśnie powiedzieć coś, co cię obchodzić powinno. Uważaj na to, co mówię, Mauli! Shere Khan nie ma odwagi rozszarpać cię w ostępie, uknuł jednak spisek. Wie, że Akela zestarzał się i niebawem przestanie być naczelnikiem stada,

taki sam los spotkał też ową większość rady, która zgodziła się na twe przyjęcie, zaś młode wilki są przezeń pozyskane i uważają, że nie ma miejsca pośród ich rodu dla człowieka. Przy tym wyrosłeś już i niebawem zostaniesz mężczyzną.

— Czyż dorosłemu mężczyźnie ma być wzbronione to, co wolno chłopcu? — spytał — Czyż nie przestrzegałem praw dżungli i nie żyłem w niej? Nie ma ni jednego wilka, któremu bym nie wyciągał cierni z łap i grzywy, wszyscy oni są mymi braćmi!

Bagera przeciągnęła się, przymknęła oczy i powiedziała:

— Bracie, dotknij dłonią mej szyi pod dolną szczęką!

Mauli sięgnął pod delikatny podbródek pantery, nad którym łyskały potężne, śnieżnej białości kły i znalazł niewielki, ogołocony z włosów kawałek skóry.

— W całej dżungli nikt nie wie, że noszę na szyi ten znak. To ślad obroży. Tak, mój mały, urodziłam się pośród ludzi, a matka moja zmarła w królewskim zwierzyńcu w Udajporze. Dlatego to dałam za ciebie okup wówczas na Skale Rady, kiedy byłeś nagim szczenięciem ludzkim. Urodziłam się pośród ludzi i za młodu nie wiedziałam nawet, co znaczy dżungla. Chowałam się w wielkiej okratowanej klatce. Pewnej jednak nocy poczułam, że jestem Bagerą, panterą czarną, nie stworzoną na to, by stanowić zabawkę dla ludzi. Rozerwałam nędzną, słabą zaporę i uciekłam. I dlatego to, że poznałam sposoby ludzkie, stałam się potężna w puszczy, groźniejsza od Shere Khana…

— Tak! — odrzekł — Cała dżungla drży przed Bagerą z wyjątkiem mnie jednego!

— Tyś człowiek… tyś mój brat! — powiedziała pantera pieszczotliwie — Ale podobnie jak ja wrócić musiałam do swoich, tak i ty, Mauli, wrócić musisz do braci swych, ludzi. Wrócisz, o ile cię przedtem nie uśmiercą na Skale Rady… — dodała smętnie.

— Czemuż by mnie miano uśmiercić? — spytał.

— Spójrz mi w oczy!

Mauli spojrzał jej bystro w ślepie, a po chwil pantera odwróciła głowę.

— Dlatego właśnie! — rzekła Bagera, kładąc jedną łapę na drugą — Widzisz, że nawet ja, urodzona pośród ludzi i mimo że cię kocham, nie mogę znieść twego spojrzenia. Toteż nienawidzą cię oni, nie mogąc znieść tego, że jesteś rozumny, że umiesz wyciągać ciernie z ich łap i że jesteś człowiekiem.

— Nie wiedziałem wcale o tym, — odparł zasępiony Mauli.

— Pamiętasz, co powiada prawo dżungli? Wprzód się rzucaj na zdobycz, potem zaś głos wydawaj. Tak robią oni, ale ty tego nie wiesz, jesteś bowiem człowiekiem. Tedy miej się na baczności. Akela coraz bardziej niedołężnieje, a wiem, że za pierwszym jego większym niepowodzeniem całe stado zwróci się przeciw tobie i przeciw mnie. Zwołają zgromadzenie… a wówczas…

Bagera zamyśliła się na chwilę, potem zaś wykrzyknęła raźnie, zrywając się na nogi:

— Mam sposób! Pobiegnij niezwłocznie do siedzib ludzkich i przynieś trochę szkarłatnego kwiecia, które oni hodują. Gdy nadejdzie groźna chwila, stanie ci się ono nierównie lepszą osłoną niż ja, Balu i wszyscy życzliwi członkowie rodu. Powiadam ci, nie trać czasu i śpiesz po szkarłatne kwiecie.

Bagera miała na myśli ogień, ale dzikie zwierzęta tak bardzo boją się ognia, że nie mają odwagi nazwać go po imieniu. Najpotężniejsze nawet szukają przeróżnych określeń dla oddania tego pojęcia, lękając się wypowiedzieć właściwego słowa.

— Znam dobrze szkarłatne kwiecie! — powiedział Mauli — Zakwita we wnętrzu chat albo na placu wioskowym, gdy się ściemni. Pójdę poń zaraz!

— Mówisz, jak przystało człowiekowi! — zawołała zadowolona pantera — Nie zapomnij tylko, że kwiecie to rośnie w małych, glinianych garnuszkach. Porwij jeden z nich i schowaj do chwili, kiedy ci będzie potrzebne.

— Dobrze! Idę już!— powiedział Mauli, a potem spytał, otaczając pieszczotliwie ramieniem kark Bagery i patrząc jej w oczy: — Powiedz mi szczerze, czy pewna jesteś, że wszystkiemu temu winien jest Shere Khan?

— Przysięgam na owe strzaskane kraty, które mi dały wolność, że tak jest naprawdę! — krzyknęła.

— Tedy przysięgam na tego bawołu, który mi okupił życie — zawołał Mauli — że się wywdzięczę sumiennie Shere Khanowi, a nawet wypłacę mu dług z większą nawiązką niż się spodziewa.

To powiedziawszy, pobiegł ku równi w podskokach.

— To dzielny człowiek! — mruknęła do siebie pantera, wyciągając się na trawie — Jestem pewna, że skutki owych łowów, jakie przed jedenastu laty urządził kuternoga na małą żabkę ludzką, będą dlań fatalne.

Mauli szedł szybko lasem, kroczył pewnie i zwinnie, a serce jego uderzało pośpiesznym tętnem. Mgły wieczorne zaczęły pełzać po trawach, gdy znalazł się w pobliżu wilczej nory. Stanął, odetchnął i spojrzał ku dolinie. Młodych wilków nie zastał, ale matka-wilczyca poznała z falowania jego piersi, że coś dolegać musi jej drogiemu wychowankowi.

— Co ci to, synaczku? — spytała.

— Nic, nic — odrzekł — nietoperze naplotły mi głupstw o Shere Khanie. Idę teraz, matko, na łowy na uprawnych polach.

Zanurzył się w gęstwinie, zmierzając upłazem góry ku rzece. Po chwili atoli zatrzymał się, albowiem uszu jego dobiegł pogłos polującego stada wilków. Posłyszał trwożliwy bek i chrapanie osaczonego w kniei jelenia oraz pisk i złośliwy poszczek wilków szydzących ze swego naczelnika.

— Pokaż moc swoją, Akelo! Pokaż co umiesz, samotniku! Puszczajcie wodza, niech zdławi sambhura.

Prawdopodobnie Akela chybił w skoku, bo Mauli posłyszał skowyt jego żałośliwy. Widocznie jeleń obalił go na ziemię uderzeniem przednich nóg.

Nie słuchając, pobiegł dalej, a w miarę jak dżungla pozostawała za nim, milkły i cichły krzyki i hałasy.

— Bagera ma słuszność! — mruknął do siebie, zakopując się w stertę siana, tuż pod oknami jednej z chat stojącą. — Jutro przyjdzie do porachunku z Akelą i ze mną.

Po pewnym czasie wylazł, przytknął twarz do szyby i wpatrzył się w ogień na kominie płonący. Spostrzegł, że wieśniaczka wstawała w nocy i podsycała ognisko, dorzucając doń naręcze gałęzi. Ledwo zaczął szarzeć świt, zobaczył małego chłopca, który wziął koszyk z wikliny, wylepiony wewnątrz gliną, nałożył weń jarzących węgli, osłonił płótnem i wypędził bawoły z obory, udając się z nimi na paszę.

— To całkiem prosta sprawa! — powiedział do siebie — Skoro dziecko radzi sobie z tym tak łatwo, to i ja nie mam się czego obawiać.

Skoczył zza węgła chaty i zabiegłszy drogę malcowi, wyrwał mu z ręki koszyk błyskawicznym ruchem. Potem, jak duch, znikł we mgle, a mały pastuszek wrzeszczał z przerażenia, jakby go obdzierano ze skóry.

— Ludzie podobni są zupełnie do mnie! — zauważył Mauli, śpiesząc do lasu — Muszę jednak pilnować szkarłatnego kwiecia — dodał po chwili — jak to czyniła owa wieśniaczka, gdyż inaczej zginie niezawodnie.

Położył na węglach garść gałązek i kilka kawałków suchej kory, a kwiecie szkarłatne wykwitło niebawem ponad czerwonymi węglami.

Zanim dosięgnął szczytu pierwszego wzgórza spotkał Bagerę, na której futrze perliły się błyszczące krople rosy.

— Akela przegrał sprawę! — powiedziała mu — Nie byłby przeżył nocy, ale wilki wstrzymały się, chcąc jednocześnie skończyć z tobą. Szukano cię po całej dżungli.

— Wracam z pól uprawnych! — odrzekł — jestem przygotowany! Patrz!

Pokazał jej pełen żaru koszyk.

— To dobrze! — powiedziała — Słyszałam, że ludzie wkładają w to suchą gałąź i zaraz wykwita na niej kwiecie szkarłatne. Czy ty się nie boisz tego, Mauli?

— Czegóż miałbym się bać! Przypominam sobie nawet po trochu, że kiedyś, dawno, zanim zostałem wilkiem, sypiałem przy krzaku szkarłatnego kwiecia i było mi ciepło.

Mauli spędził cały dzień w norze, czuwając nad koszykiem i karmiąc pilnie płomień suszem i korą. Gdy wieczór zapadł, wyszukał sobie dużą gałąź, a gdy zjawił się Tabaki, wzywając go bezczelnie szyderczym głosem na Skałę Rady, przyjął go tak, że szakal uciekł przerażony, wziąwszy kitę pod siebie. Udał się na zebranie wesoły i śmiał się po drodze.

Na Skale Rady Akela leżał obok swego głazu na znak, że miejsce naczelnika jest opróżnione, a Shere Khan przechadzał się poważnie tu i tam, otoczony gromadą młodych wilków, które nasycił resztkami zabitej zdobyczy. Mauli usiadł, wziąwszy między kolana koszyk, a obok niego położyła się Bagera. Gdy się wszyscy zeszli, zabrał głos tygrys, co było niesłychanym naruszeniem prawa, niedopuszczalnym za czasów sprawiedliwych rządów Akeli.

— Nie ma prawa mówić! — mruknęła pantera. — Powiedz mu to! Jest tchórzem, przeto przelęknie się!

Mauli zerwał się.

— Powiedzcież, wilki! — zawołał — Czy Shere Khan jest naszym wodzem? Czemu ten kuternoga wtrąca się do obrad wolnego ludu?

— Miejsce wodza jest opróżnione! — powiedział tygrys. — Zresztą proszono mnie, bym przemawiał!

— Kto cię prosił? — wrzasnął Mauli. — Nie jesteśmy szakalami, bydłobójco, by płaszczyć się przed mordercą. Stado samo sobą tylko rządzić może!

Rozległy się wycia:

— Milcz, ludzkie szczenię!

— Pozwólcie mu mówić! — odezwało się kilka głosów — On jest przyjęty do stada i pełnił nasze prawa!

Wreszcie warknęły gromko stare wilki:

— Niech przemawia wilk umarły!

Miano umarłego nosi naczelnik, złożony z urzędu, któremu wymknęła się zdobycz i niedługo też czeka zazwyczaj na śmierć swoją.

Akela podniósł siwy łeb i powiedział ponuro:

— Wolny ludu i wy szakale Shere Khana, słuchajcie! Przez lat dwanaście przywodziłem na łowach i odprowadzałem stado do domu, a przez cały czas powodziło wam się dobrze. Żaden nie wpadł w sidła, żaden ran ciężkich nie odniósł. Teraz, co prawda, chybiłem sambhura, ale wiecież jak uknuto ten haniebny podstęp? Oto wygoniono na mnie jelenia silnego, wypoczętego, nie zgoniwszy go poprzednio, jak należy zawsze czynić na łowach, a uczyniono to w tym celu, by niedołęstwo me wykazać. Zasadzka chytrze została urządzona. Prawdą jest, że prawo pozwala wam zabić mnie, ale to samo prawo pozwala mi żądać, by każdy pojedynczo występował do walki. Pytam tedy który z was ma odwagę zadać cios samotnikowi? Chodźcie, jestem gotów!

Zaległa cisza. Jakoś nikomu nie śpieszyło się walczyć na śmierć i życie z Akelą.

Wtem ryknął Shere Khan:

— Dajmy pokój temu bezzębnemu starowinie, a pomyślmy wprzód co czynić z tym gołym człowiekiem, który żyje za długo. Wolny ludu, jest on moim łupem wedle słuszności i wedle praw puszczy. Żądam jego zwrotu! Trzeba raz wreszcie skończyć tę głupią farsę z człowiekiem-wilkiem. Przez więcej niż dziesięć lat z jego powodu nie było spokoju w dżungli. Oddajcie mi go, inaczej będę polował wiecznie w tych okolicach i nie zostawię dla nikogo ni jednego ochłapa. Pamiętajcie, że jest to ludzkie szczenię, któremu poprzysiągłem zemstę i słowa dotrzymam!

A większość stada zawyła zgodnie:

— To człowiek! Człowiek! Cóż może mieć wspólnego z człowiekiem wolny naród wilków? Niech się zaraz wynosi do ludzi, do siebie podobnych!

— Jak to? — wrzasnął tygrys — Dopuścicież, by odszedł stąd żywy? Czyż chcecie, by podburzył mieszkańców wsi przeciwko nam? Nie pozwolę na to! Oddajcie mi tego człowieka, któremu żaden z was nie śmie spojrzeć w oczy!

Akela podniósł znowu głowę i powiedział:

— Jest przyjęty do stada! Jadał wraz z nami! Sypiał z nami! Polował z nami! Ani na włos nie uchybił nigdy prawom dżungli!

— A ja złożyłam zań okup! — dodała Bagera łagodnie — Wprawdzie wartość bawołu nie jest znaczna, ale honor mój wart tyle, bym stanęła w jego obronie.

— Ej, co tam gadać o bawole, zjedzonym przed latami! — zaszemrało zebranie — Cóż komu przyjdzie z kości ogryzionych tak dawno?

— A przysięga uroczysta, to nic? — zapytała pantera, pokazując zęby. — Nie pojmuję doprawdy, czemu stado zwą ludy puszczy wolnym narodem.

— Nie wolno żadnemu człowiekowi łączyć się z ludem dżungli! — ryczał Shere Khan — To przekroczenie prawa! Oddajcie mi go zaraz!

Akela ciągnął dalej:

— Jest on bratem naszym, równym nam pod każdym względem z wyjątkiem krwi, czemuż go tedy chcecie zabić? Zaprawdę szkoda, że nie zmarłem przedtem, zanim doczekałem się tego, co widzę pośród mego ludu. Są już, jak sądzę, pośród wilków bydłobójcy, a nawet słyszałem, że niektórzy z was nauczyli się od Shere Khana porywać małe dzieci z progów chat ludzkich. Jesteście nikczemnicy i tchórze, przeto przemówię do was, jak do tchórzów mówić należy. Postanowiona jest śmierć moja, wiem o tym, na życiu mi nie zależy i chętnie je oddam w ofierze za życie tego człowieka. Idzie mi o ocalenie honoru stada, co jest dla was widzę drobnostką, której nawet nie dostrzegacie. Wiem, że boicie się stoczyć ze mną przedśmiertną walkę, przeto przysięgam, że nie ruszę zębem, nie będę się bronił nawet, jeśli temu chłopcu pozwolicie spokojnie odejść do wsi. Stado zyska na tym co najmniej trzech członków, którzy by

zginęli w zapasach ostatnich, na co zezwala prawo. Więcej uczynić nie mogę, ale to, co postanowiłem, oszczędzi wam hańby zamordowania własnego brata, przyjętego uroczyście do gromady wedle praw dżungli, które obowiązują każdy lud wolny.

— To człowiek! Człowiek! — mruczeli zebrani, nie wiedząc, co począć, a większość wilków otoczyła Shere Khana, który chodził, bijąc się gniewnie ogonem po bokach.

— Teraz na ciebie kolej! — powiedziała chłopcu Bagera. — Nam nie pozostało już nic prócz walki!

Mauli wstał, ujął w rękę koszyk z żarem, przeciągnął się i ziewnął z pogardą. Ale w duszy czuł gniew i ból dotkliwy. Nigdy bowiem dotąd wilki nie dały mu tak wyraźnie do poznania, że go nienawidzą.

— Słuchajcie! — zawołał — Przestańcie szczekać jak psy łańcuchowe. Przez całą dzisiejszą noc wypominaliście mi ciągle, że jestem człowiekiem, mimo że wiecie dobrze, iż chciałem przez całe życie zostać wilkiem pośród wilków. Jestem człowiekiem! Macie słuszność i odtąd nie będę zwał was braćmi, ale, jak przystało człowiekowi, psami… *sag*! Nie wy macie decydować, psy nikczemne, co się stanie! To rzecz moja! Tak będzie, jak ja rozkażę, a abyście to dobrze zrozumiały, przyniosłem wam trochę szkarłatnego kwiecia, którego się boicie, a które rozjaśni wam zaraz głupie łby wasze.

Rzucił na ziemię koszyk, węgle rozsypały się, a od nich zajęła się natychmiast wysoka sucha trawa i mech. Na widok buchających płomieni zgromadzenie zaczęło umykać na wszystkie strony.

Mauli zażegnał od ogniska wielką swą gałąź i wywijał nią nad głowami wijących się po ziemi, dygocących ze strachu zwierząt.

— Teraz jesteś ich władcą! — powiedziała Bagera. — Ocal Akelę od śmierci! Był on zawsze twym przyjacielem.

Akela, stare, dumne wilczysko, który nigdy w życiu nie prosił zmiłowania, podniósł na chłopca błagalne spojrzenie. Mauli stał

w świetle płonącej gałęzi, pośród zmiennych, chybotliwych cieni, a długie kędziory spływały mu falą na ramiona.

— Tak! — zawołał — Teraz widzę, że jesteście podłe psy! Nie będę żył pośród was i odejdę do istot mnie podobnych. Dżungla będzie odtąd zamknięta dla mnie, zapomnę waszego języka, zapomnę, żem was kiedyś znał, ale będę wspaniałomyślniejszy od was i ponieważ byłem ongiś bratem waszym, zostawszy człowiekiem wśród ludzi, nie zdradzę was przed nimi tak, jak wyście mnie zdradziły, psy nikczemne!

Kopnął ognisko, aż skry posypały się wokół.

— Nie nastanie nigdy walka pomiędzy mną a kimkolwiek ze stada! Ale zanim odejdę, muszę spłacić dług pewien.

Przystąpił szybko do Shere Khana mrużącego ślepie przed światłem i zgoła ogłupiałego. Schwycił go silnie za kudły pod brodą. Bagera na wszelki wypadek trzymała się w pobliżu przyjaciela.

— Wstawaj, parszywy kocie! Wstań, gdy mówi do ciebie człowiek! Inaczej podpalę ci kłaki na brzuchu i osmolę wąsy.

Tygrys położył uszy i zamknął oczy przed płonącą gałęzią, migocącą mu pod nosem.

— Ten bydłobójca powiedział swego czasu, że pożre mnie w obliczu rodu przez zemstę za to, że uszedłem szponów jego w dzieciństwie. Przypatrzcież się wszyscy, jak my, ludzie, karzemy nikczemnych łajdaków. Masz! Masz! Masz jeszcze raz, *lungri*, a nie ruszaj wąsami, bo ci wpakuję w gardziel szkarłatne kwiecie i upiekę na ogniu!

Mówiąc to, grzmocił go po łbie gałęzią, a potworny tygrys skomlał i skowyczał, miotany strachem niezmiernym.

— Dość tego! Zmykaj, oszalały z trwogi, osmolony kocie, a na drogę zapamiętaj sobie, że kiedy przyjdę po raz pierwszy jako człowiek na zebranie na Skale Rady, będę miał na barkach skórę Shere Khana.

Potem dodał, zwracając się do wilków:

— Akela będzie żył i czynił, co mu się podoba! Nie wolno go tykać! Rozumiecie? Teraz dość tego, nic tu po was. Nie

udawajcie, że jesteście czymś więcej niż psami. Schowajcie ozory i… marsz! Precz mi stąd!

Mauli wymachiwał płonącą jak pochodnia gałęzią. Wilki wyły i umykały przed iskrami, zapalającymi im sierść na grzbietach. Wkrótce całe stado rozproszyło się w ciemnościach, a na Skale Rady zostali tylko Akela, Bagera i dziesiątek starszych wilków, które stały od początku po stronie chłopca.

Mauli cisnął gałąź, doznał dziwnego uczucia, które mu było dotąd obce. Ścisnęło mu się serce, usiadł, załkał, a łzy potoczyły mu się po twarzy.

— Co to znaczy? Co to jest? — zawołał. — Czyżby mi żal było dżungli? Nie wiem, co się ze mną dzieje. Czyż nadchodzi śmierć? Bagero, czy ja umieram?

— Nie, drogi bracie mój, to tylko łzy, to się przydarza ludziom… — odparła pantera — Przestałeś być już szczenięciem ludzkim, jesteś teraz prawdziwym człowiekiem i odtąd puszcza jest naprawdę zamknięta dla ciebie! Nie wstrzymuj łez, Mauli, niech płyną… niech płyną!

Mauli płakał długo i rzewnie, jakby mu serce pęknąć miało. Był to pierwszy płacz w życiu jego.

— Odejdę do ludzi! — powiedział potem — Wpierw jednak pożegnać się muszę z matką-wilczycą.

Wstał i ruszył w drogę, a gdy doszedł do jamy, gdzie mieszkali rodzice-wilki, rzucił się na łono swej karmicielki smutny i zrezygnowany. Cztery młode wilki jęczały i skomlały, widząc, co się dzieje z ich bratem.

— Nie zapomnicie o mnie? — pytał Mauli.

— Nigdy, nigdy, jak długo będziemy w stanie śledzić trop. Gdy będziesz już człowiekiem, przychodź czasem do stóp pierwszego wzgórza, a pogawędzimy. My także będziemy zachodzili na uprawne pola, by pobaraszkować z tobą w nocy.

— Wracaj niedługo! — dodał wilk-ojciec — Wracaj niedługo, kochana, rozumna żabko, jeśli chcesz nas zobaczyć, bo wraz z matką jesteśmy już starzy oboje.

— Odwiedź nas rychło, drogi, mały nagusku!— powiedziała matka-wilczyca — Teraz, przy rozstaniu, mogę ci powiedzieć, że kochałam cię bardziej od moich własnych dzieci!

— Powrócę niezawodnie! — odrzekł Mauli — Powrócę niedługo po to, by rozesłać skórę Shere Khana na Skale Rady. Nie zapominajcież tedy o mnie i powiedzcie wszystkim w całej dżungli, by również o mnie nie zapominali.

Świt się czynił właśnie, gdy Mauli zeszedł ze wzgórza, kierując się w stronę, kędy przebywały dziwne, tajemnicze istoty, zwane ludźmi.

Piosenka łowiecka wilków seeoneeńskich

Skoro świt, sambhur beczy rozgłośnie!
Raz dwa, raz dwa…
Stojąc nad wodą, kędy dążą łanie.
Tam widzę go każdego ranka…
Widziałem go raz, widziałem dwa razy…

Skoro świt, sambhur beczy rozgłośnie:
Raz dwa, raz dwa…
Wieść pełza cicho po lesie.
Stado się kupi gotowe do łowu,
Wilki się zbierają i dążą tropem,
Jeden wilk, drugi… trzeci …

W ciemni rozbrzmiewa stada wycie.
Raz dwa, raz dwa…
Krok zwinny śladu nie znaczy na trawie,
Wzrok sięga daleko przez gęstwę i mroki,
Już słychać bojową pobudkę wśród kniei
Raz dwa, raz dwa…

Łowy węża Kaa

Wiadomo, lampart pręgi ma, bawół rogi,
Bądź czysty, skóra gładka, to zaszczyt niemały.
Wół i jeleń zbóść mogą, wiemy to, mój drogi.
Wszystkie już o tym wróble w kniei wyćwierkały.
Nie krzywdź malców, za braci miej je, tak chce prawo!
Nie wolno ci, pod zemstą, czynić im nic złego!
Nie bądź pyszny zdobyczą, bo dumę jaskrawą
Skarci dżungla i zęby twe cię nie ustrzegą!

(Nauka starego Balu)

To, co mamy opowiedzieć, stało się dużo przed czasem, kiedy Mauli został wydalony ze stada wilków seeoneeńskich i skarcił należycie tygrysa Shere Khana.

Wówczas to dopiero stary Balu uczył go praw dżungli. Opasły i zwalisty, brunatny niedźwiedź stary był już i poważny, dotąd atoli nie miał jeszcze tak sprytnego i łatwo pojmującego wychowanka, toteż cieszył się nim bardzo. Młode wilki nie chciały zazwyczaj z całego kodeksu praw zapoznawać się z niczym więcej ponad przepisy, dotyczące ludu wilków i najbliższych pobratymców. Uważały się za zupełnie wykształcone, skoro tylko wyuczyły się jako tako tej reguły:

— Nogi nie sprawiają szelestu, oczy przenikają ciemń, uszy czują wiatr, a kły są białe i ostre. Oto oznaki, po których poznajemy bliźnich naszych. Coś podobnego cechuje również szakala Tabaki i hienę cętkowaną, ale twory owe są godne pogardy.

Tyle tylko umiały wilki, ale Mauli był człowiekiem, nauczył się tedy mnóstwa innych rzeczy.

Czasem zaciekawiona tą nauką Bagera, czarna pantera wędrująca bezustannie po dżungli, przysłuchiwała się lekcjom chłopca, leżąc w trawie z głową opartą o pień drzewa. Mauli

umiał równie dobrze wspinać się na drzewa, jak pływać i biegać, Balu przeto, w przeświadczeniu, że winien znać wszystkie prawa uczył go zarówno przepisów leśnych, jak i wodnych. Musiał się nauczyć rozróżniać gałąź zdrową od spróchniałej, by nie spaść na ziemię, wiedzieć, jak się przemawia do dzikich pszczół, gdy się spotka niespodzianie barć na znacznej wysokości i nie tylko nie chce zostać pokąsany, ale ma zamiar dostać w podarku smakowitego miodu, a także nie zawadziły mu inne wiadomości. Trzeba naturalnie przeprosić uprzejmie nietoperza, *Manga*, gdy się go przypadkiem zbudzi w gęstwinie w biały dzień, a trzeba również uprzedzić węże wodne, w jeziorach leśnych mieszkające, zanim się da nura do wody, celem odświeżenia ciała. Dżungla pełna jest ludów rozmaitych, z których żaden nie lubi, by go niepokojono, toteż niewykształconemu i nieznającemu praw, obyczajów i haseł wielkie wszędzie zagraża niebezpieczeństwo.

Poza tym nauczył się Mauli wszystkiego, czego potrzeba w wycieczkach łowieckich zagranicą. Ktokolwiek chce polować poza obrębem własnego terytorium, winien dawać hasło właściwe i powtarzać je tak długo, aż otrzyma odpowiedź. Prawo zabrania przekraczać granice i trzeba koniecznie poprosić.

— Pozwólcie mi polować tutaj, bowiem jestem głodny!

A odpowiedź, o ile jest przychylna, brzmi:

— Poluj swobodnie, ale tylko dla zaspokojenia głodu, łowów dla przyjemności zabraniamy ci stanowczo!

Z tego, cośmy powiedzieli, widać, jakie mnóstwo wiadomości przyswoić sobie musiał Mauli, a powtarzanie ich na pamięć w kółko po sto razy na dzień nużyło go bardzo. Pewnego dnia Balu skarcił go za nieposłuszeństwo uderzeniem łapy, gdy się zaś oddalił, rzekł nauczyciel do Bagery:

— Mauli, choć mały jeszcze, jest jednak człowiekiem, przeto musi poznać prawo dżungli od deski do deski.

— Słusznie mówisz! — odrzekła — Zważ tylko, że jest bardzo mały i nie może mu się w głowie pomieścić cała twoja wiedza.

Bagera byłaby niewątpliwie na nic rozpieściła chłopca, gdyby jej powierzono jego wychowanie.

— Każde, najmniejsze nawet stworzenie w dżungli może zostać zabite. Dlatego musi się bronić chłopak i dlatego uczę go wszystkiego, a karzę, oczywiście bardzo delikatnie, gdy na to zasłuży.

— Delikatnie? — zdziwiła się — Czyż ty, stary rozbójniku, wiesz, co znaczy delikatność? Przez tak zwaną delikatność twą ma dzisiaj twarz i całe ciało posiniaczone! Wstydź się!

— Lepiej, bym go zbił całego na kwaśne jabłko — odrzekł Balu — ja, który go kocham, niżby skutkiem nieuctwa spotkać go miało nieszczęście w kniei. Właśnie teraz uczę go zaklęć, które go ochronią przed napaścią ptaków, ludu węży oraz wszystkich czworonogów, oczywiście z wyjątkiem jego własnego ludu. Gdy sobie je przyswoi, będzie w stanie przywołać na pomoc w potrzebie całą dżunglę. Czyż dla pozyskania takich korzyści nie warto poddać się lekkiej karze?

— Pamiętaj tylko, Balu, byś kiedy nie zabił chłopca. Nie jest to przecież pień, o który ostrzyć można stępione pazury. Ale rada bym posłyszeć owe zaklęcia, mimo że nie nawykłam zwracać się o pomoc do nikogo.

Tak mówiła Bagera, przyglądając się z lubością swym zakrzywionym, lśniącym połyskiem stali szponom.

— Zawołam chłopca, by ci je powtórzył. Może się zdecyduje przyjść tutaj. Mauli! Chodź tu zaraz! Słyszysz?

Chłopiec ozwał się z wierzchołka drzewa, niechętnie, głosem rozkapryszonym:

— Dość mam tego, burzy mi w głowie od ciągłej nauki!

Po chwili jednak zsunął się na dół i stanął przed nimi, ale minę miał na poły obrażonego skarceniem.

— Przychodzę do Bagery, nie do ciebie, niepoczciwy, stary Balu! — powiedział.

— Jest mi to obojętne! — rzekł Balu, starając się ukryć, jak bardzo dotknęły go słowa wychowanka. — Powtórz Bagerze zaklęcia, których nauczyłeś się dzisiaj!

— Zaklęcia? A którego z ludów? — spytał Mauli zadowolony, że będzie się mógł popisać umiejętnością, — W dżungli ludy mówią różnymi narzeczami, a ja znam wszystkie bez wyjątku!

— Nie pleć! Umiesz coś nie coś, ale daleko ci do doskonałości! — zauważył Balu i dodał, zwracając się do Bagery — Widzisz, Bagero, jaką to wdzięczność otrzymuje w udziale nauczyciel. Ani jeden wilk nie podziękował mi dotąd za naukę. No, mów, skoroś taki mądry, jakie jest zawołanie ludów czworonożnych czasu łowów.

— Ja i wy jesteśmy jednej krwi! — zawołał Mauli głosem niedźwiedzi, dodając okrzyk właściwy ludowi niedźwiadków.

— Dobrze! — rzekł Balu. — A teraz powiedz hasło ptaków.

Mauli wygłosił to samo odmiennym akcentem, dodając krzyk sępa.

— A teraz hasło wężów! — rzekła Bagera.

Mauli wydał syk niepodobny do naśladowania potem zaś, zadowolony z siebie samego, podskoczył, zaklaskał w dłonie i usiadł okrakiem na grzbiecie pantery, waląc ją piętami po bokach i wykrzywiając się szkaradnie staremu Balu.

— Znowu ci się za to należy lanie! — zgromił go niedźwiedź, zadowolony w gruncie z ucznia — Czekaj! Co się odwlecze to nie uciecze!

Potem opowiedział Bagerze, jak Mauli udał się do dzikiego słonia-samotnika, imieniem Hati, który posiada mądrość nieprzebraną i jak tenże Hati zaprowadził chłopca do pewnego jeziora, gdzie wielki pyton nauczył go hasła ludu wężów, którego sam Balu wymówić nie był w stanie. Mauli, dodał niedźwiedź, jest teraz zabezpieczony od wszelkich wypadków w dżungli, a żadne stworzenie, czy to czworonóg, czy ptak lub wąż nie uczyni mu najmniejszej krzywdy.

— Nie potrzebuje się już lękać nikogo! — zakończył, drapiąc się z zadowoleniem po kudłach.

— Prócz członków własnego ludu! — mruknęła doświadczona Bagera, a potem powiedziała głośniej do chłopca:

— Cóż to wyrabiasz, chłopcze! Przestańże mnie walić po bokach!

Mauli, chcąc zwrócić na siebie uwagę rozmawiających, kopał raz po raz panterę i szarpał ją za skórę na karku. Dokazawszy swego, krzyknął głośno i radośnie:

— Niezadługo będę miał własne stado i będę go wiódł po nadziemnych gościńcach wedle woli.

— Cóż to znów za głupstwa gadasz, chłopcze? — spytała Bagera.

— To prawda! Będziemy rzucać gałęzie i różne paskudztwa na głowę rudego Balu! — krzyknął upojony Mauli. — Rzecz postanowiona!

— Uuu! — warknął Balu i olbrzymią swą łapą zmiótł chłopca z grzbietu pantery, tak że legł na grzbiecie tuż przed nim. Leżąc zauważył, że stary nauczyciel jest mocno rozsierdzony.

— Mauli! — powiedział Balu — Zdaje mi się, że musiałeś rozmawiać z *bander-logami*, z ludem małp!

Mauli spojrzał na Bagerę, chcąc się dowiedzieć, co o tym myśli, ale zauważył, że oczy jej błyszczą zimnym, stalowym, okrutnym blaskiem.

— Zadawałeś się więc z ludem małp — warczał niedźwiedź — z rudymi bestiami, nie znającymi praw, z hołotą, co pożera wszystko bez wyboru? Haniebnego się dopuściłeś czynu, Mauli!

— Balu! — zawołał Mauli, leżąc dalej — Wybiłeś mnie po głowie, więc odszedłem bardzo smutny, a wówczas rude małpy spuściły się z drzew, by się nade mną użalić. One jedynie ujęły się za mną!

Zaczął płakać rzewnie.

— Litość małp… to cisza górskiego potoku, to chłód słońca w porze letniej, to absurd! — rzeki Balu — I cóż stało się dalej? Mówże, chłopcze!

— Przyniosły mi orzechów i innych przysmaków, potem zaś wzięły mnie w ramiona i zaniosły na sam szczyt drzewa. Tam oświadczyły, że jestem ich krewniakiem, a brak mi tylko ogona. Przyrzekły mnie uczynić swym naczelnikiem i wodzem.

— Małpy nie mają wodzów! — warknęła Bagera — Skłamały, jak zresztą zawsze kłamią!

— Okazywały mi dużo sympatii i prosiły, bym do nich wrócił! Dlaczegóż to żadne z was nie zapoznało mnie dotąd z ludem małp? Wszakże chodzą, jak ja na dwu nogach! Przy tym są delikatne, nie dają szturchańców łapami. Są wesołe i bawią się po całych dniach. Pójdę do nich! Puść mnie, szkaradny Balu! Chcę z nimi poigrać!

— Milcz! — ryknął gromowo Balu, aż ryk ten rozległ się echem po dżungli. — Nauczyłem cię praw obowiązujących wszystkie ludy puszczy prócz ludu małp, żyjącego na drzewach! A stało się to dlatego, ponieważ zwierzęta owe nie mają praw, nie znają ojczyzny, a nawet własnym nie posługują się językiem. Mowa ich składa się z wyrazów podsłuchanych i skradzionych innym, szlachetnym ludom, które szpiegują z wysokości drzew. Nie ma nic wspólnego pomiędzy wolnymi ludami puszczy, a tą bandą. Rude małpy nie mają wodzów, nie posiadają też zgoła pamięci. Wrzeszczą przez cały dzień, wychwalając się, iż są ludem wielkim, zdolnym do czynów niezwykłych, do zawładnięcia dżunglą, ale wystarczy, by spadł orzech z drzewa, a zaraz zapominają o wszystkim i zanoszą się od śmiechu. Nikt w całej puszczy nie zadaje się z małpami, nie uczęszczamy tam, gdzie one przebywają, nie pijemy z tych samych źródeł, nie polujemy wraz z nimi, a nawet zwłoki nasze znajdują się daleko od ich trupów. Wszakże sam wiesz, że nikt do dziś dnia nie wspomniał ci o *bandar-logu*.

— Prawda! — przyznał Mauli, a słowo to zatętniło donośnie w ciszy, jaka nastała, gdy Balu zamilkł.

— Wszystkie ludy dżungli wygnały imię ich z pamięci swojej. Małpy są głupie, złe, niechlujne, bezczelne, nie posiadają odrobiny wstydu, a pałają jednym tylko pożądaniem, chcą, by

ludy puszczy zwracały na nie uwagę. Ale nie zważamy na nie wcale, wówczas nawet, kiedy obrzucają nas orzechami, gałęźmi i rożnym paskudztwem.

Zaledwo to wyrzekł Balu, z drzew posypały się orzechy, kantyki i gałązki, a jednocześnie rozległy się pomruki, skowyty i pełne złości skoki wśród konarów.

— Lud małp obłożony został klątwą! — zakończył Balu — Wiedz o tym!

— Tak, to prawda! — potwierdziła Bagera — Ale mimo to dziwię się czemu, Balu, nie zabezpieczyłeś przeciw nim chłopca?

— Czyż mogłem przypuścić, że wejdzie w komitywę z tą hołotą? Czyż mogłem go o to posądzać? Pfuj!

Nowe, coraz liczniejsze pociski zaczęły im spadać na głowy, toteż oddalili się co prędzej, zabierając z sobą wychowanka.

Prawdą było to, co Balu mówił o małpach. Przemieszkują one na samych szczytach drzew, a ponieważ ludy puszczy nie podnoszą zazwyczaj tak wysoko głów, przeto bardzo rzadko mają sposobność zobaczenia *bandar-loga*. Ile razy natomiast małpy napotkają ranne zwierzę, wilka czy tygrysa, zawsze naigrawają się zeń i dręczą. Poza tym miotają wszystkim na głowy różne różności, już to z głupoty, już to w chęci zwrócenia na siebie uwagi. Najczęściej po całych dniach wyją przeraźliwie, śpiewają piosenki, pozbawione zgoła sensu, wyzywają na bój wszystkie ludy kniei, zapraszają je w odwiedziny do siebie, a wreszcie staczają same z sobą zacięte walki, po czym zwłoki zabitych rzucają w miejsce takie, by je musiały zobaczyć zwierzęta puszczy. Ciągle mają zamiar obrać sobie wodza, ustanowić prawa i obyczaje ustalić. Ale nie dochodzi do tego nigdy, albowiem nie mogą przechować żadnej rzeczy w pamięci do następnego dnia. Powtarzają ciągle przysłowie: Myśl *bandar-loga* wyprzedza myśli wszystkich innych ludów o czas długi. Są z tego bardzo dumne. Wprawdzie niedosiężne są dla żadnego z drapieżców czworonogich, natomiast cięży na nich pogarda grubego zwierza kniei.

Łatwo wobec tego zrozumieć, jak bardzo uradowało je, że Mauli poszedł się z nimi bawić oraz że zdołały podniecić do gniewu czcigodnego, starego Balu. Nie miały ponadto żadnego innego zamiaru, zwłaszcza że zamiarów określonych nie żywią. Jednej z nich przyszła do głowy genialna myśl. Zobaczywszy, że Mauli umie splatać z gałęzi zasłony od wiatru, osądziła, iż dobrze by było schwytać chłopca i wcielić do własnego rodu, gdyż musiałby je tego nauczyć. Mauli był dzieckiem drwala, toteż nieświadomie, pod wpływem instynktu plótł z gałęzi coś w rodzaju szałasów, sam nie wiedząc po co to czyni, a małpom, które go podpatrzyły z wierzchołków drzew, wydało się to czymś nadzwyczajnym.

— Nareszcie nadszedł czas — mówiły sobie — kiedy obierzemy wodza, prześcigniemy w mądrości wszystkie inne ludy i wzbudzimy w nich zazdrość i szacunek.

Pod wrażeniem tych myśli śledziły, skacząc z gałęzi na gałąź, Balu, Bagerę i chłopca i szły ich śladem aż do miejsca, gdzie się cała trójka rozłożyła na spoczynek. Mauli, postanowiwszy nie zadawać się już nigdy z *bandar-logami*, zasnął twardo, leżąc pomiędzy panterą i niedźwiedziem.

Nagle zbudził się, uczuwszy dotknięcia i uściski drobnych, zwinnych, szorstkich rąk oraz uderzenia gałęzi po twarzy. Spojrzał i zobaczył tylko zieloną rozchwiej liści drzew i posłyszał wściekły ryk starego Balu, który budził całą dżunglę. U dołu Bagera podskakiwała wysoko, drapiąc pazurami pnie drzew, a *bandar-logi* wyły triumfalnie:

— Widzi nas Bagera! Prześcignęliśmy w zręczności Bagerę! Cała dżungla zachwyca się naszą zręcznością, odwagą i przebiegłością!

Uciekały z więźniem swym zwinnie, a któż opisać zdoła należycie bieg małp poprzez gęstwę drzew. Mają one tam swe przedziwne, niedostępne innym zwierzętom drożyny i gościńce, to w górę się wznoszące, to spuszczające się stromo w dół. Państwo ich znajduje się na wysokości sześćdziesięciu lub więcej stóp, a poruszają się one w nim z taką pewnością siebie,

że mogą w najciemniejszą noc pędzić z zawrotną chyżością po konarach niby po równym stepie.

Dwie najsilniejsze małpy chwyciły chłopca pod ręce i wraz z nim skakały z drzewa na drzewo w olbrzymich susach. Same byłyby się niezawodnie posuwały daleko prędzej, ale ciężar więźnia opóźniał ich bieg. Mauli doznawał miłego uczucia z powodu tej chyżości, uczuwał jednak zarazem zawrót głowy, a straszne wstrząśnienia odbierały mu niemal przytomność. Falanga rabusiów wspinała się wraz ze swoim łupem aż na same szczyty drzew tak wysoko, że gałęzie zaczynały giąć się i pękać pod ciężarem ich ciał, potem zaś z chrapliwym wrzaskiem rzucał się kłąb małp na oślep w szaleńczym skoku i zwisał, zaczepiony dziesiątkiem rąk i ogonów u jakiegoś konara o kilkadziesiąt stóp niżej.

Mauli widział pod sobą od czasu do czasu rozłogi traw, pokrywających polany kniei, niby majtek patrzący na rozchwiej morza ze szczytu wysokiego masztu. Za moment oczy zasłaniały mu gałęzie, bijące go po twarzy, uczuwał rzut w powietrze, spadał i zaczepiał się u czegoś, tuż nad ziemią niemal. Z wrzaskiem ogromnym, w skokach nieprawdopodobnych pędził po gościńcach drzewnych i powietrznych cały lud *bandar-logów*, unosząc swój łup nie wiadomo dokąd.

Zrazu Mauli myślał o tym tylko, by go małpy nie upuściły na ziemię, potem zaś zawrzał gniewem. Ale o walce mowy być nie mogło, zaczął się przeto zastanawiać nad sytuacją. Sądząc po szybkości małp, przewidywał, że przyjaciele jego, Balu i Bagera, rychło zostaną daleko w tyle, należało ich tedy uwiadomić, w którym się oddala kierunku. W dole nie było prawie nic widać, gdyż gałęzie zasłaniały całe połaci dżungli, toteż Mauli zwrócił spojrzenie w górę. Po małej chwili dostrzegł w przestworzu sępa Chila, zataczającego ogromne kręgi nad knieją w poszukiwaniu żeru. Chil zauważył, że małpy coś niosą, przeto zniżył lot, by zobaczyć, czy nie ma tam czegoś do zjedzenia, ale, zawisłszy paręset metrów nad drzewami, aż gwizdnął z

podziwu, ujrzawszy wleczonego na szczyt chłopca, który mu rzucił hasło w narzeczu ludu sępów:

— Ja i ty jesteśmy jednej krwi!

Zasłoniły mu go natychmiast gałęzie, ale Chil machnął skrzydłem, przeniósł się nad następne drzewo i znowu zobaczył miedzianą twarz chłopaka.

— Idź moim śladem! — zawołał Mauli — Zanieś wieść seeoneeńskim przyjaciołom moim, staremu Balu i Bagerze.

— Któż jesteś? — spytał Chil, bo nie znał go dotąd, choć dużo słyszał o Maulim.

— Mauli, zwany też żabką, człowiek-wilk, ze stada Akeli… Pilnuj mego śla…

Mauli nie skończył, rzucony w tej chwili w powietrze, ale sęp dał znak, że wie co trzeba, a potem śmignął tak wysoko w górę, że wydał się ziarnkiem piasku. Z tych wyżyn śledził przez lunety swych oczu ruchliwą falę gałęzi płynącą dołem, to jest konwój chłopca porwanego przez *bandar-logi*.

— Nie pobiegną daleko! — mruknął do siebie wzgardliwie — Małpy nie są w stanie nigdy dokonać swych zamiarów. Pomysły mają ciągle nowe, ale ten ostatni stanie im niezawodnie kością w gardle. Balu to nie szczeniak, a Bagera umie też polować jak należy.

Zawisł nieruchomo na potężnych swych skrzydliskach, podgiął nogi i czekał.

Balu i Bagera szaleli tymczasem z gniewu i żalu. Pantera wdrapywała się na drzewa tak wysoko, jak nigdy do tej pory, ale gałęzie łamały się pod jej ciężarem i nie mogła nigdy sięgnąć szczytu, spadała tedy bezsilnie, drapiąc pnie.

— Czemuż nie uprzedziłeś chłopca? — wołała, krzycząc te słowa prosto w uszy biednego niedźwiedzia, zwijającego się na swych ciężkich łapach, by dotrzymać kroku małpom.

— I na cóż się zdało bić go, skoro zaniedbałeś rzeczy tak ważnej?

— Prędzej… prędzej! — sapał dobywający ostatków sił Balu — Może je zdołamy dopędzić!

— Ani mowy! — ryczała w odpowiedzi — Ruszasz się tak pomału, że ujść by ci musiała nawet ranna krowa! Opasły wykładaczu praw, dzieciotłuku, zanim przebiegniesz dwa stajania, wyciągniesz łapy raz na zawsze! Usiądź lepiej i pomyśl, co czynić należy. Musimy ułożyć jakiś rozsądny plan! Niepodobna ich dogonić, a nawet niebezpieczna to rzecz, gdyż, ujrzawszy nas za sobą, mogą go cisnąć na ziemię z obawy zemsty.

— Auhuu! Arruru! — ryczał Balu — Może go już nawet rzuciły znudzone dźwiganiem. Wszystkiego spodziewać się można po *bandar-logach*... Oo! Przywalże mi głowę ciałami zdechłych nietoperzy, daj mi stare gnaty do ogryzania, wepchnij mnie do barci dzikich pszczół, by mnie na śmierć zakłuły, a potem pochowaj obok śmierdzącej hieny! Jestem zwykłe bydlę, nie zaś przyzwoity niedźwiedź! Auhuu! Arruru! O, Mauli, o chłopcze mój! Czemuż cię nie uprzedziłem, co ci zagraża od ludu małp, miast cię bić i drapać codziennie! Może moje razy miały ten skutek, że biedaczek zapomniał całkiem wszystkich haseł i oto znajduje się teraz w dżungli zupełnie opuszczony, bezbronny i wystawiony na wszelkie niebezpieczeństwa!

Objął łapami wielki swój łeb i tarzał się zrozpaczony po ziemi.

— Głupstwa pleciesz! — warknęła niecierpliwie pantera — Wszakże dopiero co powtarzał wszystkie po kolei hasła ludów puszczy! Straciłeś pamięć, stary Balu, a w dodatku godność osobistą. Cóż by powiedziała na przykład o mnie dżungla, gdybym ja, czarna pantera, wiła się po ziemi, niby jeżozwierz *sahi* i ryczała rozpaczliwie?

— Pluję teraz na opinię dżungli! O Mauli, Mauli! Może on już nie żyje w tej chwili?

— Żyje! — pocieszała go — Żyje na pewno, o ile go zresztą nie rzuciły na ziemię albo nie zagryzły znużone dźwiganiem. Nie rozpaczaj, Balu, ma on rozum, wie dużo, a nade wszystko posiada oczy, których lękają się ludy puszczy. Niestety, wielkie

to nieszczęście, że dostał się do *bandar-logów*, które jako żyjące na szczytach drzew, nie boją się żadnego z nas.

Pantera zamyśliła się i zaczęła sobie lizać łapy.

Nagle Balu zerwał się na równe nogi i zawołał:

— Jestem dureń! Jestem podły korzonkojad i straciłem całkiem rozum! Dopiero teraz przyszły mi do głowy słowa słonia Hati, który twierdzi, że nie ma na świecie nikogo, kto by się nie bał kogoś innego! *Bandar-logi* boją się węża Kaa, skalnego pytona, który pełza po drzewach podobnie jak one i porywa je w nocy, czyniąc zwłaszcza spustoszenie pośród ich dzieci. Na sam dźwięk imienia jego drętwieją od stóp do głowy, a nawet ogonem ruszyć nie są w stanie. Musimy udać się do węża Kaa.

— I cóż on nam pomoże? — zauważyła Bagera. — Nie jest z naszego rodu, nie ma nóg, a zwłaszcza posiada tak straszne oczy…

— Oo.. to stary, przebiegły, a nade wszystko wiecznie głodny wąż! — rzekł Balu, nabierając otuchy — Musisz mu przyrzec sporą ilość jelonków!

— Słyszałam, że gdy się naje, zasypia na długo! — powiedziała pantera — Może właśnie obżarł się teraz, a jeśli nawet głodny, to przecież sam umie sobie zdobyć pożywienie!

Bagera nie znała węża Kaa i nie miała doń zaufania.

— Choćby i tak nawet było, — odparł Balu — to przecież tak doświadczona jak ty łowczyni, a także i ja, we dwoje damy sobie z nim radę.

Balu zbliżył się do Bagery i ruszyli ramię w ramię na poszukiwanie węża Kaa, pytona skalnego.

Leżał rozciągnięty na płaskiej skale, oblanej żarem popołudniowego słońca i podziwiał swój nowy, przepyszny strój. Dopiero co ocucił się z dzisięciodniowego odrętwienia, podczas którego zmienił skórę i wystąpił teraz w całej okazałości. Wielka, płaska głowa jego leżała na kamieniu, a olbrzymie cielsko piętrzyło się, poskręcane w dziwne zwoje, sploty i węzły. Oblizywał się na myśl o uczcie, która go czekała.

— Jest jeszcze na czczo! — mruknął Balu z uczuciem ulgi, patrząc na lśniący przystrój w brunatne i rdzawe pręgi. — Uważaj, Bagero, — dodał — gdyż po zmianie skóry Kaa niedowidzi, a przy tym jest wyjątkowo napastliwy.

Kaa nie zaliczał się do wężów jadowitych, a nawet pogardzał w gruncie rodem jadowitych, uważając te osobniki za tchórzów, pomagających sobie w walce bronią nieszlachetną. Moc jego leżała w potędze uścisku splotów, którymi obejmował zdobycz i dławił bez ratunku.

— Szczęśliwych łowów! — pozdrowił go Balu, przysiadając na zadzie.

Jak wszystkie wielkie pytony, Kaa był niemal głuchy, toteż nierychło dosłyszał pozdrowienie. Mimo to, czując czyjąś obecność, poruszył się na wszelki wypadek i posuwać zaczął w różnych kierunkach swój potężny łeb.

— Szczęśliwych łowów całej kompanii! — odpowiedział nareszcie uprzejmie — To ty, Balu! — zawołał — Cóż cię tu sprowadza? A, to ty, Bagero! Zdaje mi się, że nie daremnie przybyliście oboje! Czy nie wiecie przypadkiem o jakimś stworzeniu w pobliżu, o łani tłustej lub choćby sarniątku. Jestem pusty jak studnia czasu posuchy!

— Wybieramy się właśnie na łowy! — powiedział od niechcenia Balu, wiedząc, że olbrzymi pyton jest za wielki, by pojmować i decydować się szybko.

— Jeśli pozwolicie, przyłączę się tedy do was! — zaproponował Kaa — Dla ciebie, mój Balu i dla ciebie, Bagero, drobnostką jest jedno machnięcie łapy więcej, gdy tymczasem ja muszę nieraz przez cały dzień czatować na przejście ku wodzie, albo spinać się przez pół nocy po drzewach, zanim mi wpadnie w gardziel jakaś młoda małpa. Ach, cóż to za drzewa dzisiaj! Nie takie rosły czasu mej młodości! Wszystkie konary popróchniały, a gałęzie łamią się za dotknięciem!

— Może przyczyną tego jest poniekąd własny twój ciężar! — zauważył niedźwiedź.

— To prawda! — zgodził się Kaa z dumą — Jestem długi, oo… porządnie długi. Ale mimo to dzisiejsze drzewa są marne, wierzajcie mi. Niedawno omal nie spadłem na ziemię. Niewiele brakowało. Nie objąłem dobrze pnia ogonem i ześlizgując się zbudziłem ze snu bandę *bandar-logów*, które obsypały mnie wyzwiskami i przekleństwami.

— Jaszczurka!… Glista ziemna… — mruknęła niby do siebie Bagera, jakby przypominała sobie wyzwiska małp.

— Sss… — syknął pyton ze złością — Więc to takie na mnie miotały obelgi?

— Coś podobnego wrzeszczały wczorajszej nocy, ale nie zwracaliśmy na to oczywiście uwagi. Wszakże ciągle wygadują brednie. Gadały, zdaje mi się, jeszcze, że ci powypadały ze starości zęby i dlatego nie łowisz stworzeń większych od koźlęcia, unikając nawet starych capów, których rogi budzą w tobie strach nieopisany. Naprawdę te *bandar-logi*, to bezwstydni potwarcy!

Zazwyczaj żaden wąż, a zwłaszcza stary, doświadczony pyton nie ujawnia nigdy miotającego nim gniewu. Ale mimo to spostrzegli Balu i Bagera, że po obu stronach ogromnej gardzieli węża Kaa zadrżały i zafalowały potężne muskuły ściskowe.

— *Bandar-logi* — rzekł po chwili, opanowawszy się — zmieniły miejsce pobytu. O wschodzie słońca słyszałem ich wrzaski w koronach drzew, a teraz wszystko ucichło.

— Wybraliśmy się właśnie… na… *bandar-logi*! — wykrztusił z trudnością Balu. Słowa więzły mu w gardle, bowiem po raz pierwszy może wielki czworonóg dżungli przyznał się, że zwraca uwagę na małpy, a co więcej, że chce na nie polować.

— Musi zatem istnieć nader ważny powód! — zauważył mądry Kaa — Ważny tylko powód skłonić może do tropienia *bandar-logów* dwoje tak znakomitych łowców i wodzów we własnej kniei.

Kaa mówił bardzo uprzejmie, a rozdymała go po prostu ciekawość.

— Wolne żarty! — powiedział Balu — Jestem tylko starym, a często nawet nierozważnym nauczycielem prawa w seeoneeńskim stadzie wilków. Bagera zaś…

— Jest Bagerą! — skończyła pantera, niezdolna do uniżoności, potem zaś dodała:

— Wiedz, o Kaa, że te nikczemne orzechogryzy i liściojady porwały nam małego człowieka, o którym pewnie doszły cię wieści.

— Sahi, którego bezczelność wzrasta wraz z twardością igieł na grzbiecie, mówił mi niedawno, że podobno przyjęto do stada wilków jakiegoś chłopca, ale nie dawałem temu wiary. Sahi jest plotkarzem i roznosi po dżungli wieści przeróżne bez żadnej podstawy i zupełnie przekręcone, albowiem niczego dokładnie powtórzyć nie jest zdolny! — powiedział Kaa.

— Tym razem wyjątkowo powiedział prawdę! Jest to chłopiec, jakiego pewnie dotąd nie było na świecie. Jest to najlepszy, najmędrszy i najodważniejszy z ludzi. To uczeń mój, który imię starego Balu wsławi po najdalszych krańcach dżungli. Ponadto zaś wiedz, o mądry Kaa, że kocham go, to jest że kochamy go oboje z Bagerą bardzo!

— Ts… ts… — odparł Kaa, kręcąc głową — Wiem ja dobrze, co miłość znaczy… o… wiem! Mogę wam na dowód opowiedzieć ogromnie wzruszającą historię…

— Ocenić ją jak należy można tylko podczas księżycowej nocy i to mając pełny żołądek… — wtrąciła pośpiesznie Bagera. — Tymczasem nasz chłopiec znajduje się w niewoli u *bandarlogów*, a wiemy, podobnie jak cała dżungla, że małpy nie boją się nikogo prócz sławnego skalnego pytona Kaa.

— Mnie się jednego boją! — zawołał Kaa z dumą — To prawda… To prawda! Nędzne pyszałki, plotkarze i głuptaki… przeklęty małpi pomiot! Ale, wracając do małego człowieka, smutna to sprawa, że dostał się w ręce tego paskudnego plemienia. Wszakże często, gdy je znudzą z mozołem zbierane orzechy, ciskają je na ziemię. Tak samo łamią bez zastanowienia gałąź, którą przez pół dnia nosiły w triumfie po

całej kniei, w zamiarze zrobienia z niej czegoś cudownego. Smutny, powtarzam, jest los tej biednej istoty ludzkiej w rękach *bandar-logów*! O ile dobrze dosłyszałem, przezywały mnie jaskółką i zimną rybą… wszak prawda?

— Jaszczurką i ziemną glistą!

— Hm… hm… należy im się tedy admonicja, by wiedziały, jak się wyrażać o swoim panu i pogromcy! Aaa tss… Muszę dopomóc ich słabej pamięci.. Ale mówcież, gdzież to zawlokły owego malca?

— Jedna dżungla to wie! — odparł Balu — Wydaje mi się, że w kierunku zachodzącego słońca. Sądziliśmy, o wielki Kaa, że ty musisz wiedzieć!

— Ja? Skądże by? Czasem chwycę którąś, gdy się nawinie, ale nie poluję specjalnie na śmierdzące *bandar-logi*, równie, jak nie pożeram żab i błota, w zapleśniałych kałużach gnijącego. Hss…

— Spojrzyjcie w górę! Chil… Chil… mówi Chil… Podnieś łeb, stary Balu ze stada wilków seeoneeńskich!

Balu, zdziwiony tym okrzykiem, wytrzeszczył na niebo oczy i ujrzał sępa Chila, spuszczającego się kręgami na skrzydłach, osrebrzonych po brzegach słońcem. Chil przerwał swój zwykły spoczynek popołudniowy i szukał Balu i Bagery po całej kniei, ale długo nie mógł ich znaleźć, bowiem przysłaniały je gałęzie drzew.

— Cóż tam nowego? — spytał Balu.

— Mauli-żabka znajduje się w niewoli u *bandar-logów*. Zobaczyłem go i prosił mnie, bym was zawiadomił. Zaniosły go na drugi brzeg rzeki do małpiego grodu, który nosi miano Mroźnych Pieczar[2]. Pozostaną tam zapewne czas jakiś, ale nie wiadomo, czy przez jedną noc, czy przez tydzień, czy godzinę. Nakazałem nietoperzom, by ich pilnowały w ciemności. Na tym koniec. Spełniłem me posłannictwo, a teraz życzę wam wszystkim tam na dole pomyślnych łowów!

— Pomyślnych łowów, Chilu! — odkrzyknęła Bagera — Najedz się aż do szczytu gardła! Wywdzięczę ci się, poczciwy

sępie, przy pierwszej sposobności, pozostawiając dla ciebie nietknięty łeb wielkiego wołu!

— Nie ma za co dziękować! Nie ma za co! — odpowiedział — Chłopak znał hasło! Musiałem uczynić com uczynił, bo prawo jest prawem!

Chil machnął potężnymi barkami i zatoczywszy krąg, uniósł się w górę z rozmachem.

— Mauli nie zapomniał języka w gębie! — zawołał Balu z dumą — Choć jest jeszcze dzieckiem niemal, zapamiętał hasło w narzeczu ptaków i to mimo strasznej sytuacji, gdy go rzucano z drzewa na drzewo!

— Nieźle mu, co prawda, wbijałeś tę wiedzę w głowę paskudnymi łapskami swymi! — odrzekła Bagera. — Zresztą i ja dumna jestem z niego! Teraz, nie tracąc czasu, ruszajmy wszyscy w stronę Mroźnych Pieczar.

Wszyscy mieszkańcy dżungli wiedzieli dobrze, gdzie się miejscowość ta znajduje, ale niewielu miało ochotę tam się udawać. Tak zwane Mroźne Pieczary było to właściwie starodawne, opuszczone i zapomniane, zapadłe w ostępie miasto, a zwierzęta, jak wiadomo, unikają miejsc, gdzie bywali ludzie. Co najwyżej zachodzi tam odyniec, ale nigdy nie zdarza się, by wyprawiały się do ruin stada łowieckie czworonogów. Poza tym obrały sobie kryjówkę w Mroźnych Pieczarach *bandar-logi*, a przeto każde szanujące się stworzenie omijało tę miejscowość, spostrzegłszy ją z dala. Jedynie w czasie posuchy letniej, pod wpływem pragnienia zachodził tam ten i ów w nadziei znalezienia wody w rozwalonych na poły zbiornikach i studniach.

— Nie zdążymy tam przed północą, mimo największego pośpiechu! — powiedziała Bagera.

— Będę się starał biec co sił! — rzekł Balu z widocznym zakłopotaniem.

— Nie możemy krępować się tobą! — zawyrokowała — Pójdziesz sam śladem naszym. My i tak będziemy zmuszeni porządnie machać nogami… prawda, Kaa?

— Nogami albo i nie nogami! — zauważył poważnie — Ostatecznie potrafię pędzić nie gorzej od ciebie, mimo twych czterech łap.

Ruszyli żwawo, ale Balu mimo wszelkich wysiłków musiał bardzo prędko dać za wygraną i spocząć, bowiem zasapał się straszliwie. Zostawili go zalecając, by przybył jak najprędzej, a Bagera pomknęła szalonymi skokami. Kaa sunął w milczeniu, ale ani na chwilę nie udało się panterze wyprzedzić potężnego pytona. Pozostawał w tyle tylko w chwili, gdy przebywali potoki górskie, Bagera przesadzała je ogromnym susem, zaś Kaa musiał płynąć, wznosząc ponad wodę głowę i szyję. Ale dotarłszy do brzegu, równał się z nią rychło.

— Przysięgam na potrzaskane kraty — powiedziała o zmroku Bagera — że dzielny z ciebie wędrowiec!

— Jeść mi się chce! — odrzekł — A przy tym nie zapomniałem, że te pchlarze przezwały mnie cętkowaną kukułką!

— Jaszczurką! — poprawiła — A ponadto ziemną glistą!

— Mniejsza o wyrażenie! W każdym razie musimy się śpieszyć!

Wydawało się, że Kaa płynie po ziemi, niby rwący strumień. Bystrym spojrzeniem obierał najkrótszą drogę i nie zbaczał na włos z obranego kierunku.

Małpy zebrane w Mroźnych Pieczarach zapomniały już całkiem o opiekunach i obrońcach swego więźnia. Zaniósłszy chłopca do opuszczonego miasta, spoczęły na laurach po dokonaniu tak doniosłego czynu. Mauli nie widział dotąd w życiu hinduskiego miasta, więc mimo że ujrzał same tylko zwaliska, to dzieło rąk ludzkich wydało mu się nad wyraz wspaniałe i zdumiewające. Miasto pobudowane w niepamiętnych czasach przez jednego z radżów, którego posiadłości pochłonęła z wiekami dżungla, położone było na niewielkim wzgórzu. Widać było jeszcze ulice wyłożone flizami kamiennymi i bramy na poły zburzone, z szczątkami drzwi wiszącymi na przegryzionych rdzą zawiasach. Głazy murów

poprzerastały krzewy i wielkie drzewa, a ze ścian pospadały sztukaterie i płaskorzeźby, zaś leżąc długo na ziemi, uległy zwietrzeniu i rozsypały się w gruzy. Z okien wysokich baszt zwieszały się grube sploty lian i przysłaniały je zieloną szatą listowia.

Pośrodku widniał obszerny i okazały pałac bez dachu. Popękane tafle, którymi wyłożony był niegdyś dziedziniec oraz rozwalone cembrowiny studzien i wodotrysków pokryte były czerwonymi i szarymi plamami pleśni i porostów rozmaitych, a różne krzewy popodważały korzeniami nawet głazy, stanowiące obmurowanie dawnych stajen królewskich słoni, tak że leżały porozrzucane, jakby je umyślnie rozwalono. Z platformy pałacu widać było rozrzucone na upłazie wzgórza rozliczne domy miasta, tworzące dotąd kilka wyraźnie zarysowanych ulic. Pośród mroku rozwaliska te, pozbawione dachów, wyglądały razem wzięte jak duży, połamany i pozbawiony miodu plaster pszczeli.

U zbiegu dwu ulic widniała bezkształtna bryła kamienna, która była ongiś statuą jakiegoś bóstwa, gdzieniegdzie po rogach rozróżnić było można cysterny publiczne, studnie i resztki ścieków, a z wnętrza kilku świątyń o zapadłych kopułach wyrastały strzeliste palmy o pierzastych liściach i szerokich, wysokich pniach.

Małpy nazwały to miejsce swoim miastem i ujawniały wielką pogardę dla ludów dżungli żyjących w kniei, ale nie wiedziały zgoła, jaki cel mają te wszystkie zabudowania i co z nimi począć. Zasiadały gromadnie w wielkim przedsionku królewskiej sali radnej, szukały sobie pcheł, iskały się i pewne były, że postępują jak ludzie. Innym razem rozbiegały się po rozwaliskach i z trudem znosiły cegły i ułamki gzymsów w jedno miejsce, jakby miały zamiar doprowadzić miasto do porządku, ale za chwilę zapominały o wszystkim. Krzyczały, potrącały się, goniły i biły, za moment zaprzestawały tego wszystkiego i biegając po zdziczałym parku królewskim i tarasach pawilonów, trzęsły krzewami róż oraz

pomarańczowymi drzewami, patrząc na spadające kwiaty i owoce i bawiąc się nimi.

Z wielką troskliwością zwiedzały też ustawicznie wszystkie ubikacje pałacu, przejścia nad- i podziemne, setki małych i wielkich komnat, ale nie wiedziały nigdy, co już znają, a co jeszcze zwiedzić należy i błądziły pojedynczo lub grupami, paplając i zapewniając się wzajem, że zachowują się zupełnie jak ludzie. Od czasu do czasu piły z wielkiej cysterny pałacowej, mącąc jednak wodę, popychając się i kłócąc, a dla odmiany stawały w grupach i wołały:

— Nie ma w całej dżungli ludu tak rozumnego, silnego, dobrego i łagodnego, jak lud *bandar-logów*!

Zabawiały się miastem i udawaniem ludzi przez czas pewien, ale gdy im się to znudziło, wracały na wierzchołki drzew i starały się wszelkimi sposobami zwrócić na siebie uwagę innych ludów puszczy.

Mauli nauczył się od dziecka szanować prawa i żyć według nich, nie mógł tedy nawyknąć do tego rodzaju postępowania. Gdy przybył tu wraz z małpami, było już dosyć późno, ale miast udać się na spoczynek po długiej podróży, *bandar-logi* zaczęły tańczyć wokoło niego i śpiewać głupkowate piosenki. Jedna z nich w napuszonej mowie sławiła dzień pojmania chłopca jako epokę w życiu ludu, albowiem Mauli nauczy wszystkie małpy splatać gałęzie i budować zasłony przed wiatrem i deszczem. Słysząc to, nazbierał zaraz giętkich gałązek i zabrał się do roboty, a małpy starały się go naśladować, ale po chwili praca ta przestała budzić w nich zainteresowanie, toteż rozbiegły się, targając się wzajem za ogony, podskakując na czworakach i wydając gardłowe okrzyki.

— Jestem głodny! — powiedział na koniec — W tej stronie dżungli nie mogę się zwrócić do nikogo, przynieście mi tedy pożywienia, albo pozwólcie zapolować na własną rękę!

Kilkadziesiąt małp udało się zaraz za miasto zbierać dlań orzechy i owoce, ale gdy wracały, pobiły się między sobą, pogubiły to, co niosły i wróciły z niczym. Mauli był głodny i

miotał nim gniew straszny. Wałęsał się po opuszczonym mieście, od czasu do czasu rzucając hasło myśliwca, polującego na obcym terytorium, ale nie mógł się doczekać odpowiedzi. Widocznie miejsc tych, zażywających nader złej opinii, unikały wszystkie ludy dżungli i nie było nadziei napotkania nikogo.

— Sprawdza się — myślał — wszystko, co mówił Balu o *bandar-logach*. Nie znają one haseł myśliwskich, nie mają wodzów, słowem, żyją bez praw, paplając tylko głupkowato i posługując się zręcznie, ale bezcelowo rękami. Niezawodnie zginę tutaj z głodu, albo zostanę zabity i to z własnej winy. Muszę mimo wszystko spróbować, czy nie uda mi się wrócić do swojej dżungli. Balu wygrzmoci mnie tęgo, ale wolę wszystko, niż to obmierzłe przestawanie z nikczemnymi *bandar-logami*.

Zbliżył się niepostrzeżenie do murów miasta, ale małpy zauważyły to zaraz i zawróciły, zasypując go wyrzutami, iż nie dość wysoko ceni sobie szczęście, jakie się stało jego udziałem oraz szczypiąc go dotkliwie celem wzbudzenia uznania i wdzięczności. Zamilkł tedy i zacisnąwszy zęby, dał się zaprowadzić czeredzie małp na górny taras pałacu, skąd widać było cysterny z czerwonego granitu do połowy napełnione wodą deszczową. Pośrodku tarasu widniał zrujnowany pawilon z białego kamienia, pobudowany dla zmarłych dawno księżniczek. Kopuła tego pawilonu zwaliła się w połowie i przysypała wejście do korytarza, który wiódł tutaj z dolnych części pałacu, dając księżniczkom przystęp do tego uroczego miejsca. W ściany pawilonu wstawione były tafle z białego marmuru, pokryte bogatą, kunsztowną rzeźbą, a w mieszczące się powyżej owalne otwory powprawiał architekt przejrzyste płytki drogocennych kamieni, jaspisów, krwawników i agatów, tak że kiedy księżyc oblał jasnym światłem pałac, na posadzce i ścianach pawilonu rysowała się barwna delikatna sieć żyłek, podobna do przecudnej koronki czy haftu.

Mauli patrzył na to wszystko w niemym podziwie. Zły był, a jednak chwilami nie mógł się powstrzymać od śmiechu, słysząc

słowa czeredy małp, przekonujących go, że lud *bandar-logów* jest szlachetny, mądry i dobry, on zaś okazał głupotę wielką, chcąc się od nich wynieść.

— Jesteśmy wielkie, jesteśmy zdumiewające i osiągnęłyśmy szczyt wolności! Nie ma mędrszego od nas ludu w całej dżungli! Wszystkie to twierdzimy zawsze, przeto jest to prawdą niezaprzeczalną! Ty słyszysz te słowa po raz pierwszy, przeto zważ dobrze, byś mógł je powtórzyć wszystkim ludom całej dżungli! Niech tylko zwrócą uwagę na nas, a przekonają się o naszych niezrównanych przymiotach!

Mauli milczał, a wkoło niego gromadziły się coraz to liczniejsze zgraje, słuchając mówców, którzy wysławiali lud *bandar-logów*, ile razy zaś jakiś mówca zatrzymywał się, by nabrać tchu, wszystkie wrzeszczały społem:

— To prawda! To prawda! Wszystkie jesteśmy tego samego zdania!

Mauli siedział ze zwieszoną głową, przytakiwał ilekroć zwracano się doń z pytaniem, a cały ten piekielny rozgwar przyprawiał go o zawrót głowy.

— Niezawodnie musiał je pokąsać Tabaki! — myślał — Widocznie są szalone! Czyż nigdy nie sypiają?... Ach... widzę obłok... sunie ku księżycowi.... o ile będzie dość ciemny, spróbuję się wymknąć cichaczem. Nieszczęście tylko, że jestem taki wyczerpany!

Ruch tegoż samego obłoku śledzili bacznie dwaj sprzymierzeńcy, zaczajeni w zasypanym na poły rowie obronnym miasta. Zarówno bowiem Kaa, jak i Bagera wiedzieli dobrze, że walka z taką przewagą liczbową jest nader trudna. Małpy rzucają się zawsze we sto na jednego przeciwnika, więc mało które stworzenie dżungli może im sprostać.

— Podpełznę pod mur od zachodu i stamtąd rzucę się na nie znienacka! — powiedział Kaa — Mimo ogromnej przewagi, nie poważą się uderzyć na mnie! Niestety, ty...

— Rozumiem dobrze, — odrzekła Bagera — sprawa nader ciężka, szkoda, że nie ma starego Balu, ale uczynię, co się da!

Gdy tylko obłok zasłoni księżyc, skoczę na taras i przerąbię się przez tłum, który, jak mi się zdaje, odbywa jakąś naradę nad losem mego chłopca.

— Szczęśliwych łowów! — syknął dziko Kaa i znikł w trawie, pełznąc ku zachodniej stronie.

Mur był jednak wcale dobrze zachowany i pyton musiał zmitrężyć sporo czasu, zanim znalazł drogę i nań się wygramolił.

Obłok przysłonił księżyc, gdy Mauli usłyszał na tarasie lekkie kroki Bagery. Pantera, dostawszy się na taras, nie tracąc czasu na zagryzanie małp, rozbijała im tylko łby uderzeniami łap i starała się przebić gruby pierścień ciał, otaczających chłopca. Liczył on jednak około sześćdziesięciu rzędów. Rozległy się skowyty przerażenia i wściekłości, Bagera deptała po ciałach i kroczyła naprzód, nagle jednak zabrzmiał okrzyk:

— Wróg jest sam tylko jeden! Zabijmy go!

Ogromny tłum rzucił się na panterę, kąsając, drapiąc, szarpiąc, a kilka małp pochwyciło chłopca, wciągnęły go na szczyt pawilonu i strąciły w zasypany na poły korytarz. Gdyby Mauli był wychowany przez ludzi, potłukłby się niezawodnie, spadając z tak znacznej wysokości, ale wiedział on od starego Balu, jak spadać należy, przeto stanął na nogach i rękach i prócz silnego wstrząsu nie odniósł żadnego przykrego obrażenia.

— Siedź tam — krzyczały małpy — Rozprawimy się wpierw z twymi opiekunami, a potem damy ci nauczkę, o ile zresztą lud jadowitych pozostawi cię przy życiu.

— Ja i wy jesteśmy jednej krwi! — krzyknął śpiesznie Mauli, dodając hasło wężów.

Wokoło siebie słyszał szmery i syki, przeto dla pewności powtórzył raz jeszcze hasło.

— Dobrze… dobrze… ss… ss… Pochowajcie żądła wszyscy! — rozległy się przyciszone głosy — Nie ruszaj się tylko, bracie, byś nas nie porozdeptywał.

Każda ruina w Indiach zmienia się powoli w osiedle węży i tutaj zatem roiło się od okularników. Mauli stał, starając się nie

ruszać wcale i przez szparę w ścianie śledził przebieg walki pantery z *bandar-logami*, oraz słuchał wrzasków małp. Bagera po prostu nurkowała w fali wrogów, po raz pierwszy walcząc w obronie własnego życia.

— Balu musi być gdzieś w pobliżu! — pomyślał Mauli — Bagera nie mogła przybyć sama!

Nagle krzyknął głośno:

— Do cysterny, Bagero! Do zbiornika i wskocz do wody!... Zanurz się!

Panterze okrzyk ten, świadczący, że Mauli żyje, dodał otuchy. Postępując krok za krokiem wśród nieustannej walki, dotarła nareszcie z wysiłkiem do cysterny. W tej samej chwili dał się słyszeć podobny do warkotu bębna okrzyk bojowy starego Balu, który, mimo wszelkich wysiłków, w żaden sposób nie mógł przybyć prędzej.

— Jestem, Bagero! — wołał — Śpieszę! Biegnę! Ahuuu! Tylko kamienie usuwają mi się spod nóg! Czekajcie, nikczemne *bandar-logi*, sprawię ja wam łaźnię!

W chwili, kiedy ukazał się zasapany na szczycie muru, zalała go fala małp i przykryła. Ale silny niedźwiedź przysiadł na zadnich łapach, a wyciągając przednie szeroko, tak by ogarnąć największą liczbę napastników, zaczął młócić regularnie, potężnie, miarowo, z łoskotem, przypominającym dudnienie obracającego się młyńskiego koła.

Plusk wody i skok dały poznać chłopcu, że pantera dostała się już do cysterny, gdzie jej nie mogły dosięgnąć małpy. Pantera, krztusząc się wodą, stała pośrodku zbiornika z łbem wzniesionym ponad powierzchnię, a cembrowinę obiegły *bandar-logi* w kilku rzędach. Podskakiwały w górę rozwścieczone, gotowe rzucić się na nią ze wszystkich stron na wypadek, gdyby usiłowała pośpieszyć z pomocą niedźwiedziowi.

Chwila była krytyczna, uczuła to Bagera, toteż podnosząc w górę ociekający podbródek, wydała okrzyk i wzywając sprzymierzeńca na ratunek, wygłosiła hasło ludu węży:

— Ja i ty jesteśmy jednej krwi!

Sądziła, że Kaa cofnął się od udziału w ostatniej chwili, a Balu, mimo że był niemal zaduszony naporem małpich ciał na skraju tarasu, słysząc, że wzywa pomocy, nie mógł się oprzeć wybuchowi śmiechu.

Tymczasem Kaa dopiero teraz zdołał sobie utorować drogę i zsunął się z muru tak gwałtownie, że jeden z wielkich szczytowych głazów zwalił się z łoskotem na ziemię. Chcąc wyzyskać w całej pełnił swą przewagę, Kaa jął studiować uważnie położenie każdego kawałka swego olbrzymiego cielska, zwijając i rozwijając sploty. Tymczasem trwała dalej walka małp z niedźwiedziem, pilnujące pantery *bandar-logi* wrzeszczały przeraźliwie, a nietoperz Mang oblatywał wokół puszczę i tak gorliwie głosił wieść o wielkim boju, że poruszony tym dziki słoń-samotnik, Hati, zaczął trąbić na alarm. Pobudziły się zgraje małp rozpierzchłych po lesie, zbiegły się ze stron najdalszych i skacząc z drzewa na drzewo znanymi sobie gościńcami napowietrznymi, pośpieszyły na pomoc siostrom z Mroźnych Pieczar, z których okolicy walka powystraszała na dziesięć kilometrów wokół wszystkie śpiące w nocy ptaki dzienne.

W takiej to chwili wystąpił na arenę wyprostowany, żądny walki, potężny Kaa. Siła pytona polega na ciosie łbem wspartym potężnymi muskułami i wagą całego ciała. Wyobraźmy sobie belkę albo taran, a w końcu młot ważący około dziesięciu centnarów, na długiej osadzony rękojeści, kierowany zimnym wyrachowaniem i niezłomną wolą, a będziemy mieli pojęcie o sile ciosów walczącego Kaa. Pyton o czterech, do pięciu stopach długości obalić może człowieka, uderzywszy go w piersi głową, a wiemy, że Kaa miał stóp trzydzieści. Po cichu, bez najmniejszego szmeru wymierzył odległość i posłał cios w sam środek zwartego, otaczającego niedźwiedzia tłumu małp i cios ten zadecydował o wszystkim. Nie potrzebował już uderzać po raz drugi. Małpy rozpierzchły się na wszystkie strony wrzeszcząc rozpaczliwie:

— To Kaa… to on! Zmykajmy! Zmykajmy!

Od całego szeregu pokoleń małpy żyły w nieustannym strachu przed pytonem skalnym. Od praojców i pradziadów nasłuchały się opowiadań o owym straszliwym napastniku, który ślizga się po nocy, wzdłuż konarów bezszelestnie, nieznacznie i porywa największe i najdzielniejsze małpy, zanim mogą krzyknąć na trwogę. Wiedziały, że nie ma przeciw niemu obrony, gdyż upodabnia się tak do suchego konara, że wprowadza w błąd najdoświadczeńsze małpy, które nie spostrzegają podstępu, dopóki ich nie pochwyci. W całej dżungli jedynie węża Kaa bały się małpy, bowiem nie wiedziały, gdzie kończy się jego potęga, nie mogły znieść jego spojrzenia, a także żadna nie wyrwała się żywcem z jego splotu.

Pouciekały tylko co żywo na wyższe piętra pałacu, jęcząc z przerażenia, a Balu odetchnął swobodnie. Mimo iż futro jego gęstsze było dużo od sierści Bagery, ucierpiał niemało w walce.

Teraz Kaa przerwał milczenie i wysyczał jedno, bardzo długie słowo, które podziałało piorunująco. Śpieszące na pomoc siostrom *bandar-logi* skamieniały i zastygły w bezruchu na gałęziach, trzeszczących pod ich ciężarem. Te, które obsiadły piętra domów i szczyty murów, zamilkły i uczyniła się taka cisza, że Mauli słyszał szelest kropel wody spadających z sierści Bagery, która wyszła z cysterny i otrząsała się nerwowo.

Po chwili wrzaski podniosły się na nowo. Małpy, odrętwiałe zrazu, wyły teraz ze strachu, wdrapując się na co najwyższe miejsca ruin i bezkształtne posągi bożków, skakały także z jednej baszty na drugą, a Mauli, patrząc przez szczelinę w ścianie, podskakiwał z radości i hukał jak puszczyk, wyrażając tym pogardę dla wrogów.

— Pomóż chłopcu wydostać się z pułapki! — poprosiła Bagera. — Ja tego dokazać nie potrafię! — Dyszała ciężko, wyczerpana walką — Zabierzemy go — dodała — i udamy się co prędzej z powrotem — gdyż zachodzi obawa, że rzucą się na nas ponownie!

— Nie ruszą się z miejsca bez mego pozwolenia!— odrzekł Kaa — Cicho tam! Siedzieć spokojnie!

Syknął i zaraz cisza zapanowała grobowa w całym mieście.

— Nie mogłem przybyć rychlej — powiedział do Bagery — mimo że słyszałem twe wołanie!

— Wołanie? — zdziwiła się — Być może, że w wirze walki wyrwał mi się jakiś okrzyk! I cóż, stary Balu — dodała — jak żeś wyszedł z tej przygody?

— Uf! — mruknął niedźwiedź — Nie wiem jeszcze, czy nie rozerwały mnie na sto małych niedźwiadków! — Potrząsnął każdą łapą z osobna i dodał: — Jestem, jak się to mówi, zbity na kwaśne jabłko! O ile mi się zdaje, poczciwy Kaa, tobie to wraz z Bagerą zawdzięczamy ocalenie życia!

— Nie ma o czym mówić! — odrzekł Kaa — Ale gdzież jest ten wasz mały człowieczek?

— Siedzę tutaj w tej dziurze! — krzyknął Mauli spod gruzów sklepienia — Nie mogę się sam wydostać w żaden sposób!

— Weźcież go sobie! — prosiły okularniki — Skacze i kręci się bez ustanku jak paw Mor i gotów nam porozdeptywać jaja!

— Ha… Ha… — zaśmiał się Kaa — Widzę, że ten malec umie sobie wszędzie zjednać przyjaciół! Usuń się w tył chłopcze! — zawołał — Pochowajcie się, jadowici! Będę rozwalał mur.

Przyjrzał się dokładnie budowli i wybrał punkt słabszy pośrodku otworów dla wpuszczenia światła przeznaczonych. Potem stuknął kilka razy głową na próbę, a następnie, uniósłszy w górę około sześciu stóp ciała, jął ze wszystkich sił walić w mur głową niby młotem.

Za szóstym uderzeniem ściana drgnęła, a za następnym rozsypała się w gruz, z którego buchnęły w górę obłoki pyłu. Mauli wyskoczył spośród rozwalisk, pobiegł ku Bagerze i Balu i zarzucił im ramiona na szyję, witając serdecznie.

— Czyś przypadkiem nie ranny? — spytał troskliwie Balu, tuląc go do siebie.

— Jestem zmęczony, głodny i potłuczony okropnie! — odparł — Ale jakże okrutnie postąpiły *bandar-logi* z wami, drodzy

moi! Jesteście oboje oblani krwią!

— Im się lepiej jeszcze dostało! — rzekła Bagera, oblizując się i patrząc na stosy małpich zwłok wokoło cysterny.

— Wszystko to drobnostka, gdy tylko ocalałeś, ty, Mauli, żabko moja droga! — odezwał się wzruszonym głosem Balu.

— Pomówimy jeszcze o tym szerzej! — zauważyła Bagera oschle, co w wielkie niezadowolenie wprawiło chłopca — Ale spójrz no tam — dodała — to potężny Kaa, który zadecydował o zwycięstwie w dzisiejszej walce. Zawdzięczasz mu życie, przeto podziękuj mu, Mauli, jak to nakazują nasze obyczaje.

Mauli obejrzał się, a potem, spojrzawszy w górę, ujrzał olbrzymi łeb pytona, zawieszony tuż ponad swoją głową.

— Więc to jest ów drobiazg ludzki? — zdziwił się Kaa — Zaprawdę skórę ma bardzo delikatną i niewiele różni się od *bandar-loga*. Uważaj, mały — dodał — bym się kiedy o zmroku nie zmylił i nie wziął cię za małpę, co się zwłaszcza zdarzyć może po zmianie skóry.

— Ja i ty jesteśmy jednej krwi! — odparł Mauli. — Ocaliłeś mi dzisiaj życie, przeto odtąd zdobycz moja będzie twoją zdobyczą, gdy będziesz głodny, o potężny Kaa.

Pyton zmrużył drwiąco oczy i powiedział:

— Dziękuję ci, mój bracie! Będzie to, sądzę, nie lada zdobycz, którą upoluje tak dzielny jak ty myśliwy. Rad bym ci towarzyszyć w najbliższych łowach.

— Sam nie rzucam się jeszcze na grubego zwierza — odrzekł śmiało Mauli — nie mam sił po temu, ale potrafię napędzać jelenie na łowców, którzy umieją sobie z nimi dać radę. Zawezwij mnie tylko, Kaa, gdy będziesz głodny, a przekonasz się, że to co mówię, jest prawdą. Dzięki temu — dodał, pokazując swe ręce — posiadam pewną zręczność i gdybyś kiedy dostał się w sidła, postaram się odpłacić ci tę przysługę, jaką mi oddałeś, podobnie jak chętnie uczynię to Bagerze i Balu. A teraz życzę wam powodzenia i dobrych łowów, moi mistrzowie i opiekunowie!

— Gładkoś to powiedział! — zawołał Balu, zadowolony niewymownie z jego sprytu.

Pyton złożył na chwilę głowę na ramieniu chłopca i rzekł:

— Masz dzielne serce i umiesz się grzecznie wyrażać, mój mały! A teraz odejdź prędko wraz ze swymi przyjaciółmi i prześpij się, bo oto właśnie zachodzi księżyc. Lepiej, byś nie był świadkiem tego, co się tutaj będzie działo.

Księżyc z wolna zapadał poza linię wzgórz, a na jasnym tle, niby jakaś fantastyczna koronka rysowały się wiotkie cienie małp drżących, przytulonych do siebie, wieńczących gzymsy ścian i zębate rozwaliny murów.

— Księżyc zachodzi! — zawołał Kaa — Czy dosyć widno, byście mnie widzieć mogły, *bandar-logi*?

Z murów doleciał żałosny głos, niby jęk wichru w koronach drzew:

— Widzimy cię, potężny Kaa!

— To dobrze! Uważajcież tedy pilnie, bowiem władca wasz wykona wielki, głodowy taniec. Siedźcie spokojnie i patrzcie!

Zakołysał się falisto, zatoczył kilka kręgów i począł chwiać w prawo i lewo potworną głową, przypominającą w tej chwili olbrzymie wahadło. Skręcał długie ciało swoje w pierścienie, ósemki, tworzył zeń zaokrąglone po narożach trójkąty, rozlewne kwadraty, to znów pięcioboki, przechodzące w faliste pagórki. Wił się ciągle miarowo, bez pośpiechu, a ruchom tym towarzyszył monotonny szmer brzękliwej pieśni. Noc schodziła coraz to głębsza, sploty węża tonęły w ciemności, wreszcie znikło wszystko i słychać było tylko szczękanie łusek, trących się o siebie w tańcu.

Balu i Bagera stali nieruchomo jak skamieniali, z najeżonymi grzbietami, tłumiąc wyrywające się z paszczy głuche ryki. Mauli patrzył na to wszystko obojętnie, dziwiąc się tylko niezwyczajnemu zdarzeniu.

— *Bandar-logi*! — zawołał Kaa. — Czy możecie poruszyć ręką lub nogą bez woli mojej? Mówcie!

— Bez twej woli, o wielki Kaa, władco nasz, nie możemy ruszyć ręką ni nogą! — odrzekły chórem.

— Dobrze! Zbliżcie się teraz trochę do mnie! — rozkazał.

Bez najlżejszego oporu szeregi małp ruszyły naprzód, a wraz z nimi Bagera i Balu postąpiły kilka kroków ku wężowi.

— Bliżej! — syknął Kaa.

Wszystko zbliżyło się znowu do pytona.

Mauli chwycił za karki Balu i Bagerę i odciągnął je w tył, a potężne zwierzęta zadrżały, jakby nagle obudzone z jakiegoś sennego odrętwienia.

— Trzymaj dalej rękę na moim karku! — powiedziała z cicha Bagera — Inaczej będę zmuszona zawrócić i pójść w kierunku Kaa! Ach!

— Cóż ci się stało? — zdziwił się Mauli — Wszakże to tylko stary pyton, tańczący na piasku! Chodźmy stąd!

Wszyscy troje wysunęli się przez wyłom w murze i znaleźli się za chwilę w dżungli.

— Uff! — odsapnął Balu, oddychając rzeźwym powietrzem kniei — Nigdy w życiu nie wejdę w przymierze z wężem Kaa.

Wzdrygnął się całym ciałem.

— Niepodobna się z nim mierzyć! — przyznała Bagera, drżąc również — Czułam, że za małą chwilkę sama rzucę się w paszczę węża!

— Niejednego spotka ten los, zanim zaświta poranek! — powiedział Balu — Kaa będzie miał swego rodzaju pomyślne łowy!

— Nie rozumiem was — dziwił się Mauli, na którym żadnego wrażenia nie czyniły czary węża. — Widziałem tylko dużego pytona podrygującego w śmieszny sposób, dopóki się całkiem nie ściemniło. Jakże miał zabawnie podbity nos… ha ha ha!

— Mauli! — krzyknęła gniewnie Bagera — Nie śmiej się z jego nosa, albowiem zranił go sobie z twojej winy! Podobnie z twojej winy ja mam potargane uszy, podrapane boki i łapy, a Balu

kark i plecy. Przez długi czas ani ja, ani on, nie będziemy wcale w odpowiednim do polowania usposobieniu.

— To drobiazg! — powiedział Balu — Rzecz główna, żeśmy odzyskali naszą żabkę ludzką!

— Zapewne! — przyznała. — Ale zapłaciliśmy za to drogo. Straciliśmy czas, który można było obrócić na celowe łowy, po wtóre zaś postradaliśmy mnóstwo sierści, bo całe boki mam obdarte, odnieśliśmy rany, a nawet szwank na honorze. Tak jest! Nie zapominaj o tym, Mauli, że ja, czarna pantera, musiałam wzywać rozpaczliwie na ratunek pytona, a także, że razem ze starym Balu byliśmy bezradni jak płochliwe ptaszęta, wobec głodowego tańca. Do tego wszystkiego doprowadziły nas twoje bezrozumne igraszki z *bandar-logami*.

— Prawda! Prawda! — odrzekł zmartwiony Mauli. — Jestem szkaradny, nieposłuszny, niewdzięcznik! Żałuję z głębi serca tego, com uczynił!

— Hm… — mruknęła pantera. — Cóż powiada prawo? Powiedz, Balu.

Balu byłby wolał oszczędzić kary ulubieńcowi, ale nie śmiał lekceważyć prawa dżungli, przeto rzekł niechętnie, półgębkiem:

— Żal nie może zastąpić kary! — dodał jednak zaraz. — Ale miejże wzgląd, Bagero, że to takie małe i słabe dziecko!

— Nie zapomnę o tym! — zapewniła go. — Ale dopuścił się przewiny, przeto kara ominąć go nie może. Czy masz coś na swoją obronę, Mauli?

— Nic a nic! — odparł śmiało. — Ponoszę winę wielką! Poranioną zostałaś ty i Balu! Kara mi się należy.

Bagera wymierzyła mu kilka uderzeń. Były to razy nadzwyczaj lekkie i przyjacielskie jak na panterę i własne jej dzieci nie byłyby się nawet przebudziły ze snu, ale dla siedmioletniego malca stanowiły karę bardzo dotkliwą.

Po egzekucji Mauli rozpłakał się, ale nie powiedział ani słowa, starając się zapanować nad doznanym cierpieniem.

— A teraz, malcze, siadaj na mój grzbiet i śpieszmy do domu! — zawołała Bagera.

Prawo dżungli powiada, że kara umywa wszelką winę i ustają po niej urazy. Jest to wielką zaletą onego prawa.

Mauli oparł głowę o grzbiet pantery i zapadł w sen tak głęboki, że nie zbudził się nawet wówczas, gdy przybyli na miejsce i gdy został złożony w wilczej jamie obok swych przybranych braci.

Śpiew *bandar-logów* wędrujących

Księżyc oświeca cudnie
Festony i girlandy małp na drzewach!
O, zaprawdę, nie masz ludu jako my,
Najwolniejszym jesteśmy narodem!
W waleczności i dowcipie niesiężni,
Budzimy zazdrość wszystkich, a przeto
Udają, że nas nie widzą! Lecz mniejsza o to,
W beztroskiej igraszce ciągniem się za ogony!

Plany żywimy ogromne!
Zmianę losów postanawiamy narodu…
Zebrane w gęstwie wielkich drzew
Marzymy, o czym się nie śni, zaprawdę,
Ludom dżungli jak długa i szeroka.
Genialne myśli nas tłoczą…
Wtem nagle spada orzeszek, wzrok go śledzi.
Myśli pierzchają z głowy! Mniejsza o to!
W beztroskiej igraszce ciągniem się za ogony!

Mowa nasza przebogata!
Słowa coraz inne, nowe,
Czerpiemy z języków wszelakich!
Z lwa pomruku, ptasich głosów,
Pisk, szczekanie, pomruk, syki,
Każdy odgłos, piór szelesty,
Łusek tarcie, słowem cały
Skarb odgłosów, wszystko razem,
Oto jest nasza mowa, oto nasz język wspaniały.
Czy jest dźwięczny? Mniejsza o to!
W beztroskiej igraszce ciągniem się za ogony!

Oto jest życie, oto wolność *bandar-logów*.

Ogromną, zwartą gromadą, poprzez mroki kniei,
Poprzez liany, drzew wierzchołki, przesadzając przepaści,
Z hałasem bujnej radości, pośród łomotu gałęzi,
Pędzimy w dal, ku jakimś dalekim celom, ku szczęściu i sławie!

Na tygrysa

Jakże ci łowy dziś się udały?
Wracam z zasadzki niemal skostniały.
Gdzież łup i czemuż ta smutna mina?
Po lesie buja moja zwierzyna.
Gdzież się podziały twa siła, męstwo?
Los smutny odniósł walne zwycięstwo!
Dokądże zdążasz, gdy wstają zorze?
Chcę marnie zdechnąć w mej ciemnej norze.

Musimy wrócić do poprzedniego opowiadania.

Mauli po rozprawie ze stadem na Skale Rady udał się na pola, uprawiane przez mieszkańców małej osady, tuż pod dżunglą, ale nie pozostał tutaj. Czuł, że wróg jego jest jeszcze za blisko, przeto szedł dalej po kamienistej drodze, ciągle schodząc niżej ku dolinom i dopiero przebywszy kilkadziesiąt kilometrów, zatrzymał się w nieznanej sobie zupełnie okolicy, na rozległej równinie, na której widniały rozsiane, skaliste pagórki, poprzerzynane kotlinami. W dali ujrzał niewielką osadę, ku której spływała z połogiego upłazu knieja, zatrzymując się z nagła, jakby ucięta tuż przy oprawnych polach. Po pastwiskach chodziły krowy domowe i bawoły pod strażą małych chłopców, którzy na widok przybysza pierzchnęli z krzykiem ku wsi, a rude, włóczące się po każdej wsi indyjskiej psy zaczęły zajadle szczekać.

Mauli był głodny, przeto szedł dalej ku osadzie, aż zbliżył się do palisady otaczającej ją wokół. Zauważył przy drodze nagromadzony stos ciernistych gałęzi przygotowanych widocznie po to, by za nastaniem nocy zagrodzić wejście.

Nieraz podczas swych wypraw po żywność Mauli natrafił na tego rodzaju zapory, przeto mruknął do siebie:

— Hm… więc nawet w tej odległości od kniei ludzie boją się mieszkańców dżungli!

Usiadł przy bramie i czekał, gdy zaś ujrzał pierwszego człowieka, wstał i wkładając do ust palec, dał mu do poznania, że jest głodny.

Człowiek ów stał przez chwilę, patrząc nań szeroko otwartymi oczyma, potem zaś puścił się pędem ulicą wioski, zmierzając ku kapłanowi, otyłemu, biało ubranemu hindusowi z czerwono-żółtymi znamionami na czole. Po chwili ukazał się przy bramie ów kapłan w otoczeniu przeszło setki ludzi, którzy patrzyli zdumieni, rozprawiali, krzyczeli i pokazywali palcami przybysza.

— Niezbyt grzecznie zachowują się owe istoty, zwane ludźmi! — mruknął do siebie Mauli — Nawet rude małpy wstydziłyby się takiego postępowania!

Odgarnął swe bujne włosy i spozierał na tłum spod oka.

— Nie macie się czego obawiać! — powiedział kapłan — Przypatrzcie się bliznom na jego rękach i nogach. To ślady ukąszeń wilków. Jest to niezawodnie tak zwany chłopak-wilk, porwany dawniej do dżungli.

Wilczęta igrające z chłopcem gryzły go często dotkliwiej niż zamierzały i miał na rękach i nogach sporo białawych szram. Ale nie nazwałby tego nigdy sam bliznami po ukąszeniach, wiedział bowiem dobrze co to ukąszenie.

— Arre! Arre! — wołało tymczasem kilka kobiet. — Biedny chłopak, pokąsany przez wilki! A jaki ładny! Oczy płoną mu niby ogień. Zaprawdę, Messuo, podobny całkiem do twego synka, którego porwał tygrys.

— Zaraz! Przyjrzę mu się! — zawołała kobieta, przybrana w ciężkie, miedziane bransolety na rękach i nogach, przysłaniając dłonią oczy.

— Prawda! — rzekła po chwili. — Trochę chudszy, ale oczy ma zupełnie podobne!

Kapłan był zręcznym człowiekiem i pamiętał, że Messua to żona najbogatszego w wiosce osadnika. Podniósł przeto na

chwilę oczy w niebo, a potem powiedział z namaszczeniem:

— Dżungla oddaje to, co zabrała! Zabierz do siebie chłopca, siostro moja, a nie zapomnij o czci winnej kapłanowi, który odkrył tak głęboko ukrytą tajemnicę życia.

— Przysięgam na bawołu, który mnie okupił — myślał Mauli — że cała ta gadanina przypomina mi Skałę Rady, na której mnie pono przyjmowano do stada wilków. Ale skoro jestem człowiekiem, muszę zastosować się do obyczajów ludzkich.

Spostrzegłszy, że Messua daje mu znak, poszedł za nią, a tłum rychło się rozproszył. Mauli znalazł się niebawem w chacie, w której znajdowało się jaskrawo pomalowane łóżko oraz wielki sąsiek na zboże z wypalonej gliny, ozdobiony dziwnym, wypukło rzeźbionym deseniem, dalej zaś kilka miedzianych rondli, posążek bożka w małej wnęce, na ścianie zaś wisiało lśniące lusterko, kupione zapewne na wiejskim jarmarku.

Kobieta dała mu duży kubek mleka oraz kawałek chleba, potem zaś położyła dłoń na jego głowie i spojrzała mu badawczo w oczy. Myślała, że jest to może rzeczywiście syn jej, którego porwał i uniósł do dżungli tygrys, a myśląc tak, zawołała nań po imieniu:

— Natoo! Natoo!

Ale Mauli nie dał poznać, że zna to imię.

— Wszakże pamiętasz nowe trzewiki, które ci dałam? — spytała po chwili, spojrzawszy atoli na zrogowaciałe twarde stopy jego, dodała: — O nie! Te nogi nie nosiły nigdy trzewików! — Pomyślała jednak, że chłopiec mimo wszystko przypomina jej syna, przeto będzie go uważała za utraconego Natoo!

Mauli nie czuł się dobrze w zamkniętej przestrzeni i uspokoił się dopiero, obejrzawszy słomiane poszycie dachu, którędy łatwo można było się wymknąć, zrobiwszy poprzód dziurę. Do reszty wróciła mu pewność siebie, gdy zauważył, że okno stancji nie domyka się jak należy.

Potem powiedział sobie:

— Nic mi po tym, że jestem człowiekiem, gdy nie rozumiem ludzkiego języka. Wszakże bezradność moja i osamotnienie jest

takie jak człowieka zabłąkanego w ostępie kniei. Muszę co prędzej nauczyć się po ludzku!

Niezmiernie przydatną okazała mu się teraz umiejętność naśladowania głosów zwierząt puszczy, którą osiągnął podczas życia pośród wilków. Podobnie jak łatwo mu przychodziło powtarzać bek jeleni i dzików, zaczął teraz dokładnie powtarzać każdy wyraz Messuy i zanim nadeszła noc, nauczył się nazywać znaczną ilość przedmiotów znajdujących się w chacie.

Gdy przyszło kłaść się spać, Mauli nie chciał za nic pozostać w zamknięciu, które mu przywodziło na myśl pułapkę na pantery i gdy przymknięto drzwi chaty, wyskoczył oknem.

— Daj mu spokój! — powiedział mąż Messuy — Nie spał on widać dotąd nigdy w łóżku. Nie ucieknie od nas, jeśli został po to zesłany, by nam zastąpił straconego syna.

Mauli położył się w miękkiej trawie na skraju pola, zanim jednak zdążył zamknąć oczy, uczuł, że przytula się do jego piersi wielki, szary łeb.

— A to coś niesłychanego! — warknął Brat Szary, najstarszy z potomków matki-wilczycy — Już przesiąkłeś cały odorem dymu i gnoju obory. Nie warto było biec tak daleko do ciebie. Zbudź się jednak, bracie, bo ci przynoszę ważne wieści!

— Cóż słychać w dżungli? — spytał Mauli, tuląc do siebie wilka — Czy wszyscy zdrowi?

— Zdrowi, z wyjątkiem tych wilków, które poparzyłeś szkarłatnym kwieciem. Ale rzecz ważna dla ciebie to to, że Shere-Khan ruszył na łowy w dalekie strony. Chce, by mu odrosło futro przysmalone przez ciebie, a przy tym zamierza cię odnaleźć, bowiem złożył przysięgę, że kości twe zatopi w nurtach Wajgungi.

— Obaj przysięgliśmy tedy! — odparł Mauli — Ano, trudna rada, w każdym jednak razie dobrze jest być o wszystkim poinformowanym. Dzisiaj jestem strasznie znużony rozlicznymi przygodami, przeto będę spał, nie zapomnij jednak, Bracie Szary, donosić mi o wszystkim!

— A ty nie zapomnij, że jesteś wilkiem! Nie daj się skłonić do tego ludziom! — powiedział wilk z porywem.

— Nie zapomnę nigdy! Jakżebym mógł zapomnieć o miłości, jaką otaczaliście mnie wszyscy w norze? Ale i o tym pamiętać będę, że mnie wygnano ze stada!

— Hm, nie wiadomo, czy i ludzie długo cię pośród siebie znosić będą? — zauważył wilk — Ich gadanina tyle warta, co rechot żab w bagnie. Teraz idę, a na drugi raz, gdy przybędę z odwiedzinami, będę czekał na ciebie w szuwarach bambusowych, na skraju pastwiska.

Mauli nie opuszczał wioski przez trzy miesiące i cały czas obracał na zapoznawanie się ze zwyczajami i obyczajami ludzkimi. Nosił teraz opaskę na biodrach, która mu zrazu bardzo dokuczała, a dotąd pojąć nie mógł, choć go uczono, na co istnieją pieniądze i jaką posiadają wartość. Również za rzecz zgoła niepotrzebną uważał uprawę roli. Wiejskie wyrostki i malce kpiły zeń i wyśmiewały z powodu, że przekręcał wyrazy, dziwnie się zachowywał i nie chciał bawić się puszczaniem latawca, a Mauli miał nieraz wielką ochotę urządzić pośród nich pogrom straszliwy. Ale w dżungli nauczył się poskramiać wybuchy gniewu, od czego w ostępie zależy niejednokrotnie życie, a co najmniej już możność zdobycia strawy. Ponadto wiedział, że nie wypada wielkiemu myśliwemu polować na nędzne, słabe i nieopierzone stworzenia. Nie wiedział natomiast, że jest silny. W dżungli, w porównaniu ze zwierzętami był niemal bezbronny, teraz natomiast wszyscy twierdzili, iż posiada moc bawołu.

Nie miał również wyobrażenia o różnicach kastowych pomiędzy ludźmi. Pomagał też nieraz garncarzom wyciągać za ogon osła, który osuwał się często do dołu z gliną albo znów układać garnki w stosy, kiedy udawali się na targ do Kaniwary. Wiadomo, że garncarz jest to istota klasy najniższej, a czymże mógł być dopiero jego osioł, toteż kapłan wioskowy udzielił chłopcu nagany za to nieprzyzwoite wprost postępowanie. Ale Mauli oświadczył kapłanowi, że gdy mu się spodoba, to jego

samego posadzi na osła. Wobec tego świątobliwy człowiek poradził mężowi Messui, by zaprzągł chłopca niezwłocznie do jakiejś pracy, co się też stało zaraz. Naczelnik gminy oznajmił mu, iż jutro o świcie ma wyprowadzić na pastwisko bawoły wioskowe i pilnować ich dobrze przez cały dzień, aż do zmroku.

Mauli uczuł wielką radość. Ponieważ została mu powierzona czynność publiczna, przeto udał się tegoż wieczora na zebranie ogólne, to jest przyłączył się do tych, którzy gromadzili się co dzień, gdy się ściemniło na wykładanym kamieniami placyku, pod ogromnym figowcem. W owym klubie miejscowym palili fajki i gawędzili: naczelnik gminy, strażnik, felczer, opowiadając sobie różne plotki, a stary Buldeo, strzelec wiejski, jedyny posiadacz strzelby, wyplatał niesłychane historie o swych przygodach łowieckich.

Na najwyższych gałęziach gimnastykowały się małpy, wydając piski, zaś opodal, niedaleko mostu na rzece żył czczony we wsi okularnik, święty wąż, któremu co wieczór ofiarowywano wielką miskę mleka.

Starzy, siedząc wokół drzewa i do późnej nieraz nocy pykając z fajeczek, snuli opowieści o bogach, ludziach i upiorach, a Buldeo rozwodził się nad zwyczajami i obyczajami dzikich zwierząt dżungli, co wprawiało w zachwyt nieopisany i podziw gromadę malców i wyrostków, cisnących się do opowiadającego.

Mauli znał oczywiście to, o czym mówił myśliwy, toteż, słuchając, musiał zasłaniać dłońmi twarz, by ukryć śmiech, a tylko ramiona mu drżały od powstrzymywanej wesołości.

Buldeo siedział, trzymając w poprzek kolan swą słynną fuzję i łgał jedną po drugiej coraz to dziwniejsze historie. Dziś właśnie wyjaśniał słuchaczom, że tygrys, który porwał syna Messui, był upiorem pewnego, przed kilkunasty laty zmarłego lichwiarza, którego dusza przeszła w ciało czworonoga.

— Tak jest — mówił — a dowód najlepszy, iż to prawda, mamy tuż przed oczyma. Purun Das utykał na jedną nogę, albowiem przetrącono mu ją podczas znanej dobrze awantury,

kiedy to ludność spaliła lichwiarskie jego księgi i poturbowała go srodze. Otóż tygrys, o którym mówię, kuleje również na jedną nogę, co widać z nierównych jego śladów.

— Tak, to dowód oczywisty! — zgodzili się jednomyślnie słuchacze.

— W całej tej historii nie ma śladu sensu! — zawyrokował nagle Mauli — Tygrys urodził się kulawy, przeto utyka. Ale głupstwem jest twierdzenie, że dusza lichwiarza pokutuje w tym zwierzęciu, które zresztą, jak to wiem dobrze, nie zdobyło się nigdy na odwagę szakala.

Buldeo osłupiał na tę śmiałość i nie mógł wymówić słowa, a naczelnik wlepił również w chłopca szeroko otwarte oczy.

— A… to ten dzikus, wilczybrat! — powiedział po chwili myśliwy i dodał: — Jeśliś taki mądrala, to ściągnij zeń skórę i zanieś do Kaniwary, gdzie dostaniesz sto rupii nagrody! Smarkacz jesteś i masz milczeć, gdy mówią starsi… rozumiesz?

Mauli wstał i rzekł, odchodząc i spozierając przez ramię na zebranych:

— Przez cały wieczór opowiadał Buldeo o dżungli, którą ma przecież tuż przed sobą i zaledwie raz czy dwa razy nie zełgał. Jakże mam tedy wierzyć jego opowiadaniom o bogach, widmach i upiorach, które przecież są tak daleko, że ich widzieć niepodobna?

Buldeo sapał i klął uniesiony wielkim na chłopca gniewem, a naczelnik powiedział:

— Najwyższy czas zapędzić tego dzikusa do pasania bydła!

We wszystkich wsiach hinduskich panuje zwyczaj, że o samym świcie kilkunastu małych pastuszków wypędza wszystko bydło całej osady na pastwiska, gdzie spędza dzień, a wieczorem, pod dozorem malców, wraca do obór. Zwierzęta, które stratowałyby na śmierć człowieka białego, słuchają malców niesięgających nawet głowami ich nozdrzy, pozwalając im się bić, kopać, popychać i łajać. Dzieci znajdujące się przy stadzie, są całkiem bezpieczne, gdyż nawet tygrys nie ośmieli się zaatakować trzody, dopiero gdy malcy oddalą się w pogoni

za jaszczurkami, albo w celu nazbierania kwiatów, zdarza się, że rabuś porywa je czasem.

Mauli dosiadł o świcie Ramy, największego byka w całej wsi, a za nim ruszyły z poszczególnych obór cisawe bawoły o długich rogach i dzikim spojrzeniu. Stado zwiększało się co chwila. Mauli jechał i od pierwszej zaraz chwili objął dowództwo nad pastuszkami. Rozkazawszy jednemu z nich, imieniem Kamja, paść zwykłe woły tuż poza wsią, poszedł sam z bawołami dalej, popędzając je długim, bambusowym prętem.

Na pastwiskach takich bywa zawsze mnóstwo skał, wzgórz, jarów i niewielkich wąwozów i w nich kryją się stada wołów. Bawoły wolą bagna i trzęsawiska, włażą w nie, tarzają się po ciepłem błocie lub siedzą w nim zanurzone po uszy. Mauli, doprowadziwszy stado do miejsca, gdzie Wajgunga wypływała z kniei, zsiadł z Ramy i pobiegł do kępy bambusów, gdzie nań czekał Brat Szary.

— Od kilku dni już czekam na ciebie! — powiedział — Czemuż to przybywasz wraz z całą tą trzodą bydła?

— Jestem teraz pasterzem wiejskim! — odrzekł — Ale mów! Co słychać z Shere Khanem?

— Był w tych stronach i długo czatował na ciebie. Poszedł, bo zabrakło mu zwierzyny, ale wróci, ponieważ cię chce zamordować.

— To dobrze! — odparł chłopiec — Dopóki będzie daleko, siadujcie zawsze na tym miejscu na zmianę z braćmi tak, bym was mógł dostrzec z wrót wioski. Gdy zaś wróci, czekajcie mnie w wąwozie, pośrodku równiny, opodal drzewa *dhak*. Sam nie rzucę się przecież w paszczę tygrysa.

Powiedziawszy to, położył się w cieniu i zasnął, a bawoły pasły się spokojnie wokoło niego. Pasanie trzód w Indiach znaczy tyle, co zupełne próżnowanie. Zwykle woły chodzą, jedzą, gdy zabraknie trawy udają się nieco dalej, rycząc rzadko, a tylko pomrukując chwilami. Bawoły nie odzywają się nigdy niemal, zanurzają się w bagniskach tak, że na powierzchni

widać tylko łby o wielkich porcelanowych, szafirowych oczach i leżą nieruchomo jak kloce.

Promienie słońca palą, skały zdają się drżeć w gorącym powietrzu i cisza panuje zupełna. Z góry tylko dolatuje cichy pogwizd zaledwo widzialnego na wyżach wiszącego sępa. Ale pastuszkowie wiedzą dobrze, że gdyby tylko któryś z nich uległ wypadkowi lub gdyby padła jałówka, sęp zwinąłby skrzydła i runął pionowo na dół. Drugi, o kilkanaście kilometrów dalej pod niebem czuwający sęp nadleciałby niezwłocznie, wabiąc tym następnego i w ten sposób, przy ciepłych jeszcze zwłokach zebrałoby się rychło stado zgłodniałych drapieżców.

Pastuszkowie bawią się, zasypiają i budzą się ponownie, splatają koszyki z sitowia, łowią szarańcze, łapią chrabąszcze i zmuszają je do walki z sobą, robią naszyjniki z czerwonych i czarnych orzechów przeróżnych drzew, czatują na jaszczurki wygrzewające się po skałach, robią zasadzki na węże, polują na żaby po bagniskach, a przy tym śpiewają nieskończenie długie pieśni, których każda zwrotka kończy się dziwnie wibrującym refrenem. Dzień wlecze im się leniwie i trwa, zda się, dłużej, niż niejednokrotnie całe życie.

Dla urozmaicenia chłopcy wznoszą pałace z gliny, nieraz miasta całe, zapełnione figurkami z tegoż samego materiału. Są tam konie, bawoły i ludzie, niektórzy z nich dzierżą w ręku laski trzcinowe, są to kroczący na czele wojsk wodzowie, królowie lub bogowie, którym inni cześć oddają powinną.

Zapada nareszcie wieczór, chłopcy z krzykiem gromadzą bawoły, a zwierzęta wychodzą z błota, z którego wylatują bańki powietrza z głośnym trzaskiem, przypominającym grzechot strzałów. Trzody wyciągają się w długi korowód i suną poprzez omroczoną równię ku mrugającym na nieboskłonie światełkom osiedla.

Codziennie zapędzał Mauli bawoły do bagien, codziennie też widywał w niewielkiej odległości sterczące spośród sitowia uszy Brata szarego. Był to znak, że Shere Khan nie wrócił jeszcze, a chłopak, leżąc w gęstwie trawy, wsłuchiwał się w szmery życia,

jakie go otaczało i dumał nad tym, czego doznał ongiś czasu pobytu pośród wilków.

Było tak cicho, tak bezgłośnie, że Mauli leżąc na ziemi o poranku na skraju puszczy, mógłby usłyszeć potknięcie się w biegu kulejącego wroga swego hen daleko, gdzieś nad brzegami Wajgungi.

Pewnego dnia nie zobaczył jednak sprzymierzeńca na placówce. Roześmiał się tedy i skierował trzodę poprzez rozległą pustać ku jarowi, u którego wnijścia rosło drzewo *dhak*, przysute właśnie purpurowym, lśniącym kwieciem. Czekał tam nań już Brat Szary, a włos mu się jeżył na grzbiecie od wojowniczego zapału.

— Przez cały miesiąc krył się, chcąc uśpić twą czujność — rzekł Brat Szary porywczo — ale zeszłej nocy przebiegł przez pola uprawne wraz z Tabakim i badał twój trop.

Mauli zasępił się nagle.

— Poradzę sobie z pasiastym kuternogą, ale ten śmierdzący Tabaki to przebiegła kanalia!

— Nie ma sobie zeń co robić! — odrzekł Brat Szary, oblizując się z lekka — Widziałem się z Tabakim o wschodzie słońca i powiedziałem mu parę słów, a on teraz rozmawia z sępami. Nimeśmy się rozstali, zagrożony połamaniem kości, wyznał mi, że Shere Khan zamierza czatować na ciebie dziś wieczorem przy samej palisadzie wsi, a tymczasem odpoczywa, śpiąc w wielkim wąwozie, pozostałym po dawnym łożysku Wajgungi.

— Czy jadł dziś co, czy zamierza polować na czczo? — spytał Mauli, zdając sobie sprawę, że od tej sprawy zależy życie lub śmierć jego.

— O świcie upolował dzika, a napił się także. Wszakże ten żarłok nie może się powstrzymać nawet wówczas, gdy idzie o zemstę.

— Głupiec! Straszny głupiec z niego! To marne szczenię jadło tedy i piło i myśli, że ja będę czekał, aż się wyśpi. Więc leży w wąwozie? Szkoda, że nie ma tu z dziesięciu waszych wilków, wytropilibyśmy go zanim się zbudzi. Ale bawoły ruszą dopiero,

gdy go zwietrzą, a ja nie znam ich języka i nie mogę powiedzieć, o co mi idzie. Może by udało się zajść mu od tyłu i wprowadzić trzodę na jego trop, który by zwęszyły bawoły?

— Nic z tego! Płynął długo pod prąd Wajgungą, aby zmylić ślady.

— To pomysł tego draba Tabaki. Tygrysowi nie przyszłoby nigdy do głowy coś podobnego.

Zamyślił się i dumał, trzymając palec w ustach.

— Wyschłe łożysko rzeki — zaczął po chwili — kończy się o pół mili stąd. Mógłbym okrążyć puszczę, wpędzić stado w wąwóz, a potem, pędząc w dół, stratować wszystko co na drodze. Ale to na nic, bo on ucieknie drugim wylotem wąwozu! Hm… hm… Bracie Szary, czy nie zrobiłbyś mi tej przysługi, by rozdzielić trzodę na dwie części?

— Nie dałbym temu może rady sam — powiedział wilk — ale mam tu blisko sprzymierzeńca, co się zowie… Czekaj, zaraz wracam!

Skoczył w gąszcz i znikł w jakiejś jamie. Po chwili wyjrzał z onej jamy ogromny, siwy, dobrze znany chłopcu łeb, a jednocześnie rozległ się w rzeźwym powietrzu ranka straszliwy głos wilka-samotnika polującego dniem, na którego wycie drży wszystko wokół, zarówno zwierzęta, jak ludzie.

— Akela! Akela! — zawołał radośnie Mauli, uderzając w dłonie — Oczywiście nie zapomniałeś o mnie, drogi przyjacielu! Nie lada to robota, Akelo, rozdziel stado! Na jedną stronę krowy i cielęta, na drugą byki i wałachy.

Wilki przebiegały przez stado w różnych kierunkach, bawoły parskały, tupały i porykiwały, a za chwilę utworzyły się dwie grupy, zupełnie jak w kontredansie na hasło wodzireja.

Po jednej stronie utworzyły krowy zbity wał wokoło cieląt, stłoczonych pośrodku. Ciskały spojrzenia wściekłe i dreptały w miejscu, gotowe rzucić się na wilka i stratować go racicami, gdyby tylko zatrzymał się bodaj na moment. Po stronie drugiej widniały byki stare, byczki i wałachy. Miny ich były również srogie, ale z nimi łatwiej sobie można było dać radę, albowiem

nie miały kogo bronić. Stado rozdzielone zostało tak doskonale, że i pół tuzina pastuchów nie mogłoby tego lepiej dokonać.

— Co dalej? — spytał zdyszany Akela — Bawoły chcą się znowu połączyć.

Mauli wskoczył na grzbiet Ramy i zawołał:

— Akelo! Pędź byki na prawo! Ty zaś, Bracie Szary, gdy my się oddalimy, zmuś krowy, by kupą weszły do wąwozu i trzymaj je tam.

— Jak daleko? — spytał wilk, uganiając tu i tam.

— Do miejsca, gdzie brzegi są tak urwiste, że tygrys nie może się na nie wdrapać. Tam czekaj na nas!

Byki na głos Akeli ruszyły, a Brat Szary stanął tuż przed głowami krów. Chciały go dosięgnąć, ale on uciekał, oglądając się i tak wiódł je do wąwozu. Tymczasem Akela pędził byki szerokim kręgiem ku puszczy.

— Doskonale! — wołał Mauli — Jeszcze raz, a poniosą jak wicher! Huzia! To pewniejsze niż stary jeleń! Pewnie nie sądziłeś, że te spasione kolosy umieją tak prędko biegać?

— Polowałem i na nie swego czasu! — odparł Akela, ledwo widny w obłokach kurzu — Może już czas zawracać? Jak sądzisz?

— Tak … tak… zawracaj, Akelo! — odkrzyknął — Rama wścieka się ze złości, a ja, niestety, nie mogę dać mu do poznania, czego odeń chcę dzisiaj.

Zawrócone przez Akelę byki wpadły w gęstwinę, łamiąc wszystko po drodze. Pasący w różnych odległościach chłopcy pobiegli co tchu do wsi z wieścią, że trzoda Maulego wściekła się i ucieka do puszczy. I plan jego był bardzo prosty. Zatoczył wielki krąg i dotarł do północnego wylotu wąwozu, biorąc w ten sposób Shere Khana między krowy i byki. Wiedział, że objedzony i opity tygrys nie będzie w stanie walczyć ani wspiąć się na strome zbocza. Uspokajał teraz głosem bawoły, a Akela został daleko w tyle, od czasu do czasu tylko poszczekując, by podpędzić ostatnie szeregi. Krąg zatoczony przez stado był bardzo wielki, szło bowiem o to, by tygrys nie dowiedział się

przed czasem o napaści. Po chwili powiodło się chłopcu wprowadzić byki w samo łożysko zniżające się spadziście, w miarę jak brzegi wąwozu coraz to rosły i stawały się coraz bardziej urwiste.

Mauli zauważył z zadowoleniem, że były one niemal pionowe, skaliste i śliskie, a pokrywające je kruche pnącze nie mogły utrzymać ciężaru tygrysa, choćby nawet chciał się po nich wspiąć na wierzch. Liany owe stanowiły zatem nową przeszkodę, miast pomocy i Mauli był teraz niemal pewny wygranej.

— Daj im trochę spocząć, Akelo! — zawołał i podniósł w górę rękę — Nie zwietrzyły go dotąd. Niechże się wysapią. Mamy kuternogę w pułapce, przeto trzeba mu zapowiedzieć wizytę.

Złożył koło ust dłonie i huknął w głąb wąwozu, a głos zabrzmiał przeciągle niby w tunelu, budząc liczne echa.

Niebawem rozległo się przeciągłe, leniwe miauczenie objedzonego, zbudzonego ze snu, tygrysa.

— Kto mnie woła? — spytał.

W tej chwili uleciał z krzykiem w górę wspaniały paw, łomocąc skrzydłami.

— To ja, Mauli, bydłobójco! Nadeszła pora dla ciebie udać się na Skałę Rady!

A potem dodał:

— Akelo! Pchnij teraz byki! Ramo… Ramo! Bierz go!

Stado przez chwilę kotłowało, niepewne ponad stromym upłazem, ale na głos Akeli runęło w dół. Bawoły parły niby statki naprzód, rozpryskując wokół pianę, żwir i piasek. Teraz nic ich już powstrzymać nie mogło, a w dodatku Rama zwietrzył tygrysa i ryknął.

— Na koniec zrozumiałeś! — krzyknął z jego grzbietu uradowany Mauli — Nareszcie wiesz, co czynić!

Wąwóz zatętnił, wypełniły go splątane rogi, spienione nozdrza, rozlśniły połyski oczu, fala toczyła się niby zalew powodzi, a w parciu tym słabsze zwierzęta, odrzucane na boki, torowały sobie drogę zboczem ścian, zmiatając trawy i krzaki.

Bawoły wiedziały już, że mają wykonać tę straszliwą szarżę, przed którą żaden tygrys ostać się nie może.

Na odgłos tętentu kopyt Shere Khan powstał i ruszył ociężale ku przeciwległemu krańcowi jaru, po drodze upatrując sposobnego do ucieczki miejsca. Ale brzegi były bardzo strome, a obfite jadło i woda, której się opił, czyniły go niezdolnym do koniecznego w walce o życie wysiłku.

Za moment stado wpadło z rozgłośnym rykiem do kałuży, z której dopiero co wyszedł tygrys, a podobny ryk odpowiedział z drugiego krańca parii.

Mauli zobaczył, że w ostatniej chwili Shere Khan odwrócił się, by stawić czoło bykom. Wiedział, że nierównie łatwiej walczyć z samcami, niż z krowami, gnającymi bronić cieląt. Ale było już za późno. Rama pośliznął się na czymś, ruszył potem dalej, rozdeptując miękki przedmiot i na czele byków wpadł na drugie stado z takim impetem, że słabsze bawoły padły na kolana.

Rozpęd biegu wyrzucił obie trzody na bok, gdzie właśnie brzegi zniżały się, tak, że znaczna część bawołów znalazła się na równi. Zwierzęta były rozognione, nastawiały rogi, tupały, parskały i miotały się. Upatrzywszy chwilę, Mauli zeskoczył z grzbietu Ramy, zaczął bić kijem na prawo i lewo, a jednocześnie wołał:

— Akelo! Rozdzielaj je… prędko… prędko, bo się pobodą… Haj… haj… haj… spokojnie, dzieci… spokojnie… Już koniec! Już po wszystkim! Haj, haj. .. haj!

Pod wpływem ruchów Akeli i Brata Szarego, kąsane przez nie po nogach bawoły nie wiedziały, o co idzie i zwróciły się w przeciwnym kierunku, chcąc szarżować ponownie w górę wąwozu. Ale Mauli zdołał zawrócić Ramę ku bagniskom, a za przodownikiem ruszyło całe stado i niebawem wszystko się uspokoiło.

Shere Khana nie trzeba było dobijać. Leżał martwy, a wokół niego gromadziły się już sępy.

— Zdechł, jak pies, drodzy bracia! — powiedział Mauli, dobywając noża, który, od kiedy żył pośród ludzi, nosił uwiązany w pochwie na szyi — Zresztą nie byłby nigdy stanął do otwartej walki! Wallah! Pięknie się wyda skóra jego na Skale Rady. Trzeba się jąć roboty, nie tracąc czasu!

Wyrostek pośród ludzi chowany ani marzyć by nie mógł o zdjęciu skóry z olbrzymiego tygrysa, ale Mauli wiedział dobrze, na czym się trzyma i jak z nią postępować trzeba. Mimo wszystko, praca to była bardzo uciążliwa. Mauli mordował się już dobrą godzinę, przecinając, ciągnąc i pocąc się tęgo, a wilki siedziały z wywieszonymi ozorami, pomagając czasem, kiedy nie mógł sam dać rady. Nagle uczuł czyjąś dłoń na swym ramieniu i spojrzawszy, ujrzał Buldea ze strzelbą na ramieniu. Chłopcy rozpowiedzieli o szalonej gonitwie bawołów, przeto Buldeo wybrał się, by go ukarać za niedbałe pilnowanie trzody. Wilki skryły się na widok człowieka.

— Cóż to za głupstwa się ciebie trzymają? — zawołał gniewnie — Sądzisz, że zdołasz ściągnąć skórę z tygrysa?... Bawoły go widać zabiły!... Ho... ho... jest to właśnie ów kulawy tygrys, za którego skórę wyznaczono sto rupii nagrody. No.. . no... przebaczę ci tym razem... nie zostaniesz ukarany za rozpuszczenie stada, a nawet dostaniesz ode mnie jedną rupię, skoro wrócę z Kaniwary, dokąd odniosę skórę.

Dobył z szerokiego pasa krzesiwo i hubkę, pochylił się i chciał opalić tygrysowi wąsy. Zwyczaju tego przestrzegają myśliwi Indii wierząc, że chroni ich to od prześladowania upiora zabitego zwierzęcia.

— A to ciekawe! — mówił jakby do siebie Mauli, odrywając skórę z jednej łapy — Chcesz zanieść skórę do Kaniwary, dostać za nią nagrodę, a nawet mnie dać rupię? Nic z tego, mój staruszku! Skóra jest moja... Precz z ogniem... idź sobie!

— Jak śmiesz w ten sposób przemawiać do wodza wioskowych strzelców? — zawołał Buldeo — Tylko dzięki przypadkowi i bawołom doszedłeś do tego tygrysa. Był on ponadto obżarty i opity, inaczej byłby teraz o dwadzieścia mil

stąd. Ty, nędzna kreaturo, nie umiesz go nawet oprawić, a ośmielasz się mnie, Buldeowi, zabraniać opalić mu wąsy? Nie dostaniesz ani anny z nagrody, natomiast porządną chłostę tegoż jeszcze wieczora… Nie tykaj nożem kadłuba… wynoś się!

— Klnę się na bawołu, który mnie okupił, że mam tego dość! — zawołał Mauli — Czyż do wieczora mam słuchać głupiego paplania tej starej małpy? Akelo… zrób z nim porządek… nudzi mnie!

Buldeo, dotąd pochylony nad łbem tygrysa, został jednym pchnięciem łapy odrzucony na wznak w trawę i zobaczył, że ogromny, siwy wilk leży mu na nogach. Mauli oprawiał dalej tygrysa z takim spokojem, jakby był sam jeden w całych Indiach..

— To prawda zresztą, co mówisz, Buldeo! — mruczał przez zęby — Nie dostanę ani jednej anny z całej nagrody! To dawna sprawa, dawny, osobisty zatarg pomiędzy mną a tym kulawym tygrysem, którego dzisiaj właśnie pokonałem.

Przyznać trzeba, że gdyby Buldeo był o dziesięć lat młodszy i spotkał Akelę w lesie, nie byłby się poddał bez walki. Ale ten Akela, posłuszny wyrostkowi, nie był to wilk zwyczajny. Mauli, mający osobisty zatarg z kulawym tygrysem, nie mógł też być zwyczajnym pastuszkiem. Potężne czary tkwiły w tym wszystkim i Buldeo nie wiedział, czy przed nimi obronić go zdoła amulet, jaki miał na szyi. Leżał bez ruchu, czekając rychło Mauli przemieni się w tygrysa.

— Maharadżo! Wielki, potężny władco! — jęknął z pokorą.

— Co gadasz? — spytał Mauli szyderczo, nie odwracając się.

— Przebacz mi, o panie! Nie wiedziałem, że jesteś tak mocarny! Czy pozwolisz mi wstać i odejść, czy też rozkażesz, by sługa twój pożarł mnie?

— Idź sobie, tylko na drugi raz nie rość sobie pretensji do mojego łupu! Puść go, Akelo!

Buldeo pobiegł pędem ku wsi. Potykał się i spoglądał przez ramię niepewny, czy Mauli, zmieniony w jakiegoś potwora, nie dogoni go i nie pożre.

Przybywszy, nagadał kapłanowi tyle o czarach, Maulim i tygrysie, że dostojnik ten przybrał bardzo poważną minę.

Mauli pracował dalej i dopiero późnym wieczorem skończył przy pomocy przyjaciół ściąganie skóry z Shere Khana.

— Trzeba to schować i odprowadzić bawoły! — powiedział — Pomóżcie mi!

Po małej chwili stado szło w porządku ku wsi, skąd dolatywały gwizdy, odgłos gongów i dzwonów oraz łyskały liczne światła. Połowa co najmniej mieszkańców wyległa przed palisadę, czekając jego powrotu.

Nagle kamienie zaczęły przelatywać koło jego głowy i posłyszał krzyki wieśniaków:

— Czarownik! Wilczy pomiot! Wilkołak! Idź precz! Wynoś się zaraz, bo inaczej kapłan przywróci ci wilczą postać! Buldeo, pal do niego! Pal mu prosto w łeb!

Huknął strzał, a jeden z młodych bawołów ryknął rozpaczliwie.

— Czary! Czary! — wołano — Odwraca kule… Buldeo, twój własny bawół został raniony!

— Cóż to ma znaczyć? — pytał Mauli, jadąc na Ramie pośród gradu kamieni.

— Bracia twoi podobni są zupełnie do wilków seeoneeńskich! — zauważył Akela, siadając spokojnie na drodze — O ile rozumiem język ich kul i kamieni, mają widoczny zamiar pozbyć się ciebie ze wsi.

— Wynoś się, wilkołaku! — wołał kapłan, machając gałęzią świętego krzewu *tulsi*.

— Znów się mam wynosić? — zdziwił się Mauli — Wówczas wygnano mnie od wilków dlatego, żem był człowiekiem, a dziś dlatego znów, że jestem wilkiem… Chodźmy sobie tedy stąd, Akelo!

Jakaś kobieta podbiegła do stada, wołając z płaczem:

— Synu mój! Nie wierzę, byś był czarownikiem! Nieprawda, co mówią, że się umiesz w zwierzę przemienić, ale wierzę, iż

zabiłeś tygrysa, by pomścić śmierć mego Natoo!

— Wracaj, Messuo! — krzyknięto z tłumu — inaczej ukamienujemy cię razem z nim!

W tej chwili Mauli dostał niewielkim kamykiem w usta. Roześmiał się, ale gniew brzmiał w tym śmiechu.

— Wracaj, Messuo! — zawołał — To bajki podobne do tych, jakie opowiadają o zmierzchu pod wielkim figowcem we wsi. Nie jestem czarownikiem, pomściłem tylko śmierć twego syna. Bądź zdrowa! Śpiesz się, gdyż odeślę stado prędzej, niż latają te głupie kamienie i skorupy.

— Akelo! — dodał, zwracając się do przyjaciela — Postrasz no jeszcze raz bawoły!

Poszło to bardzo łatwo. Za pierwszym zawyciem Akeli trzoda runęła przez bramę jak lawina, roztrącając tłum na wszystkie strony.

— Policzcie bydło! Zobaczcie, czy nie skradłem bawołu… Nie będę już pasterzem u was! Żegnam was, dzieci człowiecze! Podziękujcie Messui, że was wilkami nie wyszczuję ze wsi!

Obrócił się i odszedł w towarzystwie wilka-samotnika, a kiedy spojrzał na gwiazdy, wrócił mu spokój i uczuł się szczęśliwy.

— Mam dość sypiania w pułapkach, Akelo! — powiedział — Zabieram skórę Shere Khana i pójdziemy sobie, zostawiając wieś w spokoju. Nie mogę ludziom tym uczynić nic złego przez wspomnienie Messui, która była taka dobra dla mnie.

Niebawem poświata księżyca zalała wielką równię, a przerażeni mieszkańcy wioski ujrzeli coś zaprawdę niezwykłego. Oto Mauli, dźwigając ciężar jakiś na głowie, szedł, w otoczeniu dwu wilków w stronę dżungli krokiem chybkim, elastycznym, od którego nikła przestrzeń. Uderzono więc ponownie w dzwony i gongi, rozległy się fletnie, Messua płakała, a Buldeo w coraz to sutsze przyozdabiał dodatki swe opowieści, twierdząc, że wilk, który go trzymał, stał na dwu łapach i przemawiał doń ludzkim językiem.

Już księżyc miał zachodzić, gdy Mauli wraz z wilkami przybyli pod Skałę Rady. Wstąpili przede wszystkim do jamy

wilczycy-matki.

— Stado ludzkie wygnało mnie, matko! — zawołał Mauli — Ale za to przynoszę skórę Shere Khana! Dotrzymałem słowa!

— Wyprorokowałam mu to pierwszego zaraz wieczoru, kiedy tu wsadził łeb, żądając wydania ciebie, żabko moja droga! — zawołała radośnie, wybiegając wraz z dziećmi, a wszystkim na widok skóry zalśniły jaskrawo oczy — Powiedziałam mu, że z łowcy stanie się zwierzyną!

— Dobrześ uczynił wracając! — ozwał się z gęstwiny znany głos — Smutno nam było i pusto bez ciebie w kniei!

Bagera wypadła z gąszczu i przylgnęła do bosych nóg chłopca. Potem udali się społem na Skalę Rady, a Mauli rozpostarł na głazie skórę Shere Kahna i przymocował ją do ziemi czterema kołkami z bambusu. Potem Akela położył się na skórze i zawiódł dawny okrzyk:

— Badajcie dobrze, wilki!

Wszystko było znowu tak samo jak w czasie, kiedy na Skale Rady Mauli został przypuszczony do stada, nie było już tylko podłego mordercy, Shere Khana.

Od czasu usunięcia Akeli stado żyło bez wodza, polując i walcząc w pojedynkę. Posłyszawszy jednak wezwanie, z nawyku zaczęli się schodzić wszyscy. Dużo wilków kulało, postradawszy nogi w pułapkach, inne miały poprzestrzelane członki, wreszcie inne jeszcze sparszywiały od nieczystej strawy i utraciły bystrość wzroku. Dużo poginęło, lub uległo broni ludzkiej. Pozostali przy życiu zeszli się na Skałę Rady i z podziwem patrzyli na pręgowaną skórę tygrysa oraz pazury straszliwe, zwisające bezsilnie u wypartych z mięśni łap.

— Badajcie pilnie, wilki! — powiedział Mauli — Wszakże dotrzymałem słowa?

Wilki przyznały mu zupełną słuszność, a jeden ze stada, straszliwie poraniony, zawył:

— Akelo! Zostań na nowo wodzem naszym! I ty młody człowieku, wspomagaj nas radą, gdyż inaczej, żyjąc bez praw,

zmarniejemy zupełnie! Musimy znowu podlegać prawu i stać się przez to wolnym ludem.

— Na nic się to nie zda! — zauważyła Bagera — Skoro tylko dojdziecie do sytości i bezpieczeństwa, zaraz zaczniecie na nowo różne wybryki. Spróbowaliście wolności zupełnej i to minąć bez skutków nie może. Walczyliście o wolność bez praw, niechże ona wam teraz wystarczy!

— Zarówno stado wilcze, jak i ludzkie odtrąciło mnie od siebie! — powiedział Mauli — Będę tedy polował w pojedynkę, jako obcy w puszczy!

— Nie… nie… my pójdziemy z tobą! — zawołała czwórka wilków, jego braci mlecznych.

Mauli poszedł i polował odtąd w dżungli razem z czwórką swych braci-wilków, ale osamotnienie jego nie trwało zawsze. Po kilku latach został mężczyzną i pojął żonę.

Ale to już bajka dorosłych.

Mauli śpiewa, tańcząc na skórze Shere Khana rozpostartej na skale rady

Słuchajcie, jak śpiewam ja, Mauli, i jakich dokonałem czynów…

Niech dżungla cała słucha, niech słyszą wolne ludy.

Shere Khan zagroził, że u samych wrót wioski o zmierzchu nocnym zabije mnie, nazwanego imieniem Mauli-żaba.

Ale Shere Khan obżarł się i opił przed sprawą.

Pij! Pij, Shere Khanie, bo potem pić już pewnie nie będziesz! Potem legnij marzyć o łowach!

Sam pozostałem na pastwisku i wołam: Bracie Szary, przybywaj! Przybądź i ty samotniku, dzielny Akelo! Na grubego dziś zapolujemy zwierza!

Spędźcież naprzód bawoły, byki i krowy o sinej sierści, o gromowym spojrzeniu, a spędziwszy kierujcie stadem, jak rozkażę.

Shere Khanie! Ty śpisz jeszcze? Wstawajże, wstawaj, bo oto przychodzę do ciebie, a byki i bawoły są moją świtą.

Rama, wódz bawołów, tłucze w ziemię kopytem. Wajgungo, czy nie widziałaś Shere Khana?

Wszak to nie kolczasty Sahi, który może zakopać się w norze, to nie pyszny paw Mor, który ulecieć może w powietrze?

To nie Mang-nietoperz, wiszący niewidzialnie pośród gałęzi.

Mówcież, młode pędy szeleszczących w wietrze bambusów, gdzie się podział Shere Khan?

Au! On jest tutaj! Ahuu! On tu leży! Pod kopytami Ramy leży tygrys kulawy!

Wstawajże, Shere Khanie! Wstawaj i rzuć się na łup, bo zwierzyna przed tobą! Wstań i wpij zęby w gardziele bawołów.

Cicho… on śpi! Nie budźmy go, bo jest potężny! Sępy spadły z wyżyn powietrznych, by ujrzeć z bliska, jak silny jest Shere Khan. Mrówki czarne wyszły z głębi ziemi, by się przypatrzeć tej sile!

Świetny to orszak widzów, świetny, zaprawdę!

Allala… Nie mam się czym okryć! Sępy ujrzą, że jestem nagi… Wstydzę się, bardzo się wstydzę pokazać tym, co przybyli!

Musisz mi, Shere Khanie, pożyczyć swej szaty. Chcę mieć twą barwną, płomienistą suknię w pasy bo idę na Skałę Rady!

Przysiągłem na bawołu, który mnie okupił! Ślub uczyniłem, a brak mi twej szaty, by słowa dotrzymać!

Z nożem w ręku, z nożem myśliwskim, jakim posługują się ludzie, schylam się, by wziąć to, do czego mam prawo.

Spojrzyjcież, wody Wajgungi, jak to Shere Khan oddaje mi swą szatę, patrzcież na dar miłości jego!

Ciągnij mocno, Bracie Szary! Ciągnij, potężny Akelo! Trudno zdjąć suknię z Shere Khana!

Stado ludzkie się gniewa! Miotają kamienie i plotą duby smalone! Robią głupstwa jak dzieci!

Polała się krew z ust moich, przeto odchodzę!

Choć noc dziś duszna, choć noc dziś długa, bieżmy prędko, bracia, i nie szczędźmy sił. Odwróćmy oczy od świateł ludzkiego osiedla i dążmy tam, gdzie księżyc za góry zapada.

Czy wiesz, Wajgungo, żem wygnany został z ludzkiego stada? Czy wiesz może, dlaczego bali się mnie, chociaż nie uczyniłem im krzywdy?

Dlaczegóż ty również, wilcze stado, wypędziłoś mnie?

Dlaczego zamknięta jest dla mnie puszcza… i wrota wioskowe… dlaczego?

Dlaczegóż, jako Mang, pomiędzy zwierzem a ptakiem na gałęzi, tak ja wiszę pomiędzy osiedlem ludzkim a knieją… Dlaczego?

Zawodzę tan na skórze wroga, ale serce me tłoczy ciężar ogromny. Zraniły mi twarz kamienie, ciskane rękami braci…

I żal mnie nęka, i radość rozpiera, bo otom powrócił do dżungli na nowo. Dlaczegóż radość i smutek razem się zbiegły?

Jedno i drugie toczy bój we mnie, niby dwa węże, walczące wiosną. Strumień się sączy z ócz moich, a usta się śmieją radośnie… Dlaczego tak jest, dlaczego?

Dwu Maulich jest we mnie, zaprawdę dwu!

Skóra Shere Khana leży pod stopami mymi!

Cała dżungla wie, żem to ja zabił tygrysa!

Badajcież uważnie, o wilki!

Ahuu! Coś cięży mi głazem, coś strasznie ugniata… Cóż to jest… co to jest… ach, nie wiem!

Biała foka

Śpij, mój synaczku, na ciszy łonie,
Księżyc już w ciemnej głębinie tonie…
Niechaj cię burza żadna nie trwoży,
Bo fale cichną w głębin podłoży.

Niech marzy słodko moja dziecina,
W przystani onej nie masz rekina…
Niech cię ta piosnka do snu utuli,
Śpij, mój synaczku, luli… ach… luli!

Działo się to dosyć już dawno w miejscowości Nowostoczna, na północno-wschodniej krawędzi przylądka Pawłowskiego, w samej cieśninie Behringa, wysoko na północy pomiędzy Syberią a Ameryką. Cała tę historię opowiedział mi dudek polarny Limerszyn, który złapał się przypadkiem w gęstwę lin okrętowych pewnego statku, zdążającego ku Japonii.

Zabrałem go do kajuty, ogrzewałem i żywiłem przez kilka dni, aż przyszedł do siebie na tyle, że mógł powrócić w strony ojczyste. Limerszyn, to mała ptaszyna, dosyć śmieszna nawet, ale odznacza się niezwykłą prawdomównością.

Do Nowostoczny nie przybywa nikt dla przyjemności, a wyłącznie tylko przynaglony interesami, zaś jedynymi stworzeniami, jakie tam prowadzą swe interesy, są foki. Podczas miesięcy letnich roją się setkami tysięcy w chłodnych nurtach morza, a to ze względu, że żadna chyba miejscowość nie odpowiada tak potrzebom i nawyknieniom fok.

Wiedział o tym Łowca Morski, toteż gdy nastała wiosna, bez względu na to, gdzie się znajdował w tej porze, ruszał prosto do Nowostoczny, prując fale niby łódź torpedowa i spędzał tam całe lato na bohaterskich walkach z współbraćmi o lepsze, bliższe morza miejsce na skałach.

Łowca Morski liczył już lat piętnaście. Była to ogromna, brunatna foka z długą kryzą włosów na karku, przypominającą grzywę i potężnymi, groźnymi kłami. Gdy spoczywał wsparty na przednich płetwach, wysokość jego dosięgła czterech stóp; kto by go ośmielił się zważyć, przekonałby się, że ciężar tego dzielnego wojownika sięgał siedmiuset funtów.

Ciało jego okrywały szerokie blizny, były to ślady ran, otrzymanych w ciągu lat całych walk zaciętych, ale wspomnienia owe zagrzewały go do dalszych tylko bojów. Ujrzawszy przed sobą nieprzyjaciela, wykręcał nieco w bok głowę, jakby nie chciał nań patrzeć, za moment jednak rzucał się jak strzała i topił zęby w karku przeciwnika. Nie mógł on nigdy uciec, choćby chciał, bo Łowca Morski nie dopuszczał do odwrotu przed zupełnym pokonaniem, natomiast nad przeciwnikiem raz już zwyciężonym, bohater nie pastwił się nigdy. Sprzeciwiałoby się to prawu foczego ludu, a prawo szanował wielce Łowca Morski.

Walki toczyły się zresztą przeważnie tylko o pozyskanie miejsca na wybrzeżu, w celu założenia domostwa sezonowego. Ponieważ jednak tego samego celu dopiąć chciały tłumy fok, dochodzące w tym jednym miejscu do pięćdziesięciu tysięcy, przeto wybrzeże rozbrzmiewało przeraźliwym koncertem gwizdania, ryku, beczenia, wycia i w ogóle rozmaitych nienazywalnych wrzasków.

Kto by stanął na niewielkim wzgórzu, nazwanym Hutchinsons Hill, ujrzałby w promieniu całych kilometrów walczące foki, a pośród obłoków piany morskiej, rozbijanej płetwami, zobaczyłby niezliczone głowy zapaśników. Walka toczyła się wszędzie, na stromych skałach, na ławicach piasku i na płaskich, bazaltowych głazach, zmytych falami, a przeznaczonych dla młodzi. Foki nie przestawały walczyć z roku na rok, były bowiem równie bezrozumne i kłótliwe jak ludzie.

Wczesną wiosną nie pokazywały się tu samice, obawiając się poniesienia szwanku i przybywały dopiero na początku

czerwca, zaś młode, dwa do czterech lat mające foki, żyjące jeszcze w stanie bezżennym, przedostawały się przez walczące szeregi w głąb lądu i tam zabawiały się wesoło. Były ich całe stada, toteż niweczyły do cna całą roślinność wybrzeża, a „gołowąsów" takich, czyli kawalerów w samej Nowostocznej było około trzechset tysięcy sztuk.

Właśnie zakończył Łowca Morski zwycięsko sprawę z czterdziestym piątym przeciwnikiem w tym sezonie, kiedy nagle wynurzyła się z fal łagodna małżonka jego, zwana Foczychą, o tkliwym spojrzeniu.

Bez słowa chwycił ją zębami za kark, cisnął jak worek na zdobyte miejsce i dopiero dokonawszy tej instalacji, warknął:

— Znowuś się musiała spóźnić! Ha... gdzieżeś się to włóczyła? Gadaj!

Łowca Morski z zasady nie jadał nic podczas trzech miesięcy, spędzanych na wybrzeżu, a przeto humor jego bywał często nie najlepszy. Foczycha nie myślała się tedy wdawać w spory, ale przeciwnie rzekła uprzejmie, oglądając się wkoło:

— Jaki żeś dobry! Zdobyłeś, widzę, to samo miejsce, co zeszłego roku!

— Oczywiście, żem zdobył! — zawołał dumnie — Spójrz na mnie!

Był straszliwie pokaleczony, a z ran sączyła się krew. Zwłaszcza jedno oko niemal wypłynęło na wierzch a skóra na bokach zwisała w strzępach.

— Ach, ci mężczyźni! — zawołała Foczycha, poruszając z wdziękiem tylną płetwę — Wszak można by się podzielić miejscami spokojnie i zgodnie. Wyglądasz zupełnie, jakbyś stoczył bój z wielkim mordercą, potwalem.

— Od połowy maja ustawicznie walczę. Niesłychane panuje tego roku przepełnienie na wybrzeżu, a jeszcze widziałem z jakichś co najmniej sto fok z Lukanonu, rozbijających się o pomieszczenie. Nie pojmuję, doprawdy, po co pchają się tutaj, mogąc siedzieć spokojnie w domu?

— Przychodziło mi nieraz do głowy — odrzekła małżonka — że dużo milej byłoby nam na Wydrzej wyspie niż tutaj, w takiej ciżbie!

— Cóż za myśl? — zaoponował — Tam udają się same tylko „gołowąsy". Mogłoby paść na nas podejrzenie, że obawiamy się walki… Nie, nie, trzeba koniecznie trzymać się na właściwej wyżynie!

Łowca Morski, powiedziawszy to, wtulił z dumą głowę w szerokie barki i wydawało się przez kilka minut, że śpi. Ale jedno oko miał otwarte, bowiem chciał być każdej chwili gotowy, gdyby zaszła potrzeba walki.

Teraz wszystkie foki miały już swe małżonki przy sobie i wrzaski wzrosły do tego stopnia, że słychać je było w promieniu kilkunastu kilometrów, przy największej nawet burzy. Można by bez przesady liczbę fok przyjąć na milion. Samce, samice, „gołowąsy" biły się wszystkie razem, przewracały, wydawały ryki, parskały, goniły się, skakały w morze i znowu wyłaziły na ląd. Pokryły każdą piędź ziemi wokół, tak że prócz nich i morza nic więcej widać nie było. W miejscowości tej panuje wieczysta, gęsta mgła, przysłaniała tedy szarzyzną ruchliwy obraz, a w rzadkich tylko chwilach, gdy rozbłyskało słońce, jawiły się barwy świetne, wabiące oko.

Podczas największego rozgwaru wydała pani Foczycha na świat synka, nazwanego Kotikiem. Miał on taki sam jak inni malcy kształt głowy, tenże grzbiet, tak samo bladoniebieskie, mdłe oczy, ale sierść jego kolorem swym zwróciła uwagę matki.

— Łowco Morski! — zawołała, przyjrzawszy się starannie noworodkowi — Syn nasz będzie biały!

— Do stu tysięcy fur zgniłych porostów i pustych małżowin! — ryknął mąż — Jak świat światem, nie było jeszcze białej foki!

— Bardzo mi przykro — zauważyła matka — ale właśnie cud ten nastąpił i nie ma rady!

Powiedziawszy to, zaśpiewała nowo narodzonemu prastarą melodię, nuconą wszystkim młodym foczętom od początku świata.

Przed sześciu tygodniami nie waż się po fali,
Bo gdy zwiśniesz w dół głową, nic cię nie ocali,
A fokożerca rekin lub potwal, o dziecię,
Pożre cię, zanim zaznasz co to żyć na świecie!

Pełno wszędy zasadzek, przeto zważaj pilnie!
Niech instynkt przyrodzony wiedzie cię niemylnie,
Aż pozyskawszy siły, na sine bezdroża
Popłyniesz, wolna foka, wśród wolnego morza.

Oczywiście nie rozumiał tego wszystkiego zrazu malec, pluskający się przy matce. Wiedział jednak od razu, że należy zmykać w chwili, gdy ojciec rozpoczyna bójkę z sąsiadem, tarzając się z przeciwnikiem po gładkich kamieniach. Matka przebywała w tym czasie przeważnie na morzu, polując na zdobycz i Kotik dostawał tylko co drugi dzień jeść, ale gdy dopadł jadła, pracował za czterech i wychodziło mu to na zdrowie.

Pewnego dnia zrobił wycieczkę w głąb lądu, gdzie spotkał ogromne mnóstwo rówieśników. Bawili się niby małe pieski, zasypiali, a potem zaczynali na nowo harce. Nie zwracali na to wcale uwagi ojcowie, młodziki trzymały się też na uboczu, toteż malce dokazywali, ile chcieli i było im bardzo dobrze.

Matka, wracając z połowu, udawała się wprost na to miejsce zabaw i dobywała głosu podobnego do beku owcy wołającej koźlęcia, a Kotik odpowiadał na to wezwanie. Wówczas podążała ku niemu wprost odmiatając po drodze płetwami malców na prawo i lewo. Ciągle szukało tam swych dzieci kilkaset matek naraz, a przeto malce musieli pilnie baczyć, by rozpoznać swe rodzicielki.

— Jesteś tu całkiem bezpieczny — mówiła Kotikowi matka — pamiętaj tylko nie włazić do błota, by nie oskrostowacieć, nie ocierać zadraśnięć skóry o ostry piasek i nie pływać, gdy fale biją wysoko.

Foczęta pływać nie umieją, podobnie jak małe dzieci, niczego jednak ponadto bardziej nie pożądają. Kotik, znalazłszy się po raz pierwszy na wodzie, został porwany falą, tak że straciwszy równowagę, zwisnął, w dół ciężką swą głową, a dolne płetwy i ogon znalazły się w powietrzu. Stało się zupełnie tak, jak o tym wspominała piosenka i byłby niewątpliwie zginął, gdyby nie druga fala, która go wyrzuciła na brzeg. Nauczony doświadczeniem, rozciągał się na wybrzeżu, pozwalając się dosięgać falom, ale umykał przed groźniejszymi bałwanami. Nauka pływania trwała około dwu tygodni i w tym to czasie nieustannie rzucał się do wody i wyłaził ponownie na skały, sapiąc, dysząc, dławiąc się i parskając. Na koniec uczuł, że potrafi sobie poradzić z płynnym żywiołem.

Łatwo zrozumieć, że teraz zaczęło się dla Kotika i rówieśników jego życie rozkoszne. Nurkowali, umykali przed falami, wspinali się po stromych, sterczących z wody rafach, rzucali się znowu w głąb, wznosząc w górę obłoki piany i igrali wprost z grzywiastym, groźnym zalewem. Najwyższą jednak dumą napełniało malców, gdy któremuś z nich udało się stanąć prosto na dolnych płetwach, a górnymi pogładzić się po głowie, jak czynić zwykły foki dorosłe.

Czasem widział Kotik, wynurzające się z wody, tuż przy skałach, cienkie, zębiasto wykrojone płetwy grzbietowe rekina, zwanego potwalem-fokożercą lub „diabłem", który poluje na młode, nieostrożne foczęta. Natenczas w mgnieniu oka Kotik umykał na skałę, a płetwy zawiedzionego rabusia oddalały się z wolna ku morzu.

Przy końcu miesiąca października foki zaczęły wynosić się z przylądka Pawłowskiego, całymi stadami i rodami wędrując na pełne morze. Ustały teraz boje o miejsce i „gołowąsy" mogły zabawiać się do woli, bez przeszkody.

— Za jakiś rok — zapewniała Kotika matka — zostaniesz również „gołowąsem", teraz jednak musisz nauczyć się polować.

Udali się oboje na pełny ocean, a matka uczyła Kotika wszystkiego, co trzeba. Niebawem umiał tedy spać na fali, leżąc na grzbiecie, z założonymi płetwami i nosem sterczącym z wody, przy czym przekonał się jak niezrównaną kolebką są długie, falujące nurty Oceanu Spokojnego. Kiedy Kotik doznał uczucia łaskotania po skórze, matka powiedziała, że poznał już teraz „szczypanie wody", które oznacza zbliżanie się wielkiej burzy morskiej. Musiał tedy płynąć co sił, by uciec na czas.

— Niebawem — dodała — sam będziesz wiedział w którą stronę zwracać się w takich razach, tymczasem jednak musimy podążać w ślad świni morskiej, istoty garbatej, ale niezmiernie mądrej.

Tuż przed nimi mknęło szybko stadko garbatych delfinów, a Kotik starał się im nadążyć.

— Powiedzcież, jak się dzieje, że wiecie dokąd płynąć? — pytał, sapiąc z wysiłku.

Przodownik gromady łypnął ku niemu jasnymi oczyma, zanurzył się głębiej i odrzekł:

— Łaskotki mamy w ogonie, smarkaczu, a to znaczy, że burza jest za nami. Przeto zmykamy. Gdy znajdujesz się na południe od „martwej wody" (miał na myśli równik) i doznajesz swędzenia w ogonie, natenczas wiedz, że burza jest przed tobą i uciekaj na północ. Teraz w nogi, nie czeka nas tu nic dobrego!

Takie nauki, udzielane Kotikowi co dzień, sprawiały, że wykształcenie jego pogłębiało się ciągle. Głównie uczyła go matka. Wiedział już, jak uganiać się wśród podwodnych raf za tłustymi miętusami i płaskimi flądrami, jak dobywać z jam mięczaki, zakopane pośród alg i porostów, a także nauczył się tej sztuczki, że, goniąc rybę, wpływał jednym oknem kajuty zatopionego na dnie morza okrętu, a wypływał drugim. Nie bał się też teraz kołysać na grzbietach spienionych, grzywiastych, ogromnych fal, podczas gdy niebo przecinały błyskawice. Często leżąc tak, posyłał płetwą pozdrowienia szybkolotnemu albatrosowi lub mewie rybołówce, muskającej nieledwo wodę lub znowu, kładąc po sobie płetwy i opierając się silnie o wodę

ogonem niby delfin, wyskakiwał na kilka stóp w górę ponad fale. Wiedział dobrze, że na rybach latających nie ma nic, prócz twardych ości, przeto uganiać się za nimi nie warto, że natomiast dobrze jest wyrwać w pędzie z boku miętusa kawał tłustego ciała. Kotik pamiętał dalej, że nie należy zatrzymywać się, gdy w pobliżu znajduje się statek lub, co gorsza, łódź pełna wiosłujących ludzi, a wiadomości tych nagromadził takie mnóstwo, że po sześciu miesiącach znał dokładnie sztukę polowania głębinnego, a jeśli mu czegoś jeszcze brakowało, to były to tylko drobiazgi. Przez cały ten czas nie był ani razu na stałym lądzie.

Pewnego dnia jednak, gdy w półsennym rozmarzeniu kołysał się na falach kędyś, koło wysp Juan Fernandez, doznał wrażenia tęsknoty, osłabienia jednocześnie, zupełnie jak istota ludzka rozmarzona nadchodzącą wiosną, i począł pożądać pięknego, suchego piasku i lśniących skał Nowostoczny, odległej o tysiące kilometrów, zabaw z rówieśnikami, zapachu wodorostów, wrzasków fok i bójek ojców rodzin. Bez namysłu obrócił się głową na północ i popłynął szybko, a w drodze napotkał towarzyszy płynących w tym samym kierunku, którzy powitali go przyjaźnie.

— Witaj, Kotiku! Już wyrośliśmy na „gołowąsów”, będziemy tańczyli świetlisty taniec na skałach Lukanonu i bawili w świeżej trawie! Ale powiedz no, skąd wziąłeś tę dziwną szatę?

Futro miał teraz Kotik niemal całkiem białe i wielce był z tego dumny. Ale odparł wymijająco:

— Śpieszmy! Korci mnie, żeby jak najprędzej stanąć na lądzie.

Gromadka przybyła niebawem do miejsca rodzinnego i młodziki posłyszały w oddali owianej gęstą mgłą odgłosy walk staczanych jak zawsze przez swych ojców.

Tej samej jeszcze nocy wykonał Kotik razem z rówieśnikami, fokami rocznymi, taniec świetlisty. Całe morze od Nowostoczny aż po Lukanon rozbłyska podczas nocy letnich światłem przedziwnej fosforescencji. Tańczące foki snują za sobą przy

każdym ruchu sznury perlistej, szafirowej poświaty, która tryska również z fal, tworząc niewysłowionej piękności smugi i wiry.

Po skończonych tanach wszystka młódź udała się na ląd na tradycyjne stanowisko „gołowąsów", gdzie przybysze, tarzając się w świeżej trawie, rozpowiadali sobie wzajem przygody swe na morzu. O niezmierzonym Pacyfiku mówili podobnie, jak dzieci rozprawiają o lesie, gdzie zbierają orzechy i owoce, a gdyby któryś z ludzi mógł wysłuchać tych opowieści, nakreśliłby niezawodnie nieznanej dotąd dokładności mapę oceanu.

Wtem starsze, trzy i czteroletnie „gołowąsy" porwały się ze wzgórza Hutchinsona, a biegnąc ku morzu, krzyczały donośnie:

— Z drogi, smarkacze! Pleciecie głupstwa, ocean jest głębszy i większy, niż się wam wydaje! Dowiecie się wszystkiego dopiero wówczas, gdy opłyniecie Przylądek Południowy! Hej… skąd żeś porwał taką białą szubę, roczniaku! — dodały, zwracając się do Kotika.

— Nie porwałem! — odrzekł z namaszczeniem — Sama wyrosła na mnie!

Miał właśnie zamiar wytarmosić któregoś z arogantów, gdy wtem wyszło spoza wzgórza dwu ludzi o czarnych, połyskliwych włosach i brunatnych płaskich twarzach.

Kotik nie widział w życiu ludzi, sapnął i przekrzywił głowę. Gołowąsy cofnęły się o kilka kroków i patrzyły również w osłupieniu na przybyszów. Był to Keryk Buturyn we własnej osobie, wielki łowca fok w tych okolicach, a towarzyszył mu syn jego, Pantalejmon. Przybyli właśnie z małej osady, znajdującej się niezbyt daleko od legowisk foczych i robili przegląd fok, które należy zapędzić do rzeźni, by je obedrzeć ze skór przydatnych na kaftany futrzane. Jak wiadomo foki zapędza się po prostu do rzeźni niby barany.

— Spójrz no! Widzisz? Biała foka!— powiedział syn.

Keryk zbladł straszliwie, choć tego dostrzec nie dozwalała pokrywająca go warstwa tłuszczu i brudu. Był to Aleuta, a

ludzie ci są bardzo niechlujni. Szybko wyrecytował jakąś modlitwę, a potem rzekł:

— Daj jej pokój, Pantalejmonie! Jak świat światem, nie było jeszcze białej foki! — zawołał do syna. — To niezawodnie duch Zacharowa, który zginął zeszłego roku w zamieci.

— Nie tknę tego stworzenia! — zapewnił syn — Zła to wróżba! Ale czyżby, naprawdę, Zacharów miał przybrać postać foki? Pozostałem mu dłużny pewną kwotę za jaja mewie… Nie chcę mieć z nim nic do czynienia!

— Nie patrz nawet na niego! — powiedział Keryk — Zagarnij tę trzodę czterolatków. Powinni byśmy dziś sporządzić dwieście sztuk. Ale ponieważ ludzie na początku roboty nie mają dość jeszcze wprawy, poprzestaniemy na stu. Bierz się żwawo do dzieła!

Pantalejmon stanął tuż przed grupą „gołowąsów” i zaczął grzechotać przyrządem zrobionym z dwu foczych kości. Odgłos ten wywarł takie wrażenie, że stały przez czas pewien jak ogłupiałe, tupiąc i parskając, a potem, gdy ruszył naprzód, poszły za nim i kroczyły miarowo w głąb lądu, nie objawiając żadnego oporu i nie starając się zawrócić do współtowarzyszów, których setki tysięcy patrzyło na to, nie przerywając zgoła swych zwykłych zajęć i igraszek.

Kotik wypytywał z zaciekawieniem, co to znaczy, ale nie dowiedział się nic ponad to, że co rok przez jeden lub dwa miesiące ludzie w ten sposób uprowadzają z sobą młode foki.

— Muszę zobaczyć, co się tam dzieje! — powiedział i pobiegł co sił za oddalającym się stadem, a oczy wyszły mu na wierzch z ciekawości.

— Gwałtu! Biała foka ściga nas! — wrzasnął Pantalejmon — To niesłychane, by foka sama szła do rzeźni!

— Cicho bądź i nie oglądaj się! — odrzekł Keryk — Niezawodnie jest to duch Zacharowa! Muszę niezwłocznie zamówić modlitwę u kapłana.

Do rzeźni było niedaleko, ale droga trwała dobrą godzinę. Keryk baczył pilnie, by się foki nie zgrzały, w takim bowiem

razie skóra drze się łatwo przy obciąganiu. Szli powoli, minęli przesmyk zwany przesmykiem Morskiego Lwa, minęli skałę zwaną Webster House i drugą, zwaną Salt House, zasłaniającą przed wzrokiem fok zebranych na wybrzeżu to, co się poza nimi działo. Kotik szedł ciągle za gromadą zdumiony i spocony wielce. Wydawało mu się zrazu, że zaszedł bardzo daleko, ale przekonał się, że dolatuje tutaj wrzawa z foczego osiedla na wybrzeżu.

Nagle Keryk usiadł na skale, dobył z kieszeni wielki, metalowy zegarek i spoglądając nań często, czekał przez dobre pół godziny, by foki ochłonęły po marszu. Kotik widział to wszystko i słyszał szelest kropel wody, spadających z czapki Keryka. Po pewnym czasie zjawiło się kilkunastu ludzi z wielkimi, ciężkimi, okutymi żelazem pałkami w rękach. Keryk wskazał kilka fok wśród stada zanadto spoconych, lub też pokaleczonych przez towarzyszy, a ludzie odtrącili je na bok, kopiąc ciężkimi butami, zrobionymi ze skóry konia morskiego. Gdy się to stało, krzyknął Keryk donośnie:

— Zaczynać! A żywo!

Ludzie rzucili się ku fokom i zaczęli je tłuc z całej siły pałkami po głowach, śpiesząc się bardzo z robotą.

Nie minęło dziesięć minut, a przerażony Kotik nie mógł poznać swych towarzyszów w krwawych zewłokach leżących rzędami. Z każdej foki ściągnięto skórę od głowy do płetw dolnych i skóry te utworzyły ogromną stertę pod skałą.

Kotik nie mógł już wytrwać dłużej, zawrócił i popędził z powrotem co sił ku morzu. Wiadomo, że na niewielką odległość foki mogą się poruszać szybko, przeto Kotik dostał się niebawem do brzegu i najeżając ze zgrozy sypiące mu się dopiero wąsy, rzucił się w fale, tuż na samym przesmyku Lwa Morskiego. Tutaj, uniósłszy ponad głowę górne płetwy, zanurzony w chłodnej wodzie, kołysał się, jęcząc żałośnie.

Na skałach siedziało właśnie kilka lwów morskich, a wiadomo, że z zasady wielkie te zwierzęta zadają się tylko z równymi sobie.

— Cóż tam znowu? — mruknął jeden z lwów, posłyszawszy jęki.

— *Skuczno! Oczeń skuczno!* (smutno, bardzo smutno) — zajęczał Kotik — Wszystkich gołowąsów na całym wybrzeżu wymordują ludzie!

Lew morski spojrzał ku lądowi.

— Głupstwa pleciesz! — odrzekł — Towarzysze twoi zabawiają się, jak zawsze. Musiałeś chyba widzieć starego Keryka, wiodącego stadko poza skały. Uspokój się, robi on to już od lat trzydziestu, a nikt się nie dziwi.

— To rzecz straszna! — wrzasnął Kotik, rzucił się na grzbiet wysokiej fali, stanął pionowo i zawirowawszy płetwami, zatrzymał się tuż przy stromo sterczącym głazie skalnym.

— Wcale dobrze pływasz, jednolatku! — pochwalił lew morski, znający się na tej sztuce, a potem dodał: — Zapewne ze stanowiska foczego rzecz ta przedstawiać się musi tragicznie. Ale sameście temu winne, foki. Przybywacie każdego roku w to samo miejsce i o tej samej porze, przeto nic dziwnego, że ludzie się dowiedzieli o tym. Nie przestaną was tedy zabijać aż do czasu, kiedy znajdziecie sobie nowe, nieznane im miejsce pobytu.

— Czyż takie miejsce istnieje? — spytał Kotik.

— Od lat dwudziestu poławiam miętusy w różnych stronach, ale wszędzie napotykałem ludzi. Mimo to powiem ci coś, bo widzę, że lubisz pogwarkę poważną ze starszymi. Oto udaj się na wyspę Morsów i pomów z koniem morskim. On prawdopodobnie będzie coś wiedział. Tylko nie śpiesz się tak bez namysłu. Droga daleka, całe sześć kilometrów, powinieneś się wpierw wyciągnąć na piasku i przespać trochę.

Kotik usłuchał życzliwej rady lwa, popłynął na swoje wybrzeże, wyszedł na ląd i spał przez pół godziny, wstrząsany dreszczem, jak to zawsze dzieje się śpiącym fokom.

Po drzemce ruszył prosto ku Wyspie Morsów, małej, skalistej wyżynie, położonej na północno-wschód od Nowostoczny,

otoczonej rafami i skałami, na których mnóstwo było gniazd mewich.

Wylądował tuż obok olbrzymiego, starego konia morskiego. Było to stworzenie szkaradne, grube, pokryte fałdami skóry z guzami oraz liszajami, szyja jego była rozdęta, a kły bardzo długie. Koń morski, pochodzący z Oceanu Lodowatego, zachowuje się przyzwoicie wówczas tylko, kiedy śpi, a spał on właśnie, zanurzywszy dolne płetwy w wirującej u brzegów fali.

— Otwórz oczy! Zbudź się! — krzyknął Kotik, starając się przekrzyczeć mewy, drące się straszliwie.

— Ach… ach… uff! Co się stało? — zawołał koń morski i uderzył kłami swego towarzysza leżącego tuż obok. Tenże uczynił to samo sąsiadowi, a sąsiad podał hasło dalej, tak że za moment zbudziły się wszystkie konie morskie i wytrzeszczywszy oczy, rozglądały się na wszystkie strony, nie spojrzawszy jednak ani razu we właściwym kierunku.

— Spojrzyjcież na mnie! — zawołał Kotik, podskakując wśród zwałów piany morskiej, wśród których bielił się maleńki i niepozorny.

— Niechże mnie ze skóry obedrą! — zaklął koń morski — Czegoś podobnego nie widziałem dotąd!

Wszystkie konie morskie zaczęły się z góry gapić na małego Kotika, niby grono dostojnych, zaspanych dżentelmenów, przyglądających się małemu chłopcu. Ale Kotikowi nie w smak poszła wzmianka o obdzieraniu ze skóry, więc spytał od razu:

— Czy jest na świecie takie miejsce dla fok przydatne, gdzie by nie było ludzi?

— Szukaj go sobie sam! — odparł koń morski i zamknął ponownie oczy — Nie przeszkadzaj nam, malcze, mamy coś ważniejszego do roboty!

Kotik podskoczył wysoko w górę niby delfin i wrzasnął na całe gardło:

— Ślimakojad! Ślimakojad!

Wiedział dobrze, że wielki koń morski, mimo swej junackiej postaci nie umie złapać ryby, lecz poprzestaje na

wygrzebywaniu mięczaków i karmi się wodorostami.

Okrzyk ten podjęły natychmiast wszystkie stworzenia wokół, mewy, rybitwy, nurki, a to z tym większą lubością, że czyhają tylko na to, by się dać we znaki komuś, zwłaszcza zaś ospałemu koniowi. Przez długą chwilę taki wrzask panował na Wyspie Morsów, że nie słychać by było nawet karabinowego strzału. Co żyło, darło się na całe gardło, wykrzykując:

— Ślimakojad! Stary niedołęga!

Koń morski kołysał się z boku na bok bardzo niezadowolony, mrucząc i parskając.

— Czy mi odpowiesz teraz? — spytał zmęczony podskakiwaniem Kotik.

— Spytaj krowy morskiej — odrzekł koń — jeśli do tej pory żyje, ona jednak będzie ci mogła dać wskazówkę.

— A po czym rozpoznam krowę morską? — spytał.

Nadleciała mewa krasnolotka i wrzasnęła, podlatując pod sam nos koniowi:

— Krowa morska to jedyna istota w oceanie, jeszcze brzydsza od morsa. Jest ona jeszcze paskudniejsza i ordynarniejsza od tego starego, niedołężnego ślimakojada!

Kotik zabrał się do powrotu i nie zwracając uwagi na wrzaski mew, popłynął do Nowostoczny. Tu jednak przekonał się niebawem, że jego usilne starania odnalezienia bezpiecznego dla fok miejsca nie budzą w nikim zainteresowania. Słuchano obojętnie i mówiono mu, że taki już jest porządek świata, iż co roku ludzie muszą zagarniać pewną liczbę „gołowąsów". Uważano to za przejaw naturalny i radzono, by nie zachodził do rzeźni, jeśli chce uniknąć przykrych wrażeń. Żadna foka nie widziała dotąd tego masowego mordu i tym właśnie ogół różnił się od Kotika, który ponadto wyszczególniał się białym futrem.

— Po co się tym wszystkim zajmujesz! — mówił mu ojciec Łowca Morski — Masz tylko starać się, byś wyrósł na dzielną fokę, potem zaś na podobieństwo ojca będziesz miał własną rodzinę. Okaż się tak dzielnym jak ja zdobywcą miejsca, a nikt

ci spokoju nie zamąci. Nie dalej jak za lat pięć będziesz już mógł staczać boje.

Nawet dobra, łagodna matka mówiła mu:

— Porzuć nadzieję zapobieżenia tym rzeziom, a idź się bawić, drogi Kotiku!

Kotik bawił się, brał udział w tańcu świetlnym, ale niepokój i pożądanie nie cichły w jego sercu.

Gdy jesień nadeszła, jeden z pierwszych i sam zupełnie ruszył w podróż, owładnięty jedną, wielką myślą. Postanowił nieodwołalnie odnaleźć w oceanie krowę morską, jeśli w ogóle istnieje, a przy jej pomocy dostać się do owej dalekiej, zacisznej wyspy z plażą dogodną dla fok, gdzie nie postała noga człowieka-mordercy. Wędrował sam jeden po wszystkich zakątkach w Pacyfiku od krańców północnych aż do południowych, zwiedził każdą zatokę, a płynął dzielnie, robiąc często po trzysta kilometrów na dobę.

Przygód miał takie mnóstwo, że opisać ich niepodobna. Kilka razy ledwo ujść zdołał przed potworną, cętkowaną hają, najgorszym rodzajem rekina oraz kuszą-młotem o potężnej głowie, poza tym zaś spotkał mnóstwo różnych włóczęgów i rabusiów, zarówno na powierzchni, jak i w głębi oceanu. Widział wszystko, ogromne, ciężkie, śliskie ryby i nakrapiane purpurowo ukwiały, przez całe wieki siedzące na jednym miejscu i niezmiernie dumne z tej nieruchomości. Widział, czego nikt może przed nim nie oglądał, ale nigdzie nie napotkał krowy morskiej, ani nie odnalazł samotnej, wolnej od człowieka, wyspy.

Bardzo często lądował u wybrzeży, staczających się ślicznym upłazem, pokrytych wyśmienitym piaskiem, jakby stworzonych dla fok. Niestety, zawsze dostrzegał kędyś w pobliżu dym ulatujący ze statków, gdzie wytapiano tran lub ładowano tłuszcz wielorybi i fiszbin, a Kotik wiedział dobrze, co to znaczy. Czasem dostrzegał na wyspach ślady fok, oraz oznaki, że żyły tu kiedyś i uległy przemocy człowieka, a Kotik ruszał dalej, nie

tajne mu bowiem było, że gdzie byli raz ludzie, tam wrócą niezawodnie.

Pewien stary, wielkoskrzydły albatros powiedział mu, że położone daleko na południu wyspy Kerguelskie są zupełnie samotne i ciche i nadać się mogą do jego celu. Ruszył tam niezwłocznie, zaledwo jednak przybył, napotkał tyle szkaradnych raf i takie burze z błyskawicami i piorunami, że omal nie postradał życia. Przekonał się, że mimo złych warunków i tutaj żyły ongiś foki i wyginęły. To samo było zawsze na każdej wyspie czy wybrzeżu.

Limerszyn, od którego wiem to wszystko, powiedział mi, że Kotik spędził pięć lat na poszukiwaniach odpoczywając tylko co rok przez kilka miesięcy w rodzinnej Nowostoczny, gdzie za każdym zjawieniem się musiał znosić drwiny współtowarzyszów z powodu owych urojonych, bezpiecznych wysp. Zwiedził strasznie skwarne, niemal na samym równiku położone Wyspy Żółwie, gdzie mu groziło usmażenie żywcem, Wyspy Świętojerskie, Orkady, Wyspy Szmaragdowe, Słowicze, wyspy Gougha, Boureta i Crosetta, a nawet dotarł do jakiejś małej wysepki, daleko na południe od Przylądku Dobrej Nadziei położonej, ale wszędzie ludy morza opowiadały mu to samo. Żyły tu ongiś foki i uległy przemocy ludzkiej. Pewnego razu, po kilkuset kilometrowej podróży, wracając z wysp Gougha znalazł się u przylądku Corientes i spotkał tam gromadkę fok dotkniętych trądem. Od nich dowiedział się, że i tam zjawiają się ludzie.

Zrozpaczony opłynął przylądek i ruszył ku rodzinnej Nowostocznie. Płynął długo, aż pewnego dnia dotarł do małej, nieznanej zgoła, wysepki pokrytej drzewami i spotkał tam bardzo starą, zgrzybiałą już fokę, bliską śmierci. Kotik z wielką usłużnością nałapał jej ryb, a przy tym zwierzył się starowinie ze swych utrapień i marzeń.

— Udaję się teraz do Nowostoczni — zakończył zniechęcony — a jeśli mnie teraz wraz z innymi „gołowąsami” zaprowadzą do rzeźni, nie będę się bronił. Mam już dość życia!

Staruszka pomyślała i rzekła:

— Jestem ostatnią z wygasłego, prastarego rodu Masafuerów. Pamiętam, że w czasach dawnych, kiedy mordowano foki setkami tysięcy po wybrzeżach rodzinnych, krążyła tam legenda, czy proroctwo, iż od dalekiej Północy nadpłynie biała foka, która wywiedzie cały gatunek foczy z miejsca ucisku i zaprowadzi do Ziemi Obiecanej. Jestem zbyt stara i nie doczekam tego, ale ty jesteś młody, spróbuj tedy, spróbuj raz jeszcze!

Kotik nastroszył swe piękne już teraz wąsy i powiedział:

— Wszakże jestem jedyną istniejącą na ziemi białą foką i nikomu prócz mnie nie przyszło do głowy szukać Ziemi Obiecanej!

Rozmowa ta dodała mu odwagi. Gdy przybył do domu, matka prosiła go, by pojął żonę i osiadł na wybrzeżu, albowiem z „gołowąsa" wyrósł na wspaniałego mężczyznę z wielką, bujną, białą grzywą, okrywającą mu plecy, a co do odwagi i okazałości dorównywał ojcu.

Ale Kotik odrzekł:

— Zwolnijcie mnie na rok jeden jeszcze! Pamiętaj, droga mamo, o przysłowiu, że siódma fala dopiero najwyżej bije.

Zdarzyło się, że pewna samiczka również chciała do roku następnego odłożyć swe zaślubiny. Z nią przeto zaręczył się Kotik i przed wyruszeniem na wyprawę odtańczyli oboje wspaniały taniec świetlny na rozległych wybrzeżach Lukanonu.

Kotik udał się tym razem w kierunku zachodnim, a to z powodu wielkiej ilości płaszczyc, jakie tam napotkał. Kotik był rosły i potrzebował teraz najmniej sto funtów ryb dziennie, by sobie podjeść należycie. Polował długo i jadł, aż do zmęczenia, a potem rozciągnął się u wybrzeży wyspy Miedzianej i zasnął błogo kołysany falami. Znał brzegi, przeto spał spokojnie, aż około północy uczuł, że leży na miękkiej podściółce z alg i wodorostów, gdzie go woda zaniosła.

— Tej nocy silny mamy przypływ! — mruknął do siebie, przewrócił się na drugi bok, przeciągnął leniwie i rozwarł oczy.

Nagle podskoczył w górę z ogromnego zdziwienia. Oto ujrzał tuż koło siebie ogromne jakieś potwory, węszące po mieliźnie i szarpiące ogromne sploty wodorostów.

— Przysięgam na skały Magellana — zawołał — że pojęcia nie miałem, iż takie poczwary żyją w oceanie.

Stworzenia owe niepodobne były ani do koni, ani fok, lwów; czy niedźwiedzi morskich, nie przypominały też kształtami wieloryba, rekina, żadnej z ryb, mięczaków, czy skorupiaków. Nic podobnego nie widział dotąd Kotik w życiu. Długość ich wynosiła około trzydziestu stóp, nie miały dolnych płetw, ale coś w rodzaju łopaty, wyciętej jakby z grubej skóry, co miało być ogonem. Także głowy ich posiadały kształt dziwny. Gdy nie skubały alg, chwiały się cudacznie na tych ogonach i zanurzone w wodzie wybijały sobie wzajem tajemnicze jakieś pokłony, machając przy tym górnymi płetwami w sposób podobny, jak człowiek opasły porusza rękami.

— Hm… — krzyknął Kotik. — Jakżeż tam wiedzie się panom? Pomyślnych łowów! — dodał grzecznie.

Dziwne stwory odpowiedziały na to tylko ukłonami i machaniem płetw. Przypominały zupełnie ową znaną postać służącego, zwanego Froog-Footman, który na każde zapytanie kłania się tylko, nic zaś nie mówi. Kiedy znowu paść się zaczęły, Kotik zauważył z podziwem, że górna ich warga, przecięta pośrodku, rozchyla się szeroko i zagarnia do gęby całe snopy alg tak, że napychają się trawą, a potem przeżuwają ją powoli.

— Szkaradny to sposób odżywiania się! — rzekł Kotik, a twory owe zaczęły mu się znowu kłaniać, tak, że wpadł w złość.

— Widzę, że macie zbyt gibkie ogony, moi panowie, i zbyt ruchliwe płetwy! — zawołał — Kłaniacie się uroczo, ale przestańcież się raz popisywać, a powiedzcie jak was zwać!

Poruszyły kilka razy rozpołowionymi wargami, wybałuszyły nań olbrzymie, bezmyślne, szklane oczyska, ale nie rzekły nic.

— Nie widziałem dotąd stworzeń tak obrzydliwych i tak nieokrzesanych! — zawołał Kotik — To gorsze jeszcze o wiele od konia morskiego!

Nagle błysnęło mu w pamięci, co mówiła mewa-krasnolotka wówczas, kiedy to, będąc „gołowąsem”, przybył na Wyspę Morsów. Wrażenie było tak silne, że się przewrócił na wznak. Pojął, że ma przed sobą właśnie krowy morskie.

Zasypał je pytaniami we wszystkich językach ludów oceanu, których się wyuczył czasu dalekich podróży, a było ich wiele, podobnie, jak wielu języków używają ludzie. Ale dalej węszyły, zgarniały i przesuwały wodorosty i nie odpowiedziały nic, albowiem nie umieją wydawać głosu. Posiadają w górnej części kręgosłupa tylko sześć kręgów, miast siedmiu i ta okoliczność, zdaniem ogólnym, panującym w oceanie, sprawia, iż nie mogą rozmówić się nawet pomiędzy sobą. Ale mają za to w górnych płetwach stawy nadliczbowe, toteż potrafią wykonywać nimi mnóstwo przeróżnych ruchów na wszystkie strony i ruchy te tworzą kombinację znaków, przypominających sygnalizację, złożoną zapewne z jakichś konwencjonalnych liter alfabetu.

Gdy dzień nastał, Kotik był wściekły, a grzywa jeżyła mu się na karku. Spotkał krowy i nie mógł się z nimi porozumieć. Ładny rezultat. Ale po tysiącznych ukłonach krowy zdecydowały się wreszcie ruszyć gromadnie w kierunku północnym. Posuwały się powoli, ciągle stając i odbywając narady za pomocą ukłonów i machania płetwami, a Kotik podążył za nimi, mówiąc do siebie:

— Nie ulega kwestii, że stworzenia tak głupie i bezbronne dawno zostałyby wytępione, gdyby nie miały gdzieś bezpiecznego schronienia. Pewne jest także, że owo schronienie, zabezpieczające byt krowom morskim, musi być nieocenione dla nas fok, czyli psów morskich. Rad bym tylko, by się ruszały prędzej!

Podróż ta męczyła niesłychanie zręcznego Kotika, bo krowy nie posuwały się w ciągu dnia dalej niż o pięćdziesiąt kilometrów, zaś noc spędzały przy brzegach, śpiąc jak zabite. Opływał je z wszystkich stron, straszył, przynaglał, ale wszystkie te usiłowania nie zdały się na nic, nie przyśpieszając podróży ani trochę. Przeciwnie, im dalej się posuwały ku

północy, tym częściej odbywały narady i tym dłużej się sobie kłaniały. Kotik ze złości omal nie odgryzł sobie wspaniałych wąsów, ale musiał czekać. Pewnego dnia zauważył, że kierują się biegiem cieplejszego prądu i okoliczność ta wzbudziła w nim pewne uznanie dla ich inteligencji.

Na koniec jednej nocy zanurzyły się niby wielkie tłumoki do warstw dolnych wody i po raz pierwszy od chwili spotkania zaczęły płynąć szybko. Kotik podążał za nimi uradowany wielce i zdumiony, że krowy morskie coś w ogóle umieją. Po niejakim czasie krowy okrążyły ogromną, sterczącą daleko w morze skałę, spuściły się jeszcze niżej i wpłynęły w szeroki podmorski tunel, otwierający swą paszczę u samego dna. Tunelem tym krowy płynęły bardzo długo, tak że Kotikowi zaczynało już braknąć powietrza w chwili, gdy tunel się skończył i krowy wydostały się na powierzchnię wody.

— Przysięgam na własną grzywę, że takiego nurka nie dałem jeszcze w życiu! — zawołał, parskając i sapiąc na otwartej przestrzeni po drugiej stronie skały — No, ale przynajmniej opłaciło mi się to.

Krowy morskie rozpierzchły się i zaczęły się paść, a Kotik objął upojonym spojrzeniem przecudne wybrzeże, jakie miał przed sobą. Całymi dziesiątkami kilometrów słały się tu lśniące, gładkie skały, jak gdyby umyślnie ułożone na legowiska dla fok. Poza nimi ciągnęły się przestrzenie piaszczyste o długim spadku, idealne pola igrzysk dla „gołowąsów”, w dali zaś biły na płyciznach fale, zapraszające wprost do tańca i płaszczyzny pokryte wysoką, gęstą trawą, w której tarzać się można było do woli. Ponad wszystko zaś Kotik wyczuł instynktownie, po samym tylko dotknięciu fali, w czym nie myli się żadne stworzenie morskie, że… nie postała tutaj dotąd stopa człowieka.

Zbadał dokładnie obfitość żywności i oczekiwania jego przeszły wszelkie granice. Potem pływał wzdłuż wybrzeża, liczył rozkoszne, piaszczyste wzgórza, nadające się doskonale do staczania w wodę i napawał się cudną, szafirową mgłą,

przysłaniającą krajobraz cały. Od strony północnej broniły dostępu rafy morskie i straszliwe wiry oraz mielizny, tak że bliżej nad sześć kilometrów podjechać nie mógł najmniejszy nawet statek, a od lądu oddzielał wyspy wartki prąd wody, rozbijającej się na pianę o skały, pod którymi otwierała się paszcza tunelu.

— To druga Nowostoczna! — zawołał Kotik — Tylko dziesięć razy większa! Widzę, że krowy morskie nie są takie głupie, jak mniemałem. Gdyby nawet znaleźli się tutaj ludzie, nie zdołają przedrzeć się przez te urwiska, a od strony morza nie dojedzie żaden statek. Jest to chyba jedyne na całym morzu pewne i bezpieczne miejsce.

Wspomniał pozostawioną w domu narzeczoną, ale nie ruszył z powrotem zanim nie zbadał dobrze całej okolicy, aby móc dać należytą odpowiedź na każde pytanie. Wreszcie zbadał jeszcze wylot tunelu, zaczerpnął głęboko powietrze, dał nura i popłynął w stronę ojczyzny.

Jedna tylko krowa morska mogła domyślić się, że zacisze takie istnieje. Znalazłszy się poza skałami, Kotik sam nie mógł dać wiary, że pływał dopiero co po tamtej stronie.

Przez całych dziesięć dni płynął żwawo, a gdy na koniec wylądował w pobliżu przylądku Lwa Morskiego, ujrzał czekającą nań z utęsknieniem młodą narzeczoną. Foczka z samej miny jego od razu poznała, że sprawy stoją dobrze i że nareszcie upragniona Ziemia Obiecana została odnaleziona.

Gdy jednak opowiedział o swym odkryciu, zarówno wszystkie „gołowąsy”, jak i własny ojciec wyśmiali go jednomyślnie, a jeden z rówieśników zawołał:

— Ładne nam prawisz bajki, Kotiku, ale my życie pojmujemy na serio. Walczyliśmy tu o miejsce, gdyś ty wałęsał się, nie wiadomo gdzie! Nie bądź przeto tak głupi, by sądzić, że powleczesz nas z sobą!

Słysząc te słowa, wszystkie foki wybuchnęły śmiechem, a młody zuchwalec kiwał urągliwie głową. Był on niezmiernie dumny, bo właśnie ożenił się tego lata.

— Nie miałem jak wy powodu walczyć o miejsce albowiem nie mam rodziny! — odparł Kotik — Znalazłem wam za to miejsce ogromne i bezpieczne, gdzie bić się o każdy cal ziemi nie potrzeba!

— Hm… jeśli nie uważasz za stosowne walczyć i boisz się, to trudno! — powiedział drwiąco młodzik.

— Czy pójdziesz ze mną, jeśli cię pokonam? — spytał Kotik, a oczy mu rozbłysły na myśl o walce i ogarnęła go wściekłość.

— Dobrze! — zgodził się młody żonkoś — Wygraj, a pójdę z tobą!

Nie miał czasu cofnąć tych słów, bo Kotik rzucił się nań, trzasnął weń głową, wbił kły w tłusty jego kark, a potem powlókł za sobą po wybrzeżu i cisnął w końcu półżywym o ziemię.

— Przez całych pięć lat — wrzasnął, zwracając się do innych fok — pracowałem dla waszego dobra. Odkryłem miejsce, gdzie możecie żyć bezpiecznie! Ale wiem, że dopóki nosić będziecie całe głowy na karkach, nie uwierzycie mi. Tedy muszę was przekonać własną waszą metodą! Baczność! Zaczynam!

Limerszyn napatrzył się dość corocznie staczanym walkom fok, ale, zdaniem jego, z niczym porównać się nie dał straszliwy atak, jaki Kotik przypuścił teraz do foczych legowisk. Porwał za gardło największego z pośród samców i póty gryzł, dusił i bił, aż olbrzym zaczął błagać zmiłowania. Rzucił go na bok, wziął się do drugiego, a potem do następnych.

Kotik nie odbywał, jak inne foki, kilkumiesięcznych postów letnich, zaś w długich podróżach nabrał sił niespożytych. Po wtóre była to jego pierwsza walka! Toteż grzywa stanęła mu dęba, oczy rozgorzały zielonymi blaskami, a ogromne, białe kły miotały bez przerwy ciosy. Wyglądał rzeczywiście wspaniale.

Ojciec patrzył z podziwem, a widząc, jak niby miętusy wlecze za sobą największe samce, bojowników srogich, zaś młodszymi śmiga w powietrzu, ryknął z uznaniem:

— Być może, że mu się coś marzy, ale nie ulega kwestii, że jest najdzielniejszym wojownikiem na całym wybrzeżu. Baczność,

synaczku, nie kąsaj ojca własnego! Ja z tobą trzymam!

Kotik ryknął w odpowiedzi, a stary Łowca Morski ruszył naprzód, kiwając się na nogach, nastroszywszy wąsy i sapiąc jak lokomotywa. Matka i narzeczona Kotika przycupnęły z podziwu nad siłą i wspaniałością swych samców. Walka to była bohaterska, a ojciec i syn wojowali tak długo, aż każda z fok na całym wybrzeżu poczuła ich razy i wszystkie poddały się zwycięzcom. Wówczas obaj udali się na przechadzkę triumfalną, podniósłszy głowy i porykując co chwila.

Gdy noc nadeszła, a światło zorzy północnej przenikało opary mgły, Kotik wylazł na skałę, spojrzał na pobojowisko zasłane poranionymi i ociekającymi krwią przeciwnikami i zawołał:

— Dałem wam naukę!

— Przysięgam na własną grzywę — zawołał jeden z olbrzymów, z trudnością poruszając członkami — że większego zamętu nie sprawiłby nawet sam wieloryb. Dumny jestem z ciebie, młodzieńcze! A oprócz tego oświadczam, że pierwszy wyruszę z tobą na ową tajemniczą wyspę… naturalnie, o ile istnieje na świecie.

— Słuchajcie, spaśne wieprze! — zaryczał Kotik — Gadajcie mi zaraz, który z was nie chce iść do tunelu krów morskich, a sprawię mu takie lanie, że nareszcie zaświta wszystkim w głowach!

Wielki szum rozległ się po całym wybrzeżu, przypominający przypływ morza. Tysiące zalękłych głosów wołało:

— Idziemy z tobą! Idziemy z Kotikiem, białą foką, do Ziemi Obiecanej!

Teraz Kotik wtulił dumnie głowę w ramiona i przymknął oczy. Był nie biały już, ale purpurowy od głowy do dolnych płetw, a chociaż ciało jego pokryte było ranami, na żadną uwagi nawet nie zwracał.

W tydzień potem ogromna gromada, złożona co najmniej z dziesięciu tysięcy „gołowąsów” i dorosłych fok, ruszyła pod przywództwem Kotika ku tunelowi krów morskich, a foki

pozostałe w Nowostoczny spoglądały na szalonych wędrowników z politowaniem.

Następnej wiosny spotkali się wszyscy pośród oceanu w miejscach zwykłych połowów, a zwolennicy Kotika takie opowiadali cuda o krainie, leżącej poza tunelem krów morskich, że ruszyła tam nowa grupa i odtąd Nowostoczna coraz szybciej opróżniać się zaczęła.

Nie stało się to oczywiście prędko, bo foki potrzebują sporo czasu do namysłu, ale nie ulega kwestii, że coraz to więcej ochotników pociąga nowe, piękne, bezpieczne wybrzeże, gdzie króluje Kotik, coraz to większy, okazalszy i groźniejszy, w chwale wielkiej, albowiem dał ludowi swemu osiedle pośród oceanu, na którym nigdy jeszcze dotąd nie stanęła stopa człowieka.

Lukannon

Śpiew będący żałobnym hymnem fok

Na Lukannonu brzegu skalnym,
W który łomoce wściekłość fal,
Miliony fok tym śpiewem brzmią chóralnym.
Swą troskę głoszą i swój żal.

O Lukannonie nucą, dawnym Lukannonie,
Gdzie raj był cudny, nim się zjawił człek…
Gdzie radość, falą biegła poprzez tonie,
Gdzie cicho płynął wciąż po wieku wiek.

Codziennie brzmi porankiem smutna nuta.
Codziennie serca ronią łzy…
Ojczyznę fok człowieka nęka buta…
Krwią spływasz, o rodzinny kraju ty!

O jakżeż piękny był, obfity w trawę,
Skąpany w mgły przelśnione blaskiem zórz!
Zostały po nim tylko klechdy łzawe…
Któż wygna stąd tych gnębicieli? Któż?

Na Lukannonu brzegu skalnym,
Gdzie mord wśród fok wciąż szerzy ludzka dłoń,
Modlą się tłumy, płaczem brzmiąc chóralnym,
Co płynie rankiem poprzez morza toń.

O mewo, w szparkim locie pod obłoki
Zanieśże władcom głębin smutną wieść,
Że bliskie skonu są nieszczęsne foki,
Bo człowiek chce ich ród w nicości grześć.

Riki-Tiki-Tavi

Wśród chaszczy, siedzi w jamie Nag,
Nad nim zaś Riki, mówiąc tak:
Na walkę cię wyzywam ja!
Jednemu z nas umierać trza.

Spójrz w oczy moje lśniące!
(Nag się w pierścienie plącze).
Szaleńczy wir zaczęty!
(Łyskają Naga skręty).
O śmierć i życie bój!
(Skoczę i będziesz mój),
Na kark mu gromem spadł
(I poległ brzydki gad).

Opowieść ta ma na celu skreślić dzieje bohaterskiego boju, jaki Riki-Tiki-Tavi stoczył w łazience pewnej willi, w miejscowości Segowli. Był mu w tym pomocny ptak-krawiec, zwany Darci oraz szczur piżmowy, zwany Szuszundrą, który ma zwyczaj prześlizgiwać się pod ścianami i unika środka podłogi pokoju. Walkę jednak stoczył on sam jeden, o własnych siłach.

Riki był to ichneumon podobny z uwłosienia oraz ogona do niewielkiego kota, budową głowy i obyczajami przypominający jednak raczej łasicę. Oczy i koniec ruszającego się ciągle nosa miały kolor różowy. Umiał iskać się wszystkimi czterema nogami po całym ciele z wielką łatwością, umiał dalej nastroszyć ogon tak, że wyglądał jak przyrząd do czyszczenia butelek, gdy zaś myszkował w trawie, wydawał okrzyk bojowy: rikk-tikk-tikk-cz!

Pewnego ulewnego dnia woda zalała jamę, gdzie żył wraz z rodzicami, a biedny ichneumon na poły martwy, poruszający jeszcze łapkami, został uniesiony prądem do przydrożnego rowu. Napotkawszy przypadkiem kępę jakiegoś zielska,

ostatkiem sił wygramolił się na nią i tam zemdlał. Gdy odzyskał zmysły, spostrzegł, że leży pośrodku ścieżki ogrodowej wystawiony na promienie słońca, w stanie bardzo smętnym i usłyszał jakiś głos nad sobą:

— Zdechły ichneumon! — mówił niewielki chłopiec — Trzeba go zakopać!

— Nie wiadomo, czy zdechł! — zauważyła matka — Zabierzmy go do domu i spróbujmy przywrócić mu życie!

W domu jakiś rosły mężczyzna (był to Anglik świeżo osiadły w willi) wziął go ostrożnie w rękę i zawyrokował, że żyje, tylko jest nieprzytomny. Przeto owinięto go w watę i położono w ciepłym miejscu. Wkrótce otworzył oczy i parsknął kilka razy.

— Nie straszmy go! — powiedział mężczyzna — Zobaczymy, co będzie robił.

Nie byle co może zresztą przestraszyć ichneumona, który jest od głowy do końca ogona owładnięty ciekawością. Hasłem całego rodu jest: „Szukaj, a znajdziesz!”, a Riki był nieodrodnym ichneumonem. Naprzód obejrzał dokładnie zwitek waty, z którego wylazł, a przekonawszy się, że nie nadaje się do zjedzenia, pobiegł wzdłuż stołu, przysiadł, wymuskał sobie futerko, a wreszcie jednym susem skoczył chłopcu na ramię.

— Nie bój się, Teddy! — powiedział ojciec — To obyczaj ichneumona. Chce się z tobą zaznajomić!

— Łaskoce mnie po szyi! — zawołał chłopiec.

Riki zajrzał mu za kołnierzyk, obwąchał koniec ucha, a potem skoczył na ziemię i zaczął trzeć się po nosie.

— Bardzo miłe stworzonko! — powiedziała matka — Nie rozumiem, czemu zwą dzikimi ichneumony! Może dlatego jest tak łaskawy, żeśmy go wzięli w opiekę?

— Ichneumony zawsze zachowują się w ten sposób. Byle tylko Teddy nie ciągnął go za ogon i nie zamykał do klatki, będzie przez cały dzień biegał po domu. Musimy go jednak nakarmić.

Dano mu kawałek surowego mięsa, który zjadł ze smakiem, a podjadłszy, udał się na werandę, siadł na słońcu i nastroszył

sierść, aby każdy włosek wysuszyć aż do nasady. Uczuł, że jest mu bardzo dobrze.

— W tym domu — mówił do siebie — jest więcej do zbadania, niż by mogła zobaczyć cała moja rodzina przez całe życie. Zostanę więc i będę szukał.

Przez cały dzień zwiedzał willę. Omal nie utonął w wannie, powalał sobie nos atramentem, wetknąwszy go do kałamarza, a potem sparzył się cygarem, gdy spacerował po kolanach mężczyzny dla zbadania w jaki sposób się pisze.

Gdy noc nadeszła, pobiegł do sypialni chłopca celem zobaczenia, jak się zaświeca lampy naftowe, gdy zaś Teddy położył się spać, wskoczył na jego łóżko. Ale był to towarzysz niespokojny, gdyż przez całą noc zrywał się za lada szelestem, badając jego przyczynę.

Gdy rodzice przyszli powiedzieć synowi dobranoc, zastali ichneumona na jego poduszce.

— Nie jestem zadowolona z tej poufałości! — powiedziała matka — Gotów go jeszcze ugryźć!

— Nie ma obawy! — uspokoił mąż — Obecność tego małego stworzenia zapewnia chłopcu znacznie większe bezpieczeństwo, niż gdyby go pilnował najczujniejszy pies! Przypuśćmy, że do pokoju dostanie się wąż…

Matka przerwała, nie chcąc nawet słuchać o takich okropnościach.

Nazajutrz Riki przybył na śniadanie, siedząc na ramieniu chłopca. Poczęstowano go bananem i kilku jajami, a on skakał z kolan na kolana. Był dobrze wychowany, jak przystało ichneumonowi, który liczy na to, że zostanie ichneumonem domowym, a zawdzięczał to matce swej, która uczyła go, jak się ma zachować w razie spotkania z białymi ludźmi. Była ona doświadczoną osobą, gdyż przez czas pewien mieszkała w domu pewnego generała w Segowli.

Po śniadaniu Riki udał się do ogrodu w celu zbadania rzeczy ciekawych. Był on obszerny, w połowie zaniedbany, pełen krzewów róż *Maréchal Niel*, wielkich i rozrosłych. Poza tym

rosły tam gojawy i drzewa migdałowe, kępy bambusów i całe łany wysokiej, gęstej trawy.

— Doskonały teren do łowów! — powiedział sobie Riki, najeżył ogon i przebiegał ogród we wszystkich kierunkach. Naraz posłyszał rozgłośny lament, dolatujący od strony, gdzie rósł wysoki krzak jakiejś ciernistej rośliny.

Głos pochodził z gardzieli ptaka-krawca, zwanego Darci oraz jego żony. Piękne gniazdo, zeszyte z dwu wielkich liści, wysłane wewnątrz puchem i różnymi strzępkami, chwiało się z powiewem wiatru, oni zaś siedzieli na brzegu jego i kwilili żałośnie.

— Cóż się to stało? — spytał Riki.

— Okropne nieszczęście! — odrzekł Darci — Jedno z piskląt naszych wypadło wczoraj z gniazda i pożarł je okrutny Nag.

— Hm… — zauważył Riki — Jest to w istocie wielkie nieszczęście. Ale nie znam tutejszych stosunków i nie wiem, kto to jest Nag!

Darci i żona jego nie odpowiedzieli, natomiast schowali się szybko do gniazda. Za moment rozległ się z gęstwy traw, rosnących tuż pod krzakiem, przeraźliwy syk, a posłyszawszy go, Riki wykonał skok wstecz, który odrzucił go o dobry metr od krzaku.

Ponad trawą zamajaczył, wznosząc się ciągle w górę, płaski łeb okolony szerokim kapturem. Był to okularnik czarny, Nag, długości co najmniej półtora metra od żądła do końca ogona. Uniósłszy w górę trzecią część ciała, zakołysał się w prawo i lewo niby kiść bambusu w wietrze i rzucił ichneumonowi owo okrutne spojrzenie gada, który nigdy nie zmienia wyrazu oczu, bez względu na to, co zamierza.

— Pytasz, kim jest Nag? — zasyczał — To ja! Wielki Brahma nadał owo piętno całemu memu rodowi w nagrodę za to, iż jeden z przodków naszych osłonił go, kiedy spał, kapturem od słońca.

Rozpostarł szeroko swój kaptur, a Riki ujrzał połyskujący na nim znak okularów, podobniejszy, co prawda, do haftki.

Przeraził się z początku, ale strach minął rychło, bo ichneumony nie zwykły bać się długo. Riki nie widział dotąd żywego okularnika, ale mięsem ich żywiła go matka, a wiedział, że głównym zadaniem ichneumona dorosłego jest walka z gadami i pożeranie ich. Nie tajnym to było także Nagowi, toteż uczuł trwogę w głębi kamiennego serca swego.

— Mniejsza o piętno! — odrzekł poważnie Riki, jeżąc ogon — Czy sądzisz, że wolno ci pożerać wypadłe z gniazda pisklęta?

Nag zdawał się namyślać i śledził ruch trawy poza Rikim. Wiedział dobrze, że ichneumon w ogrodzie, to śmierć jego i całego rodu, która nastąpić musi prędzej czy później. Toteż chciał zgubić go i w tym celu ozwał się łagodnie, celem uśpienia jego czujności.

— To jest kwestia sporna. Wszakże ty sam zjadasz jaja, czemuż byśmy tedy nie mieli zjadać piskląt?

— Spójrz za siebie, Riki! Baczność! — wrzasnęła nagle żona Darcia.

Riki wiedział, że nie ma co tracić czasu na oglądanie się, skoczył tedy natychmiast w górę, jak mógł najwyżej, a tuż pod nim przemknął płaski łeb Naginy, krwiożerczej małżonki Naga. Przypełzła ona z tyłu, podczas gdy mąż rozmawiał z Rikim i chciała go od razu zamordować. Syczała teraz ze złości, widząc, że jej się nie udało.

W dodatku Riki spadł jej niemal na sam grzbiet. Gdyby był bardziej doświadczony, wiedziałby, że była to najstosowniejsza chwila do śmiercionośnego ukąszenia. Przeraziło go jednak smaganie ogona węża. Wbił wprawdzie zęby, ale nie dość głęboko i uskoczył na bok od rozwścieczonej raną Naginy.

— Szkaradna Darcina! — zawołał Nag i zaczął smagać ogonem, jak mógł najwyżej ku gniazdu na ciernistym krzewie, chcąc go dosięgnąć i strącić na ziemię.

Ale Darci był przezorny, gniazdo, zawieszone wysoko, chwiało się tylko, a zemsta Naga okazała się daremna. Riki czuł, że oczy mu płoną purpurowym ogniem, co jest znamieniem

wielkiego gniewu, siadł na tylnych łapach i ogonie, niby mały kangur i zgrzytał zębami z wściekłości.

Tymczasem Nag z małżonką znikli w trawie, albowiem wąż po porażce nigdy nie zdradza swych myśli i odchodzi spokojnie. Riki nie myślał ich ścigać, nie ufał sobie na tyle, by rozpoczynać bój z dwoma okularnikami naraz, powędrował przeto na żwirowaną aleję ogrodu i usiadłszy w pobliżu domu, popadł w zadumę. Rozmyślał o sprawach wielkiej wagi.

Rozmaite dzieła przyrodnicze opowiadają, że zraniony w walce z wężem ichneumon szuka pewnego ziela, które go leczy z jadu. Ale nie jest to zgodne z prawdą. Ichneumon nie ma do dyspozycji nic innego prócz zwinności nóg i bystrości wzroku. W walce ruchliwość głowy węża idzie o lepsze z szybkością i precyzyjnością skoków jego, ponieważ zaś żadne stworzenie nie jest w stanie pochwycić spojrzeniem wszystkich ruchów głowy napadającego nań węża, przeto walka taka i zwycięstwo są to rzeczy wprost przedziwne i wobec nich nie ma — nawet co wspominać o jakimś marnym zielu leczniczym.

Riki zdawał sobie dobrze sprawę, że jest dopiero młodziankiem i czuł się zadowolony, iż tak zręcznie ocalić się zdołał przed napaścią z tyłu. Nabrał też zaufania we własne siły, a posłyszawszy kroki biegnącego aleją chłopca, pewny był, że go nie minie zasłużona pieszczota.

W chwili jednak, gdy Teddy znalazł się przy nim, coś niewielkiego poruszyło się w piasku i cichy jakiś głosik szepnął:

— Baczność! Idzie śmierć!

Był to karait, mały, szary wężyk, niedostrzegalny w piasku, w którym żyje zazwyczaj. Ukąszenie jego jest tak samo śmiertelne, jak okularnika, ponieważ jednak jest mały i niedostrzegalny, przeto bywa o wiele częściej niż wielkie kobry przyczyną śmierci ludzi.

Oczy ichneumona błysnęły ogniem i posunął się ku karaitowi, kołysząc się całym ciałem w sposób tradycyjny i instynktowy. Ruch ten śmieszny z pozoru jest tak doskonale obliczony, że nie ma kąta, pod którym nie można by z tej pozycji wykonać skoku,

a okoliczność owa w walce z wężem jest sprawą wagi pierwszorzędnej.

Bój z karaitem, o czym wcale nie wiedział Riki, jest nierównie trudniejszy i niebezpieczniejszy niż z wielkim Nagiem i gdyby go nie zdołał trafić zębami w kark tuż za głową, to karait, obróciwszy się, położyłby go trupem jednym skaleczeniem w nos lub policzek.

Riki nie zważał na to wszystko, tylko, kołysząc się coraz to silniej, upatrywał miejsca do zatopienia zębów. Karait zaczął bój, rzucając się nań, Riki skoczył w górę, starając się opaść mu na grzbiet. Ale jadowity łeb przemknął tuż koło jego boku, przeto Riki przeskoczył ciało węża, a w skoku uczuł, że łeb znajduje się tuż za jego tylnymi nogami. Teddy obrócił się ku domowi i zawołał:

— Chodźcie… chodźcie… ichneumon walczy z wężem!

Rozległ się krzyk matki, a ojciec z laską w ręku ukazał się w progu. Zanim zdążył dobiec, karait wykonał ruch nie dość zręczny, Riki skoczył mu na grzbiet i, wyciągnąwszy mordkę, wbił mu zęby w kark tuż pod głową, potem zaś stoczył się po nim na bok.

To jedno ukąszenie położyło trupem węża i Riki chciał go już pożreć, zaczynając, zwyczajem tradycyjnym swego rodu, od ogona, ale w samą porę przypomniał sobie, że obfite uczty powodują ociężałość, a potrzebował całej sprężystości w oczekującej go walce z potężnym Nagiem.

Zrezygnował tedy z uczty, poszedł wytarzać się w piasku pod krzewami rycynusu, a ojciec chłopca okładał tymczasem laską martwego karaita.

— To śmieszne! — powiedział, patrząc na wysokiego mężczyznę — Wszakże załatwiłem już wszystko, co należało!

Matka schyliła się, wzięła go na ręce, przytuliła do piersi i oświadczyła, że Riki ocalił jej synowi życie. Również i ojciec oddał mu gorące pochwały, a chłopiec, teraz dopiero zrozumiawszy niebezpieczeństwo, spoglądał na ichneumona przerażony.

Riki dziwił się bardzo całej tej owacji. Wszakże bawił się tylko w piasku, podobnie jak Teddy, więc matka mogła równie dobrze głaskać i pieścić syna. Ale czuł wielkie zadowolenie, że mu się udało polowanie.

Gdy wieczorem spacerował po stole pomiędzy szklankami i talerzami, widział tam tyle dobrych rzeczy, że mógł się najeść za trzech. Ale nie zapomniał o Nagu i Naginie, toteż był wstrzemięźliwy, a chociaż przyjemność mu sprawiało głaskanie matki chłopca oraz przesiadywanie na jego ramieniu, to jednak od czasu do czasu rozbłyskały mu oczy purpurowym ogniem, a z piersi wyrywał się głośny bojowy okrzyk: *Rik-Tikk-Tik-Cz!*

Teddy wziął go z sobą do łóżka i umieścił pod swoją brodą, a Riki, jak przystało dobrze wychowanemu ichneumonowi, leżał cicho, przez czas jakiś schowawszy pazury, gdy jednak chłopiec zasnął, wyruszył na nocną wędrówkę po domu.

Za małą chwilę spotkał szczura piżmowego, Szuszundrę, skradającego się trwożliwie wzdłuż ścian. Jest to bardzo płochliwe zwierzątko, po całych nocach lamentuje i płacze z tego powodu, że nie ma odwagi wychylić się na środek pokoju.

— Daruj mi życie! — jęknął — Nie zabijaj mnie, Riki! — błagał żałośnie.

— Nie płeć głupstw! — odparł Riki pogardliwie — Czyż pogromcy węży przystoi polować na szczury piżmowe?

— Kto z wężami wojuje, od węża ginie! — zaskomlił jeszcze żałośniej Szuszundra — A przy tym bardzo możliwe, że Nag w ciemności pomyli się i mnie weźmie za ciebie!

— Nie bój się! — pocieszał go — Nie ma obawy! Zresztą Nag mieszka w ogrodzie, ty zaś nie opuszczasz domu!

— Ach… krewny mój, szczur Szua, mówił mi…

— Że co? — spytał Riki, gdy Szuszundra urwał nagle.

— Że… nie ma takiego miejsca, gdzie by nie było Naga. Szkoda, że nie porozumiałeś się z Szuą, o wielki Riki!

— A więc ty mi powiedz, co wiesz! Dalejże, mów zaraz, bo cię ugryzę!

Szuszundra rozpłakał się rzewnie, a łzy kapały mu z wąsów.

— O, ja nieszczęsny! Nie tylko nie mogę odważyć się wyjść na środek pokoju, ale w dodatku zginę… cicho… sza… — szepnął nagle — Nie potrzebuję już mówić! Posłuchaj sam, Riki!

Riki nastawił uszu. Panowała w całym domu głęboka cisza, a mimo to ichneumon pochwycił jakiś drobny szelest, coś w rodzaju stąpania osy po gładkiej szybie. Nie było dlań wątpliwości, to śliska łuska węża ocierała się o mur.

— Tak… tak… — szepnął Riki — Nag albo jego żona wśliznęła się do łazienki przez rurę odpływową. Miałeś rację, Szuszundro, szkoda, że nie pomówiłem z Szuą.

Wśliznął się do łazienki, przytykającej do sypialni chłopca, a nie znalazłszy tam nic podejrzanego, poszedł do łazienki głównej. Był tam u samego spodu muru otwór z rurą, którędy spływała do kanału woda. Riki stanął przy otynkowanej gładko ścianie obok wanny i dzięki wzmożonemu głosowi, dochodzącego ową rurą, słyszał to, co leżący na zewnątrz w świetle księżyca. Nag i Nagina szeptali z sobą.

— Gdy w domu wszyscy wyginą i *on* będzie zmuszony wynieść się stąd precz, wówczas my zostaniemy z powrotem nieograniczonymi władcami ogrodu. Poczynaj sobie ostrożnie i pamiętaj, że przede wszystkim zabić trzeba wielkiego mężczyznę, który bił kijem karaita. Gdy wrócisz po pomyślnych łowach, weźmiemy się we dwoje do tego przeklętego ichneumona!

— Więc pewna jesteś, że zabicie ludzi da pomyślny wynik?

— Naturalnie! Póki nie było ludzi w bungalowie, ani jeden ichneumon nie zajrzał do ogrodu. Toteż musi opustoszeć, a wówczas nikt nam nie będzie przeszkadzał. Nie zapominaj zresztą, że lada dzień wyklują się nasze dzieci z jaj ukrytych na melonowych grzędach i że będą potrzebowały dużo miejsca i zupełnego spokoju.

— Dobrze, żeś mi o tym przypomniała! Ruszam tedy niezwłocznie. Zdaje mi się zresztą, że walka z Rikim będzie zbyteczna, bo gdy zabiję mężczyznę, żonę jego, a o ile się da i chłopca, to ichneumon sam się stąd wyniesie.

Riki słyszał wszystko i dygotał z wściekłości. Nagle ujrzał wsuwający się otworem płaski łeb Naga, za którym wlokło się olbrzymie jego cielsko. Mimo, że miotała nim żądza walki, przeraził się niemało, spoglądając na potężne rozmiary nieprzyjaciela. Nag wlazł cały, zwinął się, podniósł głowę i rozglądał się wokoło, a Riki śledził jarzące się jego oczy, przysłaniając starannie swoje.

— Jeśli zacznę z nim teraz walkę — myślał — Nagina posłyszy zaraz i przyjdzie, zresztą na tej gładkiej podłodze będzie miał nade mną znaczną przewagę! Co tu robić?

Nag chwiał w prawo i lewo głową, po chwili zaś usłyszał Riki, że pije z wielkiego wiadra, służącego do napełniania wanny.

— Wszystko w porządku! — powiedział Nag — Trzeba się teraz zastanowić dobrze. Mężczyzna bił kijem karaita. Kij ten może mieć przy sobie teraz jeszcze. Ale nie będzie miał na pewno kija, gdy przyjdzie się kąpać rano. Zaczekam więc na niego. Wiesz co, Nagino, zaczekam tu w chłodzie do rana… prawda, że tak będzie najlepiej?

Nie było odpowiedzi z zewnątrz, przeto Riki nabrał pewności, że Nagina już odpełzła z powrotem. Nag owinął się kilku skrętami dookoła wiadra i zastygł w bezruchu, a Riki skamieniał również, tłumiąc nawet oddech.

Dopiero po upływie dobrej godziny zaczął z niezmierną ostrożnością posuwać się w stronę wiadra. Nag usnął twardo, a Riki, stojąc przy nim, upatrywał najlepszego miejsca do zatopienia kłów.

— Jeśli mu nie przegryzę kręgu od razu, będzie się bronił, a wówczas… już po mnie! — myślał.

Przyglądał się bacznie szyi Naga poniżej kaptura, ale wydała mu się za gruba, zaś ukąszenie w inne miejsce nie było śmiertelne i mogło tylko rozzłościć olbrzymiego kobrę.

— Muszę go chwycić za sam łeb, powyżej kaptura! — zadecydował po namyśle — Ale, chwyciwszy raz, pod żadnym warunkiem nie wolno puszczać.

Rzucił się na łeb. Nag odsunął nieco głowę od obwodu glinianego wiadra i Riki mógł wesprzeć się o nie całym ciałem, tym skuteczniej przyciskając łeb przeciwnika do ziemi. Tę chwilową przewagę wyzyskał, jak umiał najlepiej. Ale za sekundę Nag, podobnie, jak pies miotający szczurem, zaczął nim ciskać na wszystkie strony po podłodze, śmigał po powietrzu, tak, że Riki zataczał ogromne kręgi. Ale nie puszczał zdobyczy, czerwone oczy jego jaskrawiły się coraz bardziej, a zęby zaciskały się coraz to silniej. Olbrzymie cielsko okularnika smagało jak bicspodłogę, rozrzucając na wszystkie strony z hałasem różne przedmioty, naczynia blaszane, puszki do mydła i szczotki oraz bębniło donośnie po ścianach wanny.

Trzymając się kurczowo Naga, Riki pewny był, że zostanie rozbity na tysiąc kawałków, ale chciał umrzeć honorowo, z zębami wbitymi w kark nieprzyjaciela. Już uczuł zawrót głowy i myślał, że straci z bólu przytomność, gdy nagle tuż obok siebie usłyszał straszliwy huk, gorące tchnienie owionęło go, a sierść zatliła mu się na grzbiecie. To mężczyzna zbudzony hałasem porwał strzelbę i palnął do Naga z obu luf, mierząc poniżej kaptura.

Riki pewny był, że już umarł, nie otwierał tedy oczu, ale także nie zwalniał uścisku zębów. Ale po chwili zauważył, że łeb nie rusza się wcale, a za moment mężczyzna wziął go na ręce i powiedział:

— Droga Alicjo! I znowu ocala nas ten ichneumon. Tym razem my zawdzięczamy mu życie!

Pobladła ze strachu kobieta zbliżyła się i zaczęła oglądać zwłoki Naga, a zmordowany Riki powędrował do sypialni chłopca i aż do rana wstrząsał ostrożnie całym ciałem, by stwierdzić, że omylił się i nie jest, jak sądził, rozbity na tysiąc kawałków. Gdy dzień zaświtał, był wprawdzie jeszcze zmęczony, ale zarazem rad z dokonanego dzieła.

— Teraz — powiedział sobie — muszę załatwić się z Naginą, a jest to rzecz daleko trudniejsza niż walka z pięciu Nagami. Nie

zapomnijmy też o tych jajach… Trzeba co prędzej pomówić z Darcim.

Nie czekając tedy śniadania, udał się pod krzew ciernisty, gdzie siedząc na gałęzi, ptak-krawiec wyśpiewywał świeżo skomponowany hymn triumfalny na jego cześć. Wszyscy w ogrodzie wiedzieli już o skonie Naga, bo zwłoki jego ogrodnik wyrzucił na śmietnik.

— Głuptaku upierzony! — krzyknął gniewnie — Nie pora teraz śpiewać!

— Nag zginął! Nag nie żyje! — zawodził z zapałem Darci — Dzielny, potężny Riki wbił mu zęby w sam łeb i trzymał mocno! Potem przyszedł mężczyzna z piorunem w kiju i Nag rozpadł się na tysiąc kawałków! Nie będzie on już nigdy pożerał moich piskląt!

— To wszystko prawda, ale gdzie jest Nagina? — spytał Riki, rozglądając się bystro wokoło.

— Poszła Nagina pod rurę odpływową łazienki i wołała Naga! — nucił dalej Darci — A Nag wyszedł z rury, ale na kiju… tak, na kiju. Ogrodnik wziął go na kij i wyrzucił na śmietnik. O chwała ci, wielki, potężny, płomiennooki Riki… chwała ci!

I śpiewał dalej jak szalony, wydymając swą maleńką gardziel.

— Szkoda, że nie mogę dostać się do twego gniazda! — wrzasnął rozgniewany Riki — Nauczyłbym cię rozumu! Powyrzucałbym ci wszystkie pisklęta! Siedzisz sobie bezpiecznie na gałęzi i śpiewasz głupstwa, a mnie czeka walka jeszcze gorsza niż przedtem. Nie pora na śpiewanie, Darci! Przestań raz, powiadam ci, stul dziób!

— Przestanę! — zawołał Darci — Uczynię tę ofiarę dla ciebie, o wielki pogromco straszliwego Naga! O co ci idzie?

— Pytam ci się, dokąd poszła Nagina?

— Opłakuje śmierć męża na śmietniku poza stajnią… Tak jest, o wielki, białozęby Riki!

— Pal licho moje zęby! Czy wiesz, gdzie są jej jaja?

— Na grządkach melonowych, pod murem, gdzie słońce dopieka przez cały dzień. Tam je schowała przed kilku

tygodniami!

— Czemużeś mi o tym, głuptaku, wcześniej nie powiedział? Mówisz tedy, że są pod murem, na końcu ogrodu?

— Riki! — spytał Darci — Czyżbyś chciał zjeść te jaja?

— Nie ma mowy o zjadaniu we właściwym znaczeniu! — odparł. — Darci, jeśli masz odrobinę rozumu, to podleć ku stajni, udając, że masz skaleczone skrzydło i daj się gonić Naginie aż do tego krzaku. Koniecznie muszę zwiedzić te grządki melonowe, a gdy pójdę wprost, Nagina zobaczy mnie na pewno.

Darci był niezdolny do myślenia jak należy, sądził więc, że nie należy niweczyć jaj kobry, albowiem są to jaja zupełnie podobne do jego jaj, z których wylęgają się pisklęta. Ale żona jego wiedziała, że z jaj okularnika wylęgają się młode okularniki, sfrunęła przeto z gniazda, pozostawiając mężowi ogrzewanie piskląt i dalsze opiewanie zwycięstwa. Darci pod wielu względami podobny był do mężczyzn.

Darcina podleciała ku Naginie na śmietnik i zaczęła piszczeć żałośnie:

— Ach…. ach… moje skrzydło! Chłopiec wybiegł z bungalowu, cisnął kamieniem i przetrącił mi skrzydło!

Trzepotała się tuż nad ziemią, a Nagina podniosła łeb i syknęła:

— Ha… to ty ostrzegłaś tego draba, gdym go chciała napaść z tyłu. Dam ja ci! Zaprawdę złe sobie obrałaś miejsce na swe żale nad złamanym skrzydłem!

I ruszyła po piasku w ślad za polatującą nisko Darciną.

— Litości! Litości! To chłopiec tak mnie okrutnie skaleczył! — piszczała ptaszyna.

— Na pociechę przed śmiercią powiem ci, że i z chłopcem zrobię porządek. Nim noc zapadnie, będzie on leżał tak samo cicho na pościeli, jak mój biedny Nag tutaj leży. Nie masz co uciekać, dogonię cię i tak! Obróćże się i spójrz na mnie, głuptaku!

Darcina wiedziała, że ptak, spojrzawszy w oczy węża, drętwieje i ruszać się nie może. Podlatywała tedy dalej tuż nad głową Naginy i kwiliła coraz to żałośniej, a rozzłoszczona wdowa sunęła za nią.

Gdy Riki spostrzegł, że obie oddaliły się ścieżką, wiodącą w stronę domu, pobiegł co prędzej na koniec ogrodu, gdzie był mur i znalazł w ciepłej ziemi, sprytnie ukryte pod melonowymi liśćmi jaja nieco większe od kurzych, posiadające, miast skorupki, miękką skórę jasnej barwy. Było ich dwadzieścia pięć.

— Ostatni czas! — pomyślał Riki, widząc przez skórę, że małe zwinięte w kłębek kobry były niemal całkiem dojrzałe. Nie tajne mu było, że okularnik natychmiast po wylęgnięciu, zdolny jest zabić ukąszeniem zarówno ichneumona, jak i człowieka. Co prędzej tedy poodgryzał końce jaj, rozgniatając przy tym pazurami węże i pilnie bacząc, by żadnego jaja nie pozostawić w całości. Pracował niezmordowanie i zostały mu zaledwo trzy jaja, gdy nagle nadleciała z przeraźliwym wrzaskiem Darcina:

— Riki! Riki! Zaprowadziłam Naginę w stronę domu! Jest na werandzie! Chce mordować ludzi! Spiesz na ratunek… Spiesz na ratunek!

Riki rozdusił jeszcze dwa jaja, trzecie porwał w pysk i pobiegł przez melonowe grządki tak prędko, że nie dotykał nogami ziemi.

Na werandzie siedział Teddy z rodzicami przy śniadaniu, ale Riki spostrzegł zaraz, że żadne z nich nie jadło. Siedzieli nieruchomo, jakby skamieniali, a twarze ich były trupioblade. Na macie, tuż koło obnażonej nogi chłopca, leżała zwinięta w kłębek Nagina i chwiejąc w prawo i w lewo głową, nuciła triumfująco:

— Siedź spokojnie, synu człowieka, który zabił mego Naga! Siedź spokojnie, albowiem jeszcze nie jestem gotowa. Musicie zaczekać wszyscy troje chwilę jeszcze. Jeśli się który ruszy, ukąszę… jeśli się nie ruszycie, ukąszę także! Szaleństwo popełniliście, zabijając mego Naga!

Teddy patrzył w twarz ojca, który powtarzał pobladłymi ustami:

— Siedź spokojnie, chłopcze… Nie ruszaj się… nie ruszaj się, Teddy!

W takiej to chwili przybiegł Riki i zawołał:

— Spójrz na mnie, Nagino i gotuj się do boju!

— Mam czas… mam czas… — odparła, nie odwracając oczu — Zrobię ja porządek i z tobą także! Przypatrz się swoim przyjaciołom, Riki. Są nieruchomi i bladzi! Boją się. Nie śmią się ruszyć! I ty się nie ruszaj, bo natychmiast ukąszę chłopca!

— Obejrzyj lepiej swe jaja pod murem! — powiedział Riki — Idź i zobacz je!

Olbrzymi wąż uczynił pół obrotu i ujrzał jajo, leżące na stopniach werandy.

— Oddaj mi moje jajo! — wrzasnęła Nagina.

Ale Riki schwycił jajo w łapy i łyskając ognistymi oczyma, zawołał:

— Nie dam darmo jaja wężowego, jaja królewskiego kobry, ostatniego z rodu, najostatniejszego z całego rodu Naga! Tak… tak.. to ostatni potomek, bo braci jego pożerają w tej chwili mrówki!

Nagina, zapominając o zemście, zwróciła się ku jaju, a Riki zobaczył, jak ojciec wyciągnął muskularne ramię, chwycił chłopca za kołnierz i uniósłszy ponad małym stolikiem, przesadził w miejsce, gdzie go dosięgnąć nie mogła Nagina…

— Ha… ha… nie udało ci się… rikk… tikk… cz! — zawołał Riki wesoło — Chłopiec ocalony! A wiedz, o tym, że to ja porwałem za łeb Naga w łazience! Ha… ha… ha…

Wyskakiwał na wszystkie strony wszystkimi czterema łapami naraz.

— Ciskał mną straszliwie. Ale nie puściłem. Zdechł podle, zanim mężczyzna rozbił go piorunem na kawałki. To moje dzieło! Rikk… Tikk… cz! Dalejże, Nagino, bierz się do walki! Zaręczam, że skrócę twe wdowieństwo!

— Oddaj mi jajo, ostatnie jajo, a zaręczam ci, Riki, że wyniosę się z ogrodu i nie wrócę nigdy!

— O… pewny jestem, że niedługo będziesz popasała w ogrodzie! — odpowiedział Riki — Połączysz się wnet z Nagiem na śmietniku! Nagino, stawaj do walki i wiedz, że wielki mężczyzna poszedł po kij piorunowy!

Oczy jego rzucały snopy skier, skakał ciągle dookoła węża, bacząc jednak pilnie, by nie przekroczyć odległości, z której gad mógłby go dosięgnąć. Nagina rzuciła się nań jak strzała, ale poderwał się do góry i przeskoczył przez nią. Nastąpił rzut drugi i trzeci; ale za każdym razem łeb węża opadał na matę werandy. Nagina wiła się szaleńczymi skrętami niby żywa sprężyna, chcąc koniecznie mieć ciągle ichneumona przed oczyma, on przeciwnie usiłował spaść jej na grzbiet, by zadać ukąszenie. Rzucali się oboje jak opętani, a ogon węża młócił po macie, szeleszcząc jak pędzone wiatrem suche liście.

Riki zupełnie zapomniał o porzuconym na ziemi jaju, Nagina przeciwnie zbliżyła się doń nieznacznie, gdy zaś Riki zatrzymał się na moment, by odsapnąć, porwała je w paszczę, skoczyła ku wyjściu i śmignęła jak strzała ścieżką ogrodu ku swej jamie. W pędzie tym wyglądała jak bat polatujący ponad grzywą konia.

Riki wiedział, że winien ją dogonić, gdyż inaczej wszystko trzeba będzie zaczynać na nowo. Nagina pomykała prosto ku kępie traw pod ciernistym krzewem, a Riki, pędząc co sił, słyszał niedorzeczny hymn triumfalny, jaki ciągle śpiewał Darci.

Darcina, jako mądrzejsza, sfrunęła na dół i polatując nad głową pędzącej Naginy, starała się ją zatrzymać. Byłoby się to może powiodło, gdyby jej mąż dopomógł. Na widok ptaka Nagina stuliła tylko lepiej kaptur i pędziła dalej. Mimo to mała chwila wahania, pozwoliła ichneumonowi zyskać tyle, że mógł, w momencie, gdy Nagina wsuwała się do jamy, uczepić się jej ogona. W tę to jamę szczurzą, która była mieszkaniem Nagów, wciągnięty został Riki i, zaprawdę, czyn to był odwagi wielkiej. Nie każdy, nawet dorosły ichneumon odważyłby się iść za

jadowitym wężem aż do jego schroniska. Było tam całkiem ciemno i Riki nie mógł wiedzieć, czy przewód nory nie pozwala Naginie obrócić głowy. Wówczas byłoby już po nim. Nie zawahał się ani chwili i dał się wciągnąć, czyniąc tylko rodzaj hamulca z nóg przy spuszczaniu się po stromej pochyłości, przegrzanej słońcem ziemi.

Za chwilę przestała się poruszać trawa u otworu jamy, a Darci powiedział z westchnieniem:

— Przepadł! Należy mu się marsz pogrzebowy, był to bowiem wojownik nieustraszony. Poległ waleczny Riki! Nagina niewątpliwie ukąsi go w tym podziemiu.

Pod smutnym wrażeniem zaimprowizował natychmiast poważny marsz pogrzebowy, gdy jednak doszedł właśnie do najbardziej wzruszającego miejsca, zakołysała się trawa u wylotu jamy i z wolna zaczął się wygrzebywać z gliny zabłocony, spotniały Riki, a gdy wyszedł na wierzch, kichnął i oblizał sobie wąsy.

Darci pisnął przeraźliwie i zamilkł, a Riki otrząsnął się i powiedział:

— Koniec awantury! Wdowa nie ukaże się w ogrodzie.

Żyjące pośród wysokich źdźbeł trawy rude mrówki, posłyszawszy nowinę, co prędzej wlazły do jamy, jedna po drugiej, by się przekonać, czy jest prawdziwa, a Riki zwinął się w kłębek i zasnął w trawie.

Spał bardzo długo, do samego wieczora, a gdy się obudził, powiedział:

— Wracam do domu! Powiedz, Darci, Policjantowi, by ogłosił w ogrodzie, że Nagina nie żyje.

Policjant jest to niewielki ptak, którego głos przypomina uderzenia pałką w bęben lub dno miednicy. Słychać go w ogrodach Indii ciągle, bo ma sobie poduczony urząd obwieszczania różnych rzeczy i ważnych nowin, a funkcje swe pełni z gorliwością przykładną.

Riki był jeszcze na ścieżce, a już usłyszał głos Policjanta brzmiący też jak mały gong zwołujący na posiłek. Po chwili

dobiegło go wołanie:

— Diń, doń… diń, doń! Nag nie żyje już! Diń, doń… diń! Nagina również przestała żyć!

Cały ogród rozbrzmiał głosami ptaków, a nawet żaby zaczęły rechotać z radości, albowiem Nag i jego żona pożerali prócz piskląt, również ich potomstwo.

Riki został bardzo uroczyście powitany przez wszystkich w domu. Blada jeszcze po niedawnym zemdleniu matka omal nie rozpłakała się z rozrzewnienia, a objawom życzliwości nie było końca.

Riki jadł tego wieczora wszystko, co mu dano, dopóki starczyło w żołądku miejsca, potem zaś, siedząc na ramieniu chłopca, udał się z nim do sypialni. Zastali go tam oboje rodzice, przyszedłszy późno w nocy, by spojrzeć raz jeszcze na ocalonego syna, a matka powtórzyła:

— On to ocalił życie nam wszystkim! On tego dokazał, zaiste!

Posłyszawszy szmer, Riki zerwał się na równe nogi, albowiem ichneumony sypiają bardzo czujnie, a gdy poznał przybyłych, powiedział:

— A, to wy! Nie macie się czego bać! Wszystkie okularniki podusiłem, a gdyby nawet zjawił się jeszcze jakiś, to dam sobie z nim radę!

Miał prawo być dumny dzielny Riki. Ale nie przewróciło mu się z tego powodu w głowie. Pilnował ogrodu, jak przystało ichneumonowi, który zna swe obowiązki, a gotowość jego zębów i pazurów sprawiła, że okularniki omijały stale bungalow i ogród, nie śmiąc wtargnąć za otaczający je mur.

Tak śpiewał krawiec Darci

Oda ku czci dzielnego Riki

Żaden z ptaków, daję szyję,
Jak ja, gniazda nie uszyje.
Żaden także tak jak ja/ Nie wie, jak pieśń złożyć trza,
Mam więc aż zawody dwa!

Dziś opieję rzecz wspaniałą.
To, co się w ogrodzie stało.
Już nie żyje straszny Nag,
Co miał okularów znak,
A stało się oto tak:

Riki dzielny, Riki śmiały,
Riki, rycerz pełen chwały,
Co ma płomienisty wzrok,
Jeden tylko zrobił skok,
Nag zdechł, nim uczynił krok!

Riki, dzięki przyjm od ptaków
Wszelkich imion, wszelkich znaków,
Że nie żyje straszny gad,
Który nam pisklęta kradł,
A i żaby nawet jadł!

(W tym miejscu przerwał mu Riki, przeto reszta pieśni przepadła).

Tumai, przyjaciel słoni

Wolności chcemy użyć.
Co dawno gdzieś przepadła
Za marną garstkę jadła
Musimy ludziom służyć!

Nim błyśnie znów zaranie,
Potańczmy w bratnim kole,
Zabywszy swą niewolę,
Na leśnej, na polanie.

Czarny Wąż, zwany też Kala Nagiem, od czterdziestu siedmiu już lat pełnił rozliczne obowiązki w służbie rządu indyjskiego i nie było niemal rzeczy, do której nie byłby zdolny, ponieważ zaś w chwili schwytania liczył lat dwadzieścia, przeto dobiegał teraz siódmego krzyżyka. Jest to u słoni tak zwana „pełnia sił męskich".

Ongiś, w roku 1842, jeszcze przed wojną afgańską, gdy nie dosięgnął dojrzałego wieku, opatrzony przywiązaną do czoła grubą poduszką, popychał ugrzęzłe w głębokim błocie armaty. Matka jego, Radha Piari, czyli Ulubienica, powiedziała mu, gdy był jeszcze młokosem i nie zmienił zębów mlecznych, że najgorszą rzeczą dla słonia jest, gdy go ogarnia strach. Przekonał się wkrótce o słuszności tej maksymy, bo kiedy na łoskot pękającego granatu cofnął się raptownie, znajdujące się za nim szeregi piechoty pokłuły mu dotkliwie bagnetami pośladki.

Nauczka ta nie poszła w las, toteż zanim jeszcze ukończył dwudziesty piąty rok życia, zaliczano go do nieustraszonych słoni, rząd otoczył go troskliwą i czułą pieczą i stał się ulubieńcem wszystkich. Nosił teraz stosy namiotów ważące około dwudziestu centnarów i przemaszerował z nimi przez

całe górne Indie. Potem wsadzono go na okręt i po długiej podróży morskiej, gdzieś bardzo daleko od Indii, w górzystym kraju, musiał dźwigać na grzbiecie wielką armatę. W Magdali miał zaszczyt widzieć nieboszczyka cesarza Teodora, a w końcu wrócił tym samym okrętem, zasłużywszy, jak to ogólnie mówiono, w całej pełni na medal walecznych za wojnę abisyńską. W dziesięć lat potem w miejscowości Muszyd mnóstwo towarzyszy jego padło od mrozu, różnych chorób, głodu i udaru słonecznego, a Kala Nag został przewieziony daleko na południe do Mulmeinu, gdzie w wielkich warsztatach ciesielskich układał w stosy ogromne kloce drzewa. Tam to omal nie zabił młodego słonia, karcąc go za to, że wzbraniał się pełnić przypadającą nań pracę.

Później użyto go do dźwigania budulca, a ostatecznie wraz z dziesięciu innymi, wprawnymi już, powierzono mu funkcje pomocnicze przy chwytaniu dzikich słoni w górach Garo.

Rząd indyjski bardzo chętnie posługuje się słoniami, istnieje też osobny departament dla obław na te zwierzęta, który zajmuje się również ich oswajaniem, tresurą i wysyłką w różne strony państwa.

Kala Nag miał, licząc od samego tylko grzbietu, przeszło dziesięć stóp wysokości, a kły podcięto mu do połowy i, aby się nie kruszyły, zaopatrzono w miedziane kapsle, ale słoń władał onymi resztkami lepiej może niż niejeden dziki słoń swymi długimi, ostrymi kłami.

Obława trwała zazwyczaj całe tygodnie, zanim udało się kilkadziesiąt rozpierzchłych po górach słoni zapędzić do zagrody z olbrzymią bramą z grubych belek. Kiedy miano ją zamknąć, na dane hasło do piekła tego wkraczał Kala Nag, rzucał się na największego samca i póty go bił, kopał i dręczył, aż dzikus musiał ulec, a tymczasem ludzie, siedzący na innych słoniach, nakładali pęta na nogi słabszym. Działo się to zawsze w nocy, przy migotliwym świetle pochodni, aby słonie nie mogły zdać sobie sprawy z przestrzeni, wśród jakiej się znajdują.

Wszystkie arkana walki znał mądry Kala Nag, czyli Czarny Wąż. Nieraz bojował z rannym tygrysem, zadarłszy w górę trąbę, bardzo wrażliwą na uszkodzenie, przewracał go na ziemię właściwym sobie, okrężnym uderzeniem głowy w samej chwili skoku, a potem, ukląkłszy na nim, dusił go swym ciężarem, gdy zaś życie uleciało z rabusia, wlókł za ogon w triumfie bezkształtną, pręgowatą masę.

— Tak jest, prócz mnie, Czarny Wąż nikogo i niczego się nie boi! — zwykł był mawiać Gruby Tumai, syn Czarnego Tumaja, który odbył ze słoniem wyprawę abisyńską, a wnuk Tumaja, Przyjaciela Słoni, który był świadkiem schwytania go — Tak jest! — dodawał — Karmimy go i pielęgnujemy już od trzech pokoleń, a dożyje on jeszcze czwartego!

— I mnie się też boi Czarny Wąż! — twierdził mały Tumai, dziesięcioletni chłopiec w przepasce na biodrach, służącej mu za cały kostium, prostując się w całej swej półtorałokciowej okazałości. Chłopiec ten, stosownie do rodowej tradycji, miał, gdy dorośnie, zająć na grzbiecie Kala Naga miejsce swego ojca i wziąć w rękę wypolerowany dłońmi dziada i pradziada ankus, ciężki, żelazny hak, służący do kierowania słoniami.

Chłopiec wiedział, co mówi. Urodził się w cieniu Czarnego Węża, bawił się końcem jego trąby, a gdy nauczył się chodzić, prowadził olbrzyma do boju i nigdy by nie przyszło do głowy Kala Nagowi opierać się rozkazom, wydawanym cieniutkim, dziecięcym głosikiem. Wiedział, co znaczy mały Tumai od dnia jego urodzin, kiedy to gruby Tumai podniósł maleńką, brunatną istotkę do oczu słonia, rozkazując mu pozdrowić niemowlę jako swego pana.

— Tak twierdził mały Tumai — On mnie się boi! — Na dowód tego szedł do Kala Naga, wymyślał mu od opasłych wieprzów i kazał raz po raz podnosić na przemian nogi.

— Waa! — chwalił go czasem — Jesteś wcale dzielne słonisko! — A potem, potrząsając kudłatą głowiną, opowiadał mu, powtarzając za ojcem, różności: — Widzisz, staruchu! Chociaż rząd za grube pieniądze kupuje słonie, są one własnością nas,

mahutów. Gdy będziesz już stary, Czarny Wężu, zjawi się tu jakiś wielki radża i, widząc jak jesteś wielki i roztropny, odkupi cię. Wtenczas przestaniesz pracować, a tylko ubrany w złote kolczyki, ze złocistym palankinem na grzbiecie i w szkarłatnym, tkanym złotem czapraku będziesz kroczył na czele orszaku królewskiego. Ja wówczas będę siedział na twym karku ze srebrnym ankusem w ręku, a laufrzy z błyszczącymi halabardami biec będą przed nami, wołając: Z drogi przed pierwszym słoniem Jego Królewskiej Mości! To będzie wielka przyjemność, Kala Nagu, ale zawsze nie to, co polowanie wśród dżungli… prawda?

— Gadasz głupstwa! — oburzał się zazwyczaj Gruby Tumai — Jesteś mądry, jak bawolątko miesięczne. Czyż uważasz za coś przyjemnego uganianie się po górach z rozkazu rządu? Stary jestem i nie cierpię obław! Wolę stokroć patrzeć na długie szeregi stajen murowanych, z przegrodami na każdego słonia osobno, z porządnymi słupami do przywiązywania ich, z szerokimi, ubitymi placami do tresowania. Koszary w Canporze… w to mi graj! Jest człowiek w samym niemal środku miasta i ma zaledwo trzy godziny zajęcia dziennie!

Mały Tumai widział koszary w Canporze, ale nie lubił płaskich, szerokich ulic, nudnego wydawania paszy z magazynów i długich godzin bezczynności, kiedy to przywiązany do pala Kala Nag, kołysał się jednostajnie w miejscu w prawo i lewo.

Bez porównania lepiej odpowiadało mu wdzieranie się na stronie, słoniom tylko dostępne, ścieżyny i szalony pęd z góry na dół, podglądanie stad dzikich słoni, pasących się w oddali, zrywanie się spod samych nóg Kala Naga dzików lub pawi, nawalne, ciepłe ulewy, po których kłęby pary unoszą się z wszystkich gór i dolin lub ponętne marsze, rozpoczynane o mglistym poranku, kiedy to nie wie się, gdzie wypadnie nocować.

Chłopiec przepadał za wytrwałym, a ostrożnym tropieniem dzikich słoni i rozkoszował się ich szalonym pędem wśród

strzałów i wrzasków ku rozwartym drzwiom zagrody otoczonej palisadą. Zwierzęta wpadają jak lawina do środka, a spostrzegłszy, że nie ma wyjścia, miotają się jak opętane, rzucając się na pale, od których odstraszają je łyskające pochodnie i ślepe strzały.

Jest to chwila nader ważna, a nawet mały chłopiec przydać się na coś może. Tumai porywał pochodnię, machał nią, wrzeszczał i pracował za czterech.

Najprzyjemniejszym dlań momentem było kiełznanie złapanych słoni, kiedy to zagroda, czyli *kedda*, wyglądała jak w dniu końca świata, a ogłuszeni straszliwym wrzaskiem ludzie porozumiewali się na migi. Wówczas sadowił się na szczycie pala chwiejącego się od ciągłych uderzeń w palisadę i tam w świetle pochodni, z rozwianą, płową czupryną wyglądał jak młody szatanek. Kiedy hałas przycichał, rzucał pracującemu w pocie czoła Kala Nagowi słowa zachęty, tonące za moment w huku strzałów, świście powrozów i trzeszczeniu ścian.

— *Mail, mail Kala Nag!* (Prędzej, ruszaj się, Czarny Wężu. *Dant do!* (Kolnijno go, a dobrze!) *Somalo! Somalo!* (Powoli!) *Maro! Mar!* (Daj mu po łbie!) Przyciśnij go do ściany! *Arre! Arre! Hai! Jaj! Kiaaa!*

Wykrzykiwał tak, gdy tymczasem przyjaciel jego uganiał się po całej *kedda* za opornym dzikusem, a starzy, doświadczeni łowcy spoglądali z życzliwym uśmiechem na tkwiącego u szczytu słupa malca.

Ale nie poprzestawał na tym. Pewnego razu skoczył do środka, prześliznął się pomiędzy słoniami i pochwyciwszy koniec sznura, podał go poganiaczowi, który silił się daremnie na spętanie młodego słonia. Wiadomo, że z młodymi słoniami jest zawsze więcej niż ze starymi zachodu. Spostrzegł go Kala Nag i objąwszy trąbą, podał Grubemu Tumajowi, który, wymierzywszy synowi kilka porządnych klapsów, posadził go z powrotem na palisadzie.

Na drugi dzień zgromił go:

— Cóż to znowu? Widzę, że nie dość ci porządnych, murowanych stajen i nie wystarcza przyzwoita służba! Zachciewa ci się łowić słonie, smarkaczu? Wiedz o tym, że ci śmierdzący naganiacze, byle jak płaceni, rozgadali już wszystko i sprawa doszła do samego Sahiba Petersena.

Mały Tumai zadrżał od stóp do głowy. Niewiele wiedział o białych ludziach, ale w oczach jego Sahib Petersen był to największy mocarz pośród ludzi białych. Był on zwierzchnikiem całej *kedda*, dostawiał słonie rządowi i znał wybornie obyczaje tych zwierząt.

— I cóż teraz będzie…? — spytał malec.

— Nic dobrego, zaręczam ci! Sahib Petersen, który ugania się za tymi wściekłymi sloniami, to istny wariat. Może tedy zażądać, byś został łowcą słoni, sypiał byle gdzie, pośród trzęsawisk i bagien w dżungli i by cię na koniec zadeptały słonie w *kedda*. Dzięki Bogu, szaleństwo to kończy się. W przyszłym tygodniu nie będzie już obławy i nas, przyzwoitych mieszkańców równiny, odeślą do właściwej roboty. Wówczas wypoczniemy i zapomnimy o całym głupim polowaniu. Wściekły jestem na ciebie, żeś się wdał w to, co jest rzeczą Assamesów, głupich ludzi z dżungli. Niestety, muszę wchodzić do *kedda*, bo Kala Nag mnie jednego słucha, ale to nie jest słoń do pętania dzikusów przeznaczony, to słoń wojskowy, rozumiesz? Toteż siedzę sobie spokojnie na nim, jak na *mahuta* przystało, na *mahuta*, który po wysłużeniu swych lat dostaje emeryturę… rozumiesz? Ród Tumajów za dobry jest na to, by go poniewierać po błocie *kedda*! Niegodziwy, wyrodny synu! Ruszaj mi zaraz myć Kala Naga! A uważaj, bo ma skaleczone ucho! I pamiętaj powyciągać mu ciernie ze stóp! Inaczej Sahib Petersen zrobi z ciebie naganiacza słoni, tropiciela dzikich zwierząt w dżungli… Marsz! Wstydź się, smarkaczu obrzydły!

Malec odszedł w milczeniu, ale, wyciągając ciernie ze stóp Kala Naga, użalił się przed nim swej krzywdy.

— Ot… niech będzie, co chce! — zawyrokował w końcu, opatrując prawe ucho olbrzyma — Doniesiono Sahibowi Petersenowi… tym lepiej! Może on… może on właśnie… Aj! Siedzi tu ogromny cierń muszę go zaraz wyciągnąć!

Przez kilka dni następnych oprowadzano świeżo złapane słonie, wprzęgłszy je pomiędzy oswojone, a to w tym celu, by je po trochu przyzwyczaić i zapobiec wybrykom podczas marszu ku nizinom. Poza tym kompletowano zapasy sznurów, namiotów i derek zniszczonych, lub pogubionych w dżungli podczas obławy.

Sahib Petersen, skończywszy wypłaty po różnych obozowiskach, rozsianych wśród gór, przyjechał na swej roztropnej Pudmini i, ponieważ obława się skończyła, wypłacano należytości kornakom, a dokonywał tego Hindus kasjer, siedzący pod drzewem. Kornacy, otrzymawszy, co im się należało, stawali w szeregu ustawionym do drogi, każdy przy swoim słoniu.

Myśliwi, naganiacze i przewodnicy, stanowiący zwykły personel *keddy*, żyjący przez całe lato w dżungli, siedzieli na słoniach, należących do świty Sahiba Petersena, niektórzy z nich stali pod drzewami, oparłszy strzelby o pnie i drwili z kornaków, wybierających się w drogę. Śmiechy rozgłośne słychać było wówczas zwłaszcza, kiedy któryś ze schwytanych dopiero co słoni zrywał się do ucieczki i psuł porządek swymi skokami.

Gruby Tumai zbliżył się również do kasjera po zapłatę, wiodąc za rękę syna, a naczelnik tropicieli, Maszua Appa, rzekł półgłosem, zwracając się do sąsiada:

— Szkoda, że ten malec wymknie nam się z rąk, byłby zeń łowca pierwszorzędny, a zmarnuje się na nizinach.

Człowiek, jak Sahib Petersen, mający tyle do czynienia z dzikimi słońmi, istotami niemymi, musi mieć słuch nader bystry. Zwrócił się tedy ku rozmawiającym i spytał z wysokości grzbietu swej Pudmini:

— Co też mówicie? Nie znam kornaka z nizin, który by był zdolny spętać zdechłego nawet słonia!

— To nie kornak — odrzekł Maszua Appa, wskazując palcem na małego Tumaja — to mały chłopiec, który wszedł do *keddy* i podał powróz temu oto poganiaczowi, gdyśmy chcieli odłączyć od matki tamtego małego słonia ze znamieniem na łopatce.

Sahib spojrzał na chłopca, a Tumai pokłonił mu się nisko.

— To on podał powróz? Ten skrzat? Jak się nazywasz, chłopcze? — spytał Sahib.

Tumai zmieszał się, słowa uwięzły mu w gardle. Wiedząc, że za nim stoi Kala Nag, uczynił gest, a słoń objął go trąbą i podniósł na wysokość oczu Petersena. Gdy się tam znalazł, zawstydził się bardzo, bo o ile nie dotyczyło to słoni, płochliwy był i nieśmiały jak każde dziecko.

— A to ładna sztuczka! — powiedział Sahib, uśmiechając się życzliwie — Pewny jestem, że wyuczyłeś jej swego słonia po to, by móc kraść z dachów rozłożoną do suszenia kukurydzę!

— O, nie, dobroczyńco biedaków! — zawołał mały Tumai bez namysłu — Nie szło mi o kukurydzę, ale o melony!

Wszyscy wokoło wybuchnęli śmiechem. Niemal każdy z nich w młodości uczył swego słonia tej samej sztuki. Mały Tumai, zawieszony kilka stóp nad ziemią, rad by był znajdować się równie głęboko pod nią.

— To jest Tumai, mój syn, Sahibie! — powiedział poważnie Gruby Tumai — Urwis ten skończy zapewne w kryminale!

— Nie zdaje mi się! — odparł Petersen — Odważny malec, który ośmiela się skoczyć do pełnej *keddy*, może wyrosnąć na dzielnego człowieka. Masz tu, dziecko, cztery *anny* na cukierki za to, żeś taki dziarski. Z czasem może być z ciebie wielki myśliwy!

Gruby Tumai sposępniał, słysząc to.

— Ale pamiętaj sobie! — dodał Sahib Petersen — pełna *kedda*, to nie jest miejsce odpowiednie dla dzieci!

— Więc już nigdy nie będę mógł skoczyć z palisady do środka? — spytał z żalem malec.

— Owszem! — powiedział, uśmiechając się, Sahib — Gdy zobaczysz, jak tańczą słonie, przyjdź prędko do mnie, a dam ci pozwolenie spacerowania po wszystkich *keddach* w górach Garo.

Rozbrzmiały głośne śmiechy, bo powszechny pośród łowcami żart ten oznacza tyle, co słowo: nigdy. Znajdują się wprawdzie w głębi dżungli obszerne, wydeptane polany, zwane salami balowymi słoni, ale natrafić na nie trudno, a już nikt chyba nie widział nigdy ich tańca. Toteż kiedy pyszałek jakiś opowiada niestworzone rzeczy, zadają mu pytanie:

— A widziałeś taniec słoni?

Kala Nag postawił chłopca na ziemi, a malec, złożywszy ponownie głęboki ukłon, pobiegł do matki, karmiącej młodszego syna i oddał jej otrzymaną monetę srebrną. Za chwilę cała rodzina siedziała już na grzbiecie Kala Naga, który kroczył w szeregu wierzgających, kwiczących i trąbiących zwierząt w stronę nizin. Pochód ten był pełen przygód i niepokojów, bo schwytane słonie ciągle wywoływały trudności.

Gruby Tumai szorstko dziś obchodził się z Kala Nagiem, bo był zły, natomiast malec nie posiadał się z radości. Wszakże zwrócił nań uwagę sam Sahib Petersen i obdarował go, a to znaczyło tyle, co dla żołnierza pochwała wodza przed frontem wojsk.

— Co to znaczy taniec słoni? — spytał po cichu matki.

— To znaczy, że nigdy nie będziesz poganiaczem i łowcą, rozumiesz? — burknął ojciec i zaraz zaczął łajać kogoś na przedzie — Dlaczego stoicie bałwany jedne? Co to znowu?

Assamczyk, jadący tuż przed nim, obrócił się i zawołał:

— Przyprowadź Czarnego Węża, by nauczył rozumu tego młodzika! Dziwię się Sahibowi, że wysłał mnie razem z wami, bykami krasymi z równin, pożeraczami ryżu! Dalejże, Tumai! Niech twój słoń nie żałuje kłów. Powściekały się dziś te bestie, albo zwietrzyły dzikie słonie na górach, rady sobie dać niepodobna!

Gdy Kala Nag wygrzmocił należycie poprzednika, tak, że mu zabrakło tchu, odrzekł Tumai:

— Nie ma prawie dzikich słoni, boście je wyłowili! Wina jest wasza, albowiem nie znacie się na prowadzeniu! Nie wiem, dlaczego to ja sam mam utrzymywać porządek w całym pochodzie?

— Wcale nie wyłowiliśmy wszystkich słoni — ozwał się z tyłu głos jakiś — tylko ciasne wasze pałki pojąć nie mogą tego, że słonie wiedzą dobrze o skończeniu obławy. Otóż dziś w nocy będzie… Ale kto by tam uczył osła czytać… szkoda słów dla was, żaby z równin!

— Co będzie dziś w nocy? — spytał mały Tumai.

— Jesteś tu, malcze? — zawołał Assamczyk — To dobrze! Tobie powiem, boś pokazał, co znaczy odwaga. Otóż dziś w nocy będzie bal słoni, a ojciec twój uczyni dobrze, jeśli założy podwójne łańcuchy.

— Co ty pleciesz? — ozwał się Gruby Tumai — Od trzech pokoleń z ojca na syna służymy przy słoniach, a nigdy nie słyszał żaden z nas, by tańczyły. Są to smalone duby i nic więcej!

— Oczywiście, wszystko wydaje się głupstwem mieszkańcowi równin, który nie zna niczego prócz wnętrza chaty swojej. Spróbuj tedy nie spętać tej nocy słoni, a przekonasz się, że mówię prawdę. Powiadam ci, sam na własne oczy widziałem obszerne miejsce w dżungli, gdzie tańczyć mają podobno słonie… Cóż u licha! — zaklął w tejże chwili — Ileż zakrętów ma ta przeklęta rzeka Dihang! Trzeba znowu iść brodem i zmuszać słonięta do pływania!

Na takich poswarkach i połajankach mijał im czas. Szli długo, wspinając się na wzgórza i brnąc przez rzeki, i dotarli wreszcie, wyczerpawszy od dawna cierpliwość, do prymitywnego bardzo obozowiska, przeznaczonego dla świeżo schwytanych zwierząt.

Tutaj poprzywiązywano je do pali, ciągnących się nieprzerwanymi szeregami, zaciągnięto łańcuchy łącznikowe, obejmujące tylne nogi i zgromadzono przed słoniami całe góry

paszy. Potem kornacy-górale pod wieczór ruszyli z powrotem do Sahiba Petersena, nie zaniedbawszy zalecić ludziom z równin pilnego baczenia, podczas tej nocy. Gdy ich wypytywano o powód, śmiali się i dawali wykrętne odpowiedzi.

Mały Tumai przypilnował, by Kala Nag miał dostatek jedzenia, a potem, gdy wieczór zapadł, czując się nad wyraz szczęśliwy, zaczął wałęsać się po obozie. Pragnął koniecznie zdobyć tamburyn i zdawało mu się, że chyba umrze, jeśli nie dopnie swego. Mały Hindus, czując rozpierającą go radość, nie biega i nie krzyczy, ale siada na ziemię i zatapia się w sobie. A miał o czym marzyć dzisiaj mały Tumai, wszakże rozmawiał z samym Sahibem Petersenem!

Kramarz obozowy pożyczył mu małego tamburyna. Jest to płaski bębenek, w który uderza się dłonią. Gdy gwiazdy zabłysły, Tumai usiadł tuż przed Kala Nagiem, położył tamburyn na kolanach i bębnił długo i bez przerwy, a im dłużej rozmyślał nad zaszczytem jakiego doznał, tym mocniej uderzał w tamburyn. Przesiedział tak parę godzin na kupce paszy, a chociaż, w muzyce tej nie było słów, ani melodii, sprawiała, mu rozkosz niewysłowioną.

Schwytane słonie szarpały powrozy, stękały i trąbiły od czasu do czasu, a z namiotu dolatywała piosenka matki, usypiającej młodszego brata. Było to bardzo stara śpiewka o wielkim bogu Sziwie, który ongiś przeznaczył każdemu ze stworzeń, co ma jeść. Początek tej prastarej pieśni brzmi mniej więcej tak:

Sziwa, ten, który ziarnem ponapełniał kłosy,
Ten, co wiatrami włada, ziemią i niebiosy,
Każdemu dał stworzeniu rozkazy łaskawe,
Co ma jeść, więc jedne mięso mają, inne trawę.

Każde go słuchać musi, od muszki do króla,
Bo włada szczęściem wszystkich, nędzą się rozczula.
Sziwa jest światem, a świat Sziwą!
Mahadeo! Mahadeo!
Wielbłądom osty, wołom zaś paszę dał Sziwa,
A karmiąc swe dziecię, matka czuje się szczęśliwa.

Piosence tej towarzyszył mały Tumai żwawym bębnieniem, zwłaszcza przy końcu każdego wiersza (gdzie, bez względu na związek, zwykło się czynić pauzę przy śpiewie). Po pewnym czasie chłopiec uczuł znużenie i legł u stóp Kala Naga na sianie i zasnął.

Niebawem i słonie zaczęty kłaść się jeden za drugim, jak to zwykły czynić zawsze, a jeden tylko Czarny Wąż stał ciągle na samym końcu rzędu, chwiejąc się powoli, rytmicznie z jednej nogi na drugą. Kołysał się ciągle, a nastawiwszy uszu, chwytał ciche pogłosy nocnego życia puszczy.

Dochodziły stamtąd przedziwne szmery, a były tak zharmonizowane, iż tworzyły razem ów hymn zwany ciszą. Chrzęściły bambusy, przewijały się w gęstwie niewidzialne stworzenia, trzepotały skrzydłami budzące się nocą ptaki (budzą się one częściej, niż sądzą ludzie) i huczały dalekie wodospady.

Mały Tumai przebudził się pod promieniami księżyca wysoko stojącego na niebie, bo nie zasłaniał go teraz olbrzymi wygięty grzbiet słonia. Przeciągnął się na trzeszczącej pościeli i spojrzał. Kala Nag stał ciągle z nastawionymi wachlarzami wielkich uszu i czekał na coś. Nagle przycichło wszystko, jakby świat zaparł oddech, a w dali niezmiernej, niby ukłucie szpilki w oponę nocy, niedosłyszalne niemal, rozległo się zawołanie słonia.

Wszystkie zwierzęta zerwały się natychmiast na nogi, jakby zahuczał strzał karabinowy, a przebudzeni nagle *mahutowie* wzięli się niezwłocznie do wbijania pali za pomocą wielkich, drewnianych młotów, obawiali się bowiem, że słonie mogą je wyrwać z ziemi. Potem umacniali powrozy, zaciskali węzły, a po dłuższym dopiero czasie wrócił spokój.

Jedno ze schwytanych zwierząt wyrwało niemal całkiem pal, przeto Gruby Tumai użył do skrępowania go łańcucha, zdjętego z nogi Kala Naga, zaś jemu założył na kostkę powrósło skręcone z sitowia. Nim odszedł, przykazał Kala Nagowi, by pamiętał, że

jest mocno przywiązany, ale mądry słoń tym razem nie odpowiedział zwykłym chrząkaniem, jak to czynił już setki razy w podobnych okolicznościach. Stał cicho, podniósłszy głowę i nastawiwszy uszy, wpatrywał się uważnie w zalane poświatą księżycową roztocze gór Garo.

— Uważaj tej nocy na niego, bo jest jakiś niespokojny! — powiedział jeszcze Gruby Tumai, wrócił do namiotu i legł spać.

Chłopiec miał właśnie zasnąć, gdy zbudził go trzask kruszącego się powrósła. Spojrzał i zobaczył, że Kala Nag oddala się szybko i cicho od pala, niby czarna chmura, sunąca nisko nad ziemią. Zerwał się, pobiegł za nim szybko i zaczął prosić z cicha:

— Zabierz mnie ze sobą, Kala Nagu… zabierz mnie!

Odwrócił się bez szelestu, postąpił krok ku chłopcu, objął trąbą, wsadził sobie na grzbiet i zanim jeszcze malec mógł się usadowić jak należy, zagłębił się w las.

W tej chwili doleciało od obozowiska gwałtowne trąbienie wszystkich słoni, ale Kala Nag, dążąc szybko naprzód, zostawił rychło poza sobą cały ten hałas. Słoń biegł rączo, rozpierając bokami wysoką trawę, niby okręt fale morza. Czasem musnęły go po grzbiecie gałęzie drzewa, czasem przewalił się po nim huragan śmigających, rozkołysanych bambusów. Prócz tego nic nie przerywało ciszy, a słoń wydawał się widziadłem, sunącym ku widmowym również górom Garo. Chociaż droga biegła prosto pod górę i, mimo że Tumai dostrzegał gwiazdy poprzez korony drzew, nie mógł w żaden sposób zdać sobie sprawy, gdzie się znajduje.

Kala Nag wydostał się wreszcie na wyniosłą przełęcz, a Tumai ujrzał pod sobą niezmierzoną płaszczyznę lasów. Ciągnęły się wokół, jak wzrokiem sięgnąć można było, a gdy się chłopiec wychylił, dostrzegł opodal pasmo gęstej mgły, sunące ponad łożyskiem niewidzialnej rzeki. Lasy owe żyły, wszędzie czuł Tumai owe tętna mnóstwa poruszających się istot. Wielki owocożerca nietoperz musnął go po twarzy skrzydłami,

chrzęściły w gęstwie kolce jeżatki, a pośród pni rył ciepłą próchnicę odyniec, wietrząc i szukając trufli.

Kala Nag zaczął schodzić w dół po stromym upłazie, a gałęzie drzew zawarły się nad głową jeźdźca. Słoń biegł teraz szybko, walił w dół, niby toczące się z lawety działo, nogi jego dudniły z regularnością kół pociągu, a skóra chrzęściła we wszystkich fałdach.

Biegł, rozdzierając zarośla niby cienkie płótno, a młode pędy, odpychane, wracały, chłostając go po bokach. Czasem gałęzie i liany czepiały się jego kłów, zatrzymywały na chwilę, ale Kala Nag potrząsał mocno głową i torował sobie drogę. Mały Tumai przywarł teraz płasko do jego grzbietu, gdyż co chwila gałąź mogła go zmieść na ziemię. Była to sytuacja bardzo niemiła i żałował teraz mocno, że nie został w domu.

Grunt stawał się coraz to bardziej miękki, nogi słonia grzęzły w mule, a chłód dotkliwy przeniknął ciało malca. Po chwili posłyszał chlupot i dostrzegł bryzgi wody. Kala Nag przebywał rzekę w bród, posuwając się powoli, ostrożnie i próbując gruntu. Woda rozbijała się o nogi słonia, a pośród tego szmeru chłopiec pochwycił uchem inne jeszcze podobne odgłosy. Od gór dolatywało wyraźnie trąbienie, ryki i groźne chrapanie, a pośród mgły na rzece zamajaczyły cienie.

— Oo… — powiedział do siebie Tumai, poszczękując zębami — Lud słoni zbiera się tej nocy. Będzie zatem taniec!

Kala Nag wydostał się z wody, czyniąc dużo hałasu i świsnąwszy trąbą, by oczyścić jej przewód, zaczął kroczyć pod górę. Ale nie był już sam i nie potrzebował torować sobie drogi. Rzecz ta była już dokonana i poprzez usiłujące powstać trawy wił się szeroki gościniec, jakby dopiero co przeszło tędy paręset słoni.

Tumai rzucił za siebie spojrzenie i zobaczył olbrzymiego, dzikiego samca z groźnymi kłami i maleńkimi oczkami wieprza, połyskującymi jaskrawo. Przez moment patrzył, jak z trudem wydobywa się z grząskiego grantu, potem zawarły się gałęzie i

dążyli znowu w górę pośród łoskotu łamanych konarów, ryku, trąbienia i świstu.

Kala Nag zatrzymał się wreszcie na szczycie góry pomiędzy dwoma drzewami. Takie same drzewa okalały wielką, nieregularną polanę kilkunastu morgów powierzchni, a cała ta przestrzeń pozbawiona była roślinności i twardo ubita jak podłoga. Pośrodku niej sterczało kilka uschłych, obnażonych z kory drzew, połyskujących w świetle białym, gładkim drewnem. Z górnych konarów zwieszały się liany i kielichy ich kwiatów jaśniały woskowo, sennie, ale poza tym, aż do muru lasu nie rosło nic, a wszędzie widniała owa płaska, twarda podłoga.

Kolor miała stalowosiny, a czerniły się na niej kontury kilkunastu słoni, jakby plamy z atramentu. Tumai patrzył z przerażeniem na wysuwające się nieprzerwanie z gąszczu postacie przybywających słoni i liczył, ile ich jest. Co prawda umiał liczyć tylko do dziesięciu, ale znaczył na palcach dziesiątki, niedługo jednak zabrakło mu palców i uczuł zawrót głowy. A spoza polany ciągle jeszcze dolatywał trzask gałęzi, łamanych przez torujące sobie drogę zwierzęta. Te, które stanęły na polanie, zachowywały się cicho i poruszały bezgłośnie jak widma.

Były tu samce dzikie, z białymi kłami i mnóstwem liści, gałązek, i szyszek w każdej fałdzie skóry i za uszami, były też opasłe, ciężkie samice z warchlakami o różowawej skórze, niedosięgającymi im do kolan i plączącymi się pod nogami matek. Tumai widział również młodziaki z małymi kłami, niezmiernie dumne z tej oznaki dojrzałości, dalej suche, kościste staruszki z twarzami okrytymi głębokimi zmarszczkami i trąbami przypominającymi suche konary drzew, a wreszcie stare buhaje, noszące na bokach i grzbietach głębokie, długie szramy, pamiątki dawnych, zaciętych bojów. Ciało ich oblepione było zeschłym błotem, pozostałem po kąpielach w bagniskach dżungli, a pośród nich widniał kolos ze

złamanym kłem i wielką blizną na czole, będącą śladem pazurów tygrysa.

Łeb przy łbie stały słonie zwartym kołem wokół polany, niektóre spacerowały po niej parami, inne wreszcie chwiały się w miejscu. Tumai wiedział, że jest całkiem bezpieczny, póki będzie spokojnie leżał na grzbiecie Kala Naga, gdyż dziki słoń, nawet podczas straszliwych scen w *keddach* nie podniesie nigdy trąby, by zrzucić na ziemię człowieka, siedzącego na grzbiecie słonia oswojonego. Tym więcej nie groziło mu nic tej nocy, że słonie zupełnie zapomniały o ludziach. Raz tylko nastawiły uszu, posłyszawszy w lesie brzęk łańcucha, ale okazało się, że była to Pudmini, ulubienica Sahiba Petersena, przybyła ze szczątkami pęt u nogi. Szła wprost z głównego obozu, wyrwawszy pal i strzaskawszy go o jakąś skałę, a obok niej zauważył Tumai jakiegoś innego nieznanego słonia ze świeżymi śladami otarć od powrozów na piersiach i plecach, który widać wyrwał się również z któregoś obozowiska w górach. Kiedy nareszcie w lesie zapanowała cisza i gałęzie przestały trzeszczeć, Kala Nag ruszył naprzód, pochrząkując i chrapiąc, w sam środek tłumu, a inne słonie, uczyniwszy to samo, zaczęły pochrząkiwać i rozmawiać we własnym języku.

Z wysokości grzbietu Kala Naga, chłopiec widział mnóstwo rozrosłych barków, kiwających się uszu, wijących się trąb i połyskujących oczu. Słyszał również szczęk potrącających się przypadkiem kłów, tarcie się skór w ścisku i świst ogonów poruszających się szybko. Po pewnym czasie, księżyc ukrył się za chmurą i nastał mrok, ale owo regularne potrącanie, tarcie, chrząkanie i posuwanie się to w tył to naprzód nie ustawało ani na chwilę. Tumai wiedział, że Kala Nag otoczony jest wokół tłumem słoni i że żadna siła nie skłoni go do rozstania się z nimi, przeto zacisnął z desperacją zęby i leżał dalej spokojnie. Było mu gorzej i straszniej jeszcze niż w *kedda*, bo tam błyskały pochodnie i czuło się ludzkie istoty w pobliżu, tu zaś czuł się zupełnie osamotniony i słaby, toteż drgnął ze strachu, gdy raz jakaś trąba dotknęła przypadkiem jego kolana.

Nagle któryś ze słoni zatrąbił donośnie, a wszystkie inne zawtórowały chórem i przeraźliwe owe wrzaski trwały przez dobre pięć czy dziesięć sekund. Były tak potężne, że rosa spadła z liści i rozpryskiwała się na grzbietach zwierząt, a równocześnie wszczęło się jakieś dudnienie, zrazu ciche i zgoła dla Tumaja niezrozumiałe. Rosło ono i potężniało z każdą chwilą, a w tej chwili zaczął Kala Nag także podnosić na przemian przednie nogi i tłuc nimi w ziemię miarowo, jakby olbrzymimi stęporami.

Wszystkie słonie biły teraz nogami, a odgłos ten przypominał nieustanny grzmot, czy warkot bębnów, dobywający się z podziemnej pieczary.

Rosa opadała wciąż, aż jej zabrakło, a dudnienie trwało dalej i stało się tak potężne, że ziemia drżała. Tumai zatkał sobie palcami uszy, ale to nic nie pomogło, bo ciałem jego wstrząsało owo dudnienie okropne i nieustanne. Był w rozpaczy i zdawało mu się, że spadnie na ziemię. Nagle wydało mu się, że Kala Nag cofnął się o kilka kroków, to znów, że postąpił naprzód. Tupanie zmieniło się w chrzęst miażdżonych roślin, ale po chwili znowu przeszło w dudnienie o twardy grunt.

W pobliżu gdzieś skrzypnęło drzewo. Chłopiec wyciągnął rękę i namacał korę, ale Kala Nag poruszył się, tupiąc ciągle i Tumai znów stracił orientację tak, że nie wiedział, czy posuwa się w tył, w bok, czy naprzód. Słonie milczały teraz, raz tylko rozległ się równoczesny kwik dwu młodych słoniątek i w dalszym ciągu trwało to tępe, głuche tupanie. Trwało to około dwu godzin i biedny chłopak czuł ból w każdym członku, gdy nagle poznał z woni powietrza, że zbliża się świt.

Na niebie zabłysła żółta smuga, widna ponad szarozielonym grzbietem gór, a z pierwszym jej pojawieniem się tupanie ustało, jak gdyby świt był sygnałem zakończenia tanów. Zaledwie zdążył zebrać myśli i usiąść na grzbiecie, znikły słonie i Tumai zobaczył, że na polanie znajduje się tylko Kala Nag, Pudmini i ów nieznany słoń ze świeżymi pręgami od powrozów

na piersiach i grzbiecie. Olbrzymy znikły cicho jak widma i niepodobna było zauważyć, w jakim odeszły kierunku.

Tumai rozejrzał się bystro. Wydało mu się, że polana była teraz większa niż z początku nocy. Pośrodku sterczało więcej drzew, a krzaki i trawa cofnięte zostały znacznie wstecz. Tumai zrozumiał teraz dopiero owo dudnienie. Słonie wydeptały szeroką przestrzeń, soczyste rośliny i trawa zmielone zostały na miazgę, ta miazga zmieniła się w błoto, a błoto stało się suchą, twardą podłogą.

— Kala Nagu! — zawołał Tumai, czując, że mu się zamykają powieki — Idź razem z Pudmini do obozu Sahiba Petersena, bo jestem tak zmęczony, że na pewno spadnę ci z grzbietu.

Obcy słoń spojrzał na odchodzących, sapnął z żalem, obrócił się i ruszył w inną stronę. Był on zapewne własnością któregoś z mniejszych królików i przebył co najmniej sto kilometrów drogi.

W dobre dwie godziny, gdy Sahib Petersen siedział przy śniadaniu, słonie, skrępowane na tę noc podwójnymi łańcuchami, zaczęły straszliwie trąbić, a jednocześnie wkroczyła do obozu Pudmini zabłocona, po uszy wraz z Kala Nagiem i półprzytomnym chłopcem na jego grzbiecie.

Tumai był siny na twarzy, a we włosach miał pełno liści, gałęzi i cierni. Zdołał jednak powitać Sahiba i krzyknąć:

— Widziałem taniec słoni! Widziałem taniec słoni… a teraz, już po mnie!

Kala Nag, wyczerpany zupełnie, położył się, a chłopak stoczył się z jego grzbietu i zemdlał.

Dzieci hinduskie są jednak bardzo odporne, przeto po dwu godzinach spoczynku, mały Tumai, leżąc w hamaku Sahiba, pokrzepiony szklanką gorącego mleka z odrobiną wódki i chininy, wsparty na własnym płaszczu wodza, zwiniętym w wałek, opowiadał swe przygody, a słuchali go z zajęciem starzy, doświadczeni, obrośli i pokiereszowani łowcy, patrząc nań jak na istotę z innego świata.

Tumai opowiadał, jak to czynią dzieci, urywanymi zdaniami, a dobiegłszy do końca przygód swych tej nocy, zakończył:

— A teraz na dowód, że nie skłamałem ni słowa, poślijcie ludzi! Niech zobaczą salę balową, wydeptaną przez słonie. Wiedzie do niej dużo śladów, bo aż zliczyć nie mogłem słoni, chociaż liczyłem na dziesiątki, a potem na dziesiątki dziesiątków. Rozszerzyły tę salę nogami tak, że rano była dużo większa niż w nocy. Widziałem to! Kala Nag wziął mnie z sobą! Toteż biednego Naga bardzo bolą nogi!

Tumai wyciągnął się potem w hamaku i zasnąwszy, spał aż do wieczora. A przez ten czas, idąc śladem słoni, Sahib Petersen i Maszua Appa przebyli kilkadziesiąt kilometrów po górach. Sahib już od lat osiemnastu łowił słonie, a przez ten czas raz tylko napotkał podobne miejsce. Maszua Appa, spojrzawszy raz jeden, poznał od razu, że jest to prawdziwa sala balowa, a dotknąwszy nogą udeptanej ziemi, rzekł:

— Chłopak mówił prawdę. Tej nocy tańczyły słonie. Naliczyłem przeszło siedemdziesiąt tropów przez samą tylko rzekę. Popatrz, Sahibie, tę korę na drzewie zdarł łańcuch nożny Pudmini. I ona tańczyła także!

Spojrzeli na siebie zdumieni, potem rozejrzeli się wokoło i dumali długo nad obyczajami słoni, równie niepojętymi dla brunatnych, jak i białych ludzi.

— Przez lat czterdzieści stąpam śladem słonia mego chlebodawcy, ale nie zdarzyło mi się usłyszeć, aby człowiek dorosły widział to, czego świadkiem był ten chłopak. Przysięgam na wszystko… zresztą nie ma co mówić… to coś niesłychanego!

Przed samą wieczerzą wrócili do obozu. Sahib Petersen jadał zawsze sam, ale czując, że się w obozie zbiera na uroczysty obchód, rozkazał wydać dodatkowo dwa barany i kilkadziesiąt sztuk drobiu, prócz tego zaś podwójne racje mąki, ryżu i soli.

Tymczasem Gruby Tumai przybył co prędzej z równiny w poszukiwaniu syna i słonia, a odnalazłszy obu, patrzył na nich z podziwem, graniczącym ze strachem.

Uroczystość odbyła się przy wielkich ogniskach obozowych, tuż obok stojących u słupów słoni, a bohaterem tej uroczystości był mały Tumai.

Podawali go sobie z rąk do rąk wysmukli, brunatni myśliwi i naganiacze, tropiciele, poskramiacze i przewodnicy, każdy znaczył mu czoło krwią świeżo ubitego cietrzewia i w ten sposób mały Tumai został pasowany na wolnego, wtajemniczonego we wszystko, myśliwego całej, ogromnej dżungli gór Garo.

Kiedy płomienie przygasły i od zarzewia węgli padła czerwona poświata na ciała zwierząt, wówczas Maszua Appa podniósł oburącz małego Tumaja ponad swoją głowę.

Był on naczelnikiem wszystkich łowców, panem wszystkich *kedda*, prawą ręką samego Sahiba Petersena, a przez lat czterdzieści stopa jego nie dotknęła bitego gościńca. Muszua Appa był tak wielki, że nie potrzebował innego miana, jak — Maszua Appa.

— Posłuchajcież mnie, bracia! — zawołał — Posłuchajcież mnie i wy stojący w szeregach! — dodał, zwracając się do słoni — Oto chłopiec ten od dziś nie będzie zwał się mały Tumai, ale Tumai, Przyjaciel Słoni, jak zwał się pradziad jego. On przez całą noc patrzył na to, czego dotąd nie widział nikt z ludzi, a stało się tak dlatego, ponieważ łaska ludu słoni i bogów dżungli go otacza. Zostanie on, zaiste, potężnym łowcą, większym nawet niźli ja, Maszua Appa. Bystre jego śledzenie wyśledzi każdy, zarówno świeży, jak i zatarty, powikłany trop, a w żadnej *kedda* nie poniesie szwanku. Choćby się rzucał najdzikszym samcom, chcąc je spętać, pod nogi i choćby się nawet potknął i upadł w największej ciżbie, żaden słoń go nie rozdepce, bo wszystkie go znają! *Ajhaj*! Słyszycie, czcigodni panowie, stojący w szeregach? — wołał, zwracając się do słoni — Oto chłopiec ten patrzył na wasz taniec, był w kryjówkach waszych i widział to, co zakryte jest dla oczu człowieczych. Uczcijcież go jak należy. Salaam Karo! Dzieci moje, pozdrówcie w języku własnym Tumaja, Przyjaciela Słoni! *Gungo Pershad, ahaa! Hira*

Guj, Birszi Guj, Kutter Guj, ahaa! I ty, Pudmini, widziałaś go Przy tańcu i ty ozdobo ludu słoni, Kala Nagu, *ahaa!* Pozdrówcie wszyscy razem Tumaja, Przyjaciela Słoni… *Barrao!*

Na to hasło wszystkie stojące w szeregu słonie podniosły w górę trąby i wydały ów grzmiący przeraźliwie okrzyk, owo trąbienie zbiorowe, jakie słyszy tylko sam wicekról Indii… Był to… *salaamut keddy*.

Dziś zabrzmiał on na cześć małego Tumaja, który widział to, czego nie był godzien przed nim żaden człowiek, który patrzył własnymi oczyma na taniec słoni przy księżycu, w samym sercu dżungli, na górach Garo.

Sziwa i konik polny

Pieśń, którą matka Tumaja usypiała dziecko

Sziwa, ten który ziarnem ponapełniał kłosy,
Ten, co wiatrami rządzi, ziemią i niebiosy,
Każdemu dał stworzeniu rozkazy łaskawe,
Co ma jeść, więc jedne mięso mają, inne trawę.
Każde go słuchać musi, od muszki do króla,
Bo włada szczęściem wszystkich — nędzą się rozczula.
Sziwa jest światem, a świat Sziwą!
Mahadeo! Mahadeo!
Wielbłądom osty, wołom zaś paszę dał Sziwa,
A karmiąc swe dzieci, matka nuci szczęśliwa.

Bogaczów karmi żytem, prosem zaś nędzarzy,
Świętych żebraków resztką, którą dać się zdarzy,
Tygrysy mają bydło, sępy to, co padnie,
Wilki kości, by każdy żywił się przykładnie
I nikt, wielki czy mały, nie przymierał z głodu.
Żona Sziwy, Parbati, z jakiegoś powodu,
W błąd go wprowadzić zdradnie sobie umyśliła,
Wzięła polnego świerszcza i na piersiach skryła.
Sziwa jest światem, czyliż go oszukać da się?
Mahadeo! Mahadeo!
Trudno ukryć wielbłąda, byka trudna rada,
Lecz jakże łatwo ukryć małego owada!
Gdy Sziwa dał rozkazy, spytała go żona,
Czy każda już istota świata nasycona?
Tak! — powiedział a w oczach miał uśmiech swawolny —
Wszystko syte, a nawet ten skryty świerszcz polny!
Parbati wstyd ogarnął wielki na te słowa,
Puściła świerszcza, on zaś już się w trawę chowa,
Szczypiąc pędy. Parbati hołd złożyła Sziwie,
Widząc, jak jest potężny i rządzi szczęśliwie.

Sziwa jest światem, a świat Sziwą!
Mahadeo! Mahadeo!
Wielbłądom osty, wołom zaś trawę dał Sziwa,
A karmiąc swe dziecię, matka nuci szczęśliwa!

W służbie królowej

W lewo, w prawo,
Rześko, żwawo,
Zawsze czujna, zawsze wraz,
Młódź marsowa,
Wciąż gotowa
Do apelu w każdy czas!

Lał deszcz od miesiąca, w potokach wody tonął obóz liczący trzydzieści tysięcy ludzi oraz tysiące wielbłądów, słoni, koni, wołów i mułów skoncentrowanych w Raval Pindi w celu odbycia przeglądu wojsk przez wicekróla Indii.

Do wicekróla przybył w odwiedziny emir Afganistanu wraz z ośmiuset konnymi gwardzistami swymi. Ani oni sami, ani konie ich nie widziały dotąd obozu ani lokomotywy, były to dzikusy skądś z głębi Azji przybyłe, zwłaszcza konie ich sprawiały dużo kłopotu. Każdej nocy można się było spodziewać, że cały tabun, przestraszywszy się byle czego, pozrywa uździenice, wpadnie na obóz, tratując wszystko po drodze i że spłoszone wielbłądy ruszą również na oślep, plącząc się w linach namiotów. Nie trudno sobie tedy wystawić, jaki nastrój panował pośród spragnionych snu ludzi, gdy nadchodził wieczór.

Namiot swój umieściłem z dala od wielbłądów, w miejscu, jak mi się zdawało, bezpiecznym, mimo to jednak pewnej nocy ktoś wsadził głowę przez otwór i wrzasnął przeraźliwie:

— Uciekaj! Spłoszyły się! Mój namiot przepadł!

Wiedziałem, co to znaczy, więc, wciągnąwszy co prędzej buty i narzuciwszy płaszcz gumowy, bez namysłu skoczyłem w pierwszą kałużę. Mały mój foksterier, Vixen, wysunął się za mną i w tejże chwili usłyszałem beczenie, chrząkanie i jęki, a także zobaczyłem, że namiot mój pochyla się i zatacza dziwne pląsy widmowe. Wielbłąd wyłamał drąg i zaplątał się w płótno i

liny, a widok był taki, że mimo złości i lejącego deszczu, roześmiałem się na głos. Potem ruszyłem przed siebie, bo nie wiedziałem, ile wielbłądów biega po obozie, a nie było dobrze spotkać się w ciemności z hordą tych zwierząt.

Wydostałem się poza obóz i błądząc po omacku, potknąłem się o odwłok lawety armatniej, z czego wywnioskowałem, że znajduję się na miejscu, gdzie stacjonuje artyleria. Nie mając ochoty łazić po błocie przez resztę nocy, wyszukałem kilka sporych drążków i z nich oraz z mego płaszcza urządziłem coś w rodzaju namiotu. Potem wyciągnąłem się na lawecie i zacząłem rozmyślać, co się mogło stać i gdzie mógł się po drodze zgubić Vixen.

Właśnie sen zaczął mi kleić powieki, gdy nagle posłyszałem brzęk łańcuchów uprzęży i kłapiąc mokrymi uszami oraz wydając ryki, przebiegł tuż koło mnie jakiś muł. Był to muł z baterii dział górskich, słyszałem bowiem wyraźnie brzęczenie żelaznych kółek i łańcuszków, jakich mnóstwo bywa na kulbakach tych zwierząt. Działa górskie składają się z dwu części, które łączą się w chwili stosownej, a w ten sposób na grzbietach mułów można je wynieść wysoko, po stromych ścieżkach, na których tylko zmieścić się może kopyto tego zręcznego bardzo zwierzęcia. W kraju górzystym działa te oddają wielkie przysługi.

Za mułem nadbiegł wielbłąd, długie jego nogi gięły się niezdarnie i ślizgały po błocie, przy tym kręcił na wszystkie strony głową, niby zabłąkana i przestraszona kura. Nauczyłem się od dawna języka zwierząt, nie tylko dzikich, ale i obozowych, przeto mogłem doskonale rozumieć, co mówią.

Był to widocznie ten sam wielbłąd, który obalił mój namiot, gdyż zawołał do muła:

— Co czynić? Dokąd uciekać? Wiodłem bój z jakąś białą, wiotką istotą, która wzięła kij i wymaściła mnie porządnie po głowie i grzbiecie. Co czynić dalej?

Ucieszyłem się, słysząc, jak został ukarany przez drąg namiotu, zaś muł odpowiedział:

— Więc to ty i twoi krewniacy narobiliście tyle zamieszania w obozie? Czekajcież, oćwiczą was, gdy tylko się rozwidni. Tymczasem pozwól, że ci dam małą zaliczkę.

To rzekłszy, wierzgnął dwa razy, aż zabrzęczała uprzęż i zadudnił wielki brzuch wielbłąda niby bęben.

— Odejdzie ci ochota wpadać po raz drugi na baterię mułów z okrzykiem: Uciekajcie! Strach… uciekajcie! Kładź mi się zaraz i przestań kręcić swą głupią głową.

Zwyczajem swoim wielbłąd zgiął się w kształt trójkąta, jęknął i legł w błocie, a w tejże samej chwili rozległ się tętent kopyt, nadbiegł równym, wojskowym kłusem koń kawaleryjski, przeskoczył lawetę i osadził się tuż obok muła.

— Trudno wytrzymać! — parsknął ze złością — Wielbłądy wpadły znów między nas, trzeci raz w tym tygodniu! Jakże ma stanąć na wysokości swego zadania koń, gdy mu się nie dadzą wyspać? Któż tu jest?

— Jestem mułem od spodniej części działa, numer drugi, pierwszej baterii górskiej! — odparł — A tu obok leży jeden z awanturników, którzy i mnie też zbudzili ze snu. Któż ty jesteś?

— Koń Dicka Cunliffa, numer piętnasty, batalionu E, dziewiątego pułku ułanów… Posuń no się trochę!

— O, przepraszam bardzo! — odparł muł — Ciemno, choć oko wykol. Nieznośne są te wielbłądy, toteż opuściłem obóz, by tutaj bodaj znaleźć trochę spokoju.

— Łaskawi panowie — ozwał się pokornie wielbłąd — jakieś okropne sny trapiły mnie, a widać także mych braci, tej nocy, tak że przestraszyłyśmy się bardzo. Jestem zwyczajnym wielbłądem jucznym 39 pułku piechoty i nie mam też tyle, co wy, odwagi.

— Po cóż zatem rozbijasz się po obozie, zamiast spać spokojnie, a w dzień nosić juki 39 pułku? — spytał muł.

— Miałem okropny sen! — usprawiedliwiał się wielbłąd — Ale cicho… coś idzie! Może trzeba znowu uciekać?

— Leż spokojnie, bo sobie połamiesz długie kikuty na tych oto armatach! — powiedział, potem zaś nastawił jedno ucho i

począł nadsłuchiwać.

— To woły artyleryjskie! — powiedział po chwili — No, ładnego zamieszania musiałyście narobić wy, głupie wielbłądy, kiedy przestraszyły się nawet woły artylerii ciężkiej!

Usłyszałem brzęk wlokącego się po ziemi łańcucha i za chwilę wpadły dwa woły, a tuż za nimi, następując niemal na łańcuch, przybiegł drugi muł, kwicząc przeraźliwie:

— Billy! Billy!

Olbrzymie, siwe woły ciągną spokojnie wielkie działa na pozycje wówczas, gdy z powodu bliskości linii ognia nawet słonie odmawiają usług.

— To nasz rekrut! — rzekł stary muł do konia kawaleryjskiego. — Woła mnie! Chodź no tu, żółtodziobie, uspokój się i przestań kwiczeć. Ciemność nie pożarła jeszcze nikogo!

Woły pokładły się tuż przy sobie i zaczęły przeżuwać, a młody muł przytulił się do starego i powiedział:

— Okropność się stała, Billy! Coś straszliwego wpadło na nas i zbudziło ze snu. Nie wiadomo, czy nie pozabija nas wszystkich!

— Cicho bądź, bo cię kopnę, aż spuchniesz! Jakże może muł z twoją postawą i wykształceniem kompromitować w ten sposób całą baterię wobec obcych!

— Daj mu pokój! — rzekł koń kawaleryjski — Pamiętaj, że każdy z początku robić zwykł głupstwa. Pamiętam dobrze, jak w Australii, mając trzy lata, uciekałem na widok człowieka. Goniono mnie przez pół dnia, a gdybym był wielbłądem, uciekałbym pewnie do dzisiaj.

Wszystkie niemal konie kawalerii angielskiej są pochodzenia australijskiego, a ujeżdżają je sami żołnierze.

— To prawda! — rzekł Billy — Nie dygoczże tak, smarkaczu. Gdy na mnie po raz pierwszy włożono kulbakę, stanąłem na przednich nogach i wierzgałem tak długo, aż ją zrzuciłem. Chociaż wówczas nie miałem wyobrażenia o właściwej sztuce wierzgania, mówiono jednak, że jak świat światem żaden jeszcze muł nie wierzgał tak konsekwentnie.

— Nie mam na myśli kulbaki, ani też owych hałaśliwych łańcuszków i kółek. Wiesz przecież dobrze, Billy, że sobie z tego nic nie robię od dawna. To, co na nas wpadło, wyglądało jakby las i straszliwie beczało i chrapało. Natychmiast pękła mi tręzla, straciłem z oczu przewodnika, nie mogłem znaleźć ciebie, Billy, więc uciekłem razem z tymi panami.

— Nazywasz panami artyleryjskie woły? Musiał ci strach pomieszać rozum, mój drogi. Ja, posłyszawszy, że wielbłądy się spłoszyły, wydaliłem się po prostu za obóz, by mieć spokój. A skądże wy jesteście, chłopcy? — dodał, zwracając się do wołów.

Obróciły strawę językami i odrzekły razem:

— Siódme jarzmo pierwszego działa ciężkiej artylerii. Spałyśmy, gdy napadły na nas wielbłądy, gdy zaś zaczęły po nas deptać, wyniosłyśmy się po prostu, bo lepiej leżeć spokojnie w błocie, niż dać się kopać na najlepszej podściółce. Mówiłyśmy oba temu młodzieńcowi, że nie ma się co bać wielbłądów, ale on był innego zdania… Buu!

Zaczęły na nowo przeżuwać, znużone długim mówieniem.

— No i cóż? — spytał Billy kolegi — Przyjemnie ci, że drwią z ciebie nawet woły artyleryjskie?

Młody muł zgrzytnął zębami i mruknął coś na temat, że nie zważa na starą wołowinę, ale woły trącały się rogami i uśmiechały się, żując dalej.

— Nie gniewaj się! — rzekł mu koń — Każdy może przestraszyć się w nocy rzeczy nieznanej sobie. Pamiętam, że kilka razy zrywaliśmy się w nocy z uwięzi, a było nas czterystu pięćdziesięciu, dlatego tylko, że jakiś rekrut naopowiadał nam niestworzonych rzeczy o tak zwanych wężach-biczach, napotykanych w Australii. Drżeliśmy ze strachu na widok własnych lejc, zwisających nam z karków.

— To wszystko nic podczas postoju! — rzekł Billy — Ja sam czasem lubię ponieść, zwłaszcza jeśli przez kilka dni nie biegałem, ale co czynisz, kiedy cię strach ogarnie pośród bitwy?

— To znowu co innego! — zawołał koń — W takiej chwili siedzi na mnie Dick Cunliffe, czuję ucisk jego kolan i nie mogę o

niczym innym myśleć tylko, jak się dać powodować cuglami.

— Cóż to znaczy powodować cuglami? — spytał młody muł.

— Cóż u licha! — parsknął koń — Więc was nie uczą wcale, jak się dać powodować cuglami? Cóż jesteście warci, jeśli nie umiecie zawrócić na miejscu, poczuwszy, że cugle dotknęły szyi? Idzie przecież o życie człowieka, a zatem i własne życie. Należy zawrócić wstecz, zebrawszy nogi pod siebie, a jeśli nie ma miejsca, trzeba stanąć dęba i zawrócić w tył na tylnych nogach. To jest jeden z wielu przykładów, jak się dawać powodować cuglami.

— Nas uczą inaczej! — odrzekł muł spokojnie — Uczą nas, że mamy słuchać człowieka, stojącego na czele pochodu. Mamy na jego rozkaz iść lub cofać się. Zdaje się, oba te sposoby prowadzą do jednego celu. No, ale cóż robicie prócz owych wspaniałych zwrotów i stawania dęba, co nuży chyba tylko wasze lędźwie, a na nic się nie przydaje.

— Różności! — odparł koń kawaleryjski — Najczęściej muszę pędzić galopem w tłum wrzeszczących, kosmatych ludzi z błyszczącymi nożami w rękach, ostrzejszymi jeszcze niż noże weterynarzy. W takiej chwili pamiętać muszę, by but Dicka dotykał niemal buta jego sąsiada po lewej, a o tym samym pamięta koń z prawej strony galopujący. Widzę lancę Dicka tuż nad prawym okiem i pewny jestem, że mi nic nie zagraża. Co prawda, gdy tak pędzimy, niedobrze robi się pewnie człowiekowi, czy koniowi naprzeciw nas i nie chciałbym być na ich miejscu.

— Czy te noże zadają rany? — spytał młody muł.

— Tak. Raz dostałem sztych w piersi, ale nie było w tym winy Dicka.

— Cóż mnie obchodzi kto winien, gdym ja ranny! — zawołał tenże muł.

— Powinno cię to obchodzić! — odparł koń — Jeśli nie ma się zaufania do człowieka, to najlepiej od razu uciec. Robi tak wiele koni i rozumiem doskonale ich postępek. Powtarzam tedy, że nie było w tym winy Dicka. Człowiek leżał na ziemi, więc dałem

susa, by go nie stratować, on zaś dał pchnięcie od spodu. Zapamiętałem to sobie i gdy mi teraz zdarzy się przejść przez obalonego człowieka, stratuję go kopytami na miazgę.

— Wszystko to wygląda dosyć głupio! — zaopiniował Billy — Noże nie są chyba żadną bronią, a niemiło je poczuć w ciele. Ja wolę wspinać się po stromych ścieżynach skalnych i wdrapywać o całe setki metrów powyżej wszystkich, a potem stać na cyplu, gdzie ledwo tyle miejsca, by pomieścić wszystkie cztery kopyta. To mi uciecha. Przy tym każdy idzie sobie sam, a człowiek nie trzyma go za głowę. Stoimy spokojnie, dopóki nie zmontują dział, a potem patrzymy, jak ponad lasami i dolinami śmigają ze świstem kule podobne do ziaren maku.

— Czyż nigdy nie pośliźnie się który z was lub nie potknie? — spytał koń.

— Powiadają, że gdy się muł potknie, można oberżnąć kurze ucho! — odparł Billy — Tylko źle dopasowane siodło, które się przekręci, lub źle rozłożony ciężar może narazić muła na utratę równowagi. Ale nie zdarza się to prawie nigdy. Przepyszne jest nasze zajęcie. I, wyobraź sobie, przez trzy lata nie mogłem pojąć, czego ludzie domagają się ode mnie. Teraz już wiem. Cała sztuka w tym, by nie pokazywać się na tle nieba, bo wówczas sypią się zaraz kule z przeciwka. Pamiętaj sobie, żółtodziobie, że zawsze stawać tak należy, by skały były poza tobą, wówczas ci z przeciwka nie widzą ciebie. Warto dla celu tego nałożyć nawet kawał drogi. Ja, gdy idzie o taki spacer, prowadzę zawsze całą baterię.

— Jak to? Stać pod ogniem i nie rzucić się na przeciwnika! — zawołał koń — Nie! Tego bym nie potrafił. Pogalopowałbym, rozumie się, z Dickiem na grzbiecie!

— Nigdy w świecie! To nie miałoby sensu! — odparł muł — Działa same załatwiają się z wrogiem. To jest walka postępowa… nie jakieś tam głupie noże!

Od chwili ruszał już głową wielbłąd, chcąc wtrącić słówko. W końcu, nie mogąc wytrzymać, parsknął i ozwał się nieśmiało:

— I ja też wojowałem trochę, ale nie łaziłem po urwiskach, moi panowie!

— Spodziewam się! — rzekł Billy — Z takimi patykami zamiast nóg trudno dać sobie radę na górach, a nawet do uczciwego biegania nic nie są warte. Ale opowiedz no, jak wojowałeś, szanowna kopo siana?

— Oto tak… — odrzekł — kładziemy się rzędem na ziemi i…

— I co? — zaśmiał się koń — Jakże się to walczy, leżąc? Gadaj.

— Kładziemy się… jest nas sto lub jeszcze więcej… i tworzymy czworobok. Ludzie obkładają nas zewnątrz Jukami i siodłami i strzelają ze środka ponad nasze grzbiety.

— Jak to? Jacyż to ludzie… pierwsi lepsi ludzie? — dziwił się koń — I nas uczą w ujeżdżalni kłaść się i pozwalać ponad sobą strzelać, ale nie może tego uczynić pierwszy lepszy człowiek. Tylko memu Dickowi mogę pozwolić na coś podobnego, gdyż mam doń zaufanie, a i tak strzelanina taka łaskoce mnie po brzuchu, a ponadto gniewa, bo mając głowę przy ziemi, nie mogę widzieć, co się dzieje.

— Mnie tam wszystko jedno kto strzela! — oświadczył wielbłąd — Jest mnóstwo wielbłądów, chmary ludzi, kłębi się czarny dym, a ja sobie leżę, nie boję się nic a nic i czekam spokojnie końca.

— Więc nie boisz się ognia karabinowego, a z powodu głupiego snu alarmujesz cały obóz? — rzekł koń — Ładna sprawa! Zanim bym pozwolił byle komu powalić się na ziemię… bo nie mówię już o dobrowolnym położeniu się… i zanim by urządzono sobie pukaninę, zasłaniając się moim ciałem, dużo głów zapoznałoby się z moimi kopytami. Wszakże narażonym się jest niemal na pewną śmierć! To straszne!

Nastało długie milczenie. Wreszcie podniósł swą ciężką głowę jeden z wołów i powiedział:

— To wszystko nic nie warte! Istnieje jeden tylko skuteczny sposób wojowania.

— Acha! — ozwał się z przekąsem Billy — I te opasy wymyśliły coś… proszę… proszę!

— Jeden jest tylko skuteczny sposób — powtórzyły tym razem oba (musiały być bliźniętami) — a polega na tym, że skoro tylko zatrąbi Dwuogoniasty, zaprzęga się dwadzieścia par wołów do wielkiego działa…

Dwuogoniastym w obozie przezywają słonia z powodu trąby i ogona po dwu końcach ciała.

— Po cóż trąbi Dwuogoniasty? — spytał muł.

— Zawiadamia, że ma dość i nie zbliży się ni na krok ku linii czarnych dymów wznoszących się naprzeciwko. Jest to tchórz, jakich mało. Otóż wtedy wszyscy razem równiuteńko ciągniemy działo przy okrzykach: *hejaa!… hulaa!… hejach!… hulaa*! Nie łazimy po skałach, nie leżymy w prochu, nie biegamy jak gżące się cielęta, ale idziemy spokojnie po równej płaszczyźnie, dopóki nas nie odprzęgną. Wtedy wielkie działo zaczyna sobie pogawędkę z działami z przeciwka albo z jakimś miastem otoczonym wałami i wały te rozpadają się, tworząc kłęby kurzu, jakby szły ogromne stada bydła. Wszystko to dzieje się samo, a my pasiemy się spokojnie na miejscu.

— Jak to? W takiej chwili pasiecie się? — zawołał młody muł.

— Wszystkie chwile są równie dobre, o ile idzie o jedzenie! — odrzekły — Pasiemy się, dopóki nas znowu nie zaprzęgną i ciągniemy działo z powrotem do Dwuogoniastego, który czeka na nas. Czasem w owym mieście naprzeciwko są także wielkie działa, a wówczas zdarza się, że padnie z nas kilka czy kilkanaście. Ale w takim razie więcej pozostaje paszy dla tych, co nie polegli. To się nazywa los… i basta! Prawdę mówiąc, Dwuogoniasty jest wielkim tchórzem. Taki to jest, łaskawi panowie, jedyny skuteczny sposób wojowania. Jesteśmy braćmi, pochodzimy z Harpuru, a ojcem naszym był święty byk, poświęcony Sziwie.

— Dziwnych rzeczy dowiedziałem się tej nocy! — zauważył koń — Jakże się wam podoba to, panowie z baterii górskiej? Czy macie apetyt w chwili, kiedy walą do was z ogromnych dział, a za wami trąbi Dwuogoniasty?

— Nie podoba nam się to wcale! — zawołały oba muły — Podobnie zresztą jak kładzenie się na ziemi, by poprzez nas strzelano, albo rzucanie się na tłumy uzbrojone w noże. Jedyny sposób walki to wspinanie się po skałach z ładunkiem doskonale zrównoważonym, pod opieką zaufanego przewodnika, który nie krępuje w wyborze drogi… Wszystko inne to głupstwo!

— Widocznie — rzekł koń — nie wszyscy nadają się do tego samego, a ze słów twoich widzę, iż odzywają się w tobie instynkty ojca, który pono nie może zrozumieć wielu rzeczy…

— Wara ci od mego ojca! — wrzasnął muł rozgniewany. Wiadomo, że ojcem muła jest osioł, przeto wzmianka ta doprowadziła go do pasji. — Ojciec mój pochodził ze znakomitego rodu, przybył z południa, a umiał uczyć rozumu każdego konia, który by się ośmielił zastąpić mu drogę! Pamiętaj o tym, bezczelny *brumby*!

Koń wyścigowy nazwany szkapą przez dorożkarską wywłokę nie mógłby się czuć bardziej obrażony niż australijski rumak. Błysnął w ciemności białkami oczu i syknął przez zęby:

— Wiedz o tym, potomku osła malajskiego, że jestem synem słynnej Carbiny, pierwszej klaczy wyścigowej z toru w Melburn. Toteż nie zniosę ordynarnych ryków muła o garbatym nosie i świńskim łbie, który dźwiga po górach pukawki, strzelające makiem.

— Chodź! Pokosztuj moich kopyt, jeśli masz odwagę! — kwiknął Billy.

Obaj stanęli dęba i byłoby przyszło do ostrego starcia, gdyby nie głuchy, chrapliwy i dudniący głos, jaki doleciał z prawej strony.

— Cicho bądźcie, dzieci! Nie ma się o co bić!

Odskoczyli od siebie, parskając ze wstrętem, gdyż zarówno muł, jak i koń nie mogą znosić głosu słonia.

— To Dwuogoniasty! — zawołał koń — Nie cierpię go, zwłaszcza gdy mówi. Mieć ogony z przodu i z tyłu, to stanowczo za dużo na porządne zwierzę.

— Jestem tego samego zdania! — zgodził się muł — Widocznie mamy wspólne upodobania!

— To dziedzictwo po matkach! — powiedział koń. — Nie warto się tedy sprzeczać! Hej, czy jesteś przywiązany, Dwuogoniasty?

— Naturalnie! — odparł słoń i zaśmiał się całą trąbą. — Stoję u pala i słyszałem wszystko, coście gadali. Nie bójcie się, nie przyjdę do was!

Woły i wielbłąd mruknęły półgłosem, że ani im się śni bać się Dwuogoniastego, ale woły dodały zaraz po cichu:

— Przykro nam, że wszystko słyszał. Mimo to faktycznie tchórz zeń wielki!

Potem zaś spytały głośno:

— Czemu się boisz ognia armatniego, Dwuogoniasty?

— Hm… — mruknął słoń, przestępując z nogi na nogę niby chłopiec nie umiejący lekcji. — Pytacie, czemu się boję? Powiedziałbym wam, ale nie wiem, czy pojmiecie to?

— Może być! Wiemy natomiast, że należy działa ciągnąć aż do końca i basta!

— I ja to wiem dobrze! Muszę wam nawet przyznać, że macie więcej odwagi, niż same sądzicie. Ze mną natomiast rzecz ma się inaczej. Kapitan mojej baterii nadał mi niedawno miano: *anachronismus pahydermatus*.

— To widać nowy sposób wojowania! — odezwał się Billy.

— Nie wiecie, co to takiego, ale ja wiem. To znaczy: ni pies ni wydra, coś na kształt świdra! Mam ordynarną skórę, ale subtelny rozum. W tym cała bieda. Ja widzę dokładnie wewnątrz swojej głowy, co nastąpić może po wybuchu pocisku. Wy, woły, nie macie zaś o tym wyobrażenia.

— Znam się trochę na tym! — oświadczył koń — ale staram się nie myśleć!

— Ja znam się na tym bardzo dobrze, a żadna siła nie może sprawić, bym nie myślał. Nie zapominam też, że wielkie ciało moje stanowi dobry cel i że go ochraniać muszę, a przy tym nie

ma takiego weterynarza, który by wiedział, jak mnie ratować, gdy zachoruję. Co najwyżej wstrzymają pensję memu kornakowi, póki nie wyzdrowieję, ale to mała pociecha. Poza tym nie mam żadnego zaufania do mego kornaka.

— Tu właśnie cały błąd! — zawołał koń — Ja ufam ślepo memu Dickowi.

— Choćby cały pułk Dicków usadowił się na moim grzbiecie, nic mi to nie pomoże. Myślenie moje daje mi tylko świadomość niebezpieczeństwa, że mnie ono napawa niepokojem, natomiast nie sięga tak daleko, abym, mimo tego niebezpieczeństwa, miał obraz jasny czegoś, co by mi pozwoliło iść mężnie w ogień.

— Nie rozumiemy nic a nic! — rzekły woły.

— Wiem o tym i nie do was mówię. Nie macie pojęcia, co to jest krew!

— Krew? — ryknęły woły — To przecież czerwony płyn, co wsiąka w ziemię i ma niemiłą woń.

Koń wierzgnął, parsknął i zawołał:

— Nie chcę o tym słuchać! Samo wspomnienie dreszczem mnie przejmuje. Uciekam, ile razy zobaczę to paskudztwo, oczywiście, o ile Dick nie siedzi na mym grzbiecie!

— Uspokój się! — zawołały woły i wielbłąd — Tu wcale nie ma krwi!

— To rzecz szkaradna! — powiedział Billy — Nie uciekam na jej widok, ale wolę o tym nie myśleć.

— Otóż to… teraz jesteśmy w domu! — zawołał Dwuogoniasty.

— Jak to w domu? — zdziwiły się woły — Tu nie ma obozu. Przez całą noc jesteśmy w polu!

Dwuogoniasty tupnął, aż zabrzęczał łańcuch na jego nodze.

— Cicho! Nie do was gadam. Wy nie jesteście w stanie widzieć nic we wnętrzu swej głowy.

— No tak! Wystarczy patrzyć oczyma na to, co się dzieje na świecie. To wystarcza!

— Gdyby tak tylko było, a ja bym umiał ową sztukę, nie potrzeba by was było w armii do ciągnięcia dział. Gdybym

znów miał tyle rozumu co mój kapitan, który wszystko widzi w swej głowie, jeszcze zanim się rozpocznie walka i drży, ale posiada coś, co mu dodaje odwagi, by nie uciekać, natenczas ja sam ciągnąłbym działo prosto na linię bojową, więc znowu wy byście były zbyteczne. Ale z drugiej strony w wypadku drugim i mnie by tu nie było, bowiem nie dałbym się schwytać i teraz oto żyłbym sobie swobodnie pośród lasów, śpiąc przez pół dnia i kąpiąc się, kiedy zechcę. Mówiąc nawiasem, od miesiąca już nie wykąpałem się jak należy!

— Sprytnie wykalkulowałeś to wszystko, Dwuogoniasty — rzekł Billy — ale najdłuższa mowa nie zrobi z tchórzostwa bohaterstwa!

— Cicho! — przerwał koń — Zdaje mi się, że wiem, co ma na myśli Dwuogoniasty.

— Zaraz wam to wyłożę jasno! — wrzasnął rozgniewany słoń — Wytłumaczcież mi, dlaczego na przykład nie lubicie… tego?

Zaczął trąbić z wściekłością.

— Przestań! Przestań — poprosiły razem muły i koń, drżąc na całym ciele, albowiem niemiłe zawsze trąbienie słonia staje się wprost nie do zniesienia wśród ciemnej nocy.

— Nie przestanę! — trąbił słoń — Wytłumaczcież mi to! *Hrrmf! Rrrt! Rrrt! Rrrha!*

Urwał nagle, a ja posłyszałem cichy skowyt mego małego foksa, Vixena. Pies znalazł mnie nareszcie, a wiedząc, że słoń niczego bardziej się nie lęka niż szczekania małego pieska, zaczął ujadać u nóg przywiązanego u pala Dwuogoniastego, a olbrzym kręcił się, ogromnie zaniepokojony.

— Idź sobie, mały piesku! — wołał — Nie obwąchuj mi kostek, bo cię kopnę! Drogi, mały piesku, proszę cię, idź do domu, tu niemiło i deszcz pada! Idziesz precz, wyjąca kanalio! Ach, czyż nie ma tu kogo, co by zabrał ode mnie tego nieszczęsnego psa? Czuję, że za małą chwilę ugryzie mnie!

— Nasz mężny Dwuogoniasty boi się widać wszystkiego! — rzekł Billy do konia — Gdyby mi za każdego kopniętego psa zapłacono naręczem siana, doszedłbym do tuszy słonia.

Gwizdnąłem z cicha i Vixen przybiegł do mnie. Był zabłocony po same uszy, ale radował się, lizał mnie po twarzy i opowiadał o swych poszukiwaniach po całym obozie. Nie chcąc go zbytnio spoufalić, nie dałem mu nigdy do poznania, że znam język zwierząt. Okryłem go płaszczem, a Dwuogoniasty kręcił się dalej, mrucząc:

— Ach! boję się… boję… to już dziedziczne w naszym rodzie! Gdzież się u licha podział ten przeklęty pies? Czyha pewnie po ciemku na moje nogi!

Słyszałem, jak maca trąbą wokoło.

— Widać, że każdy z nas ma swe słabostki! — powiedział po chwili — Panowie także przestraszyliście się mego trąbienia.

— Nie przestraszyłem się — rzekł koń — tylko — wydało mi się, że mnie obsiadła chmara szerszeni. Dajże już pokój temu trąbieniu!

— Ja przestraszyłem się małego pieska, a wielbłąd własnego snu.

— Jak to dobrze — zauważył koń — że walczymy każdy na swój sposób!

Młody muł, który milczał długo, spytał teraz:

— Ciekawym, po co my w ogóle musimy walczyć?

— Bo taki jest rozkaz! — parsknął wzgardliwie koń.

— Taki rozkaz! — powtórzył Billy i klapnął zębami.

— *Hukm hai!* (taki rozkaz) — zabeczał wielbłąd, a Dwuogoniasty i woły powtórzyły: — *Hukm hai!*

— Któż wydaje rozkazy? — spytał muł.

— Przewodnik.

— Jeździec.

— Ten, co ciągnie za nos na sznurze.

— Ten, co targa za ogon.

Tak odpowiadał każdy.

— A kto im wydaje rozkazy? — spytał muł.

— Zanadtoś ciekawy, młokosie! — powiedział Billy — Należałoby ci się za to kopnięcie. Wystarczy, jeśli będziesz

słuchał człowieka, wydającego ci rozkazy, reszta, to rzecz zbyteczna!

— To słuszne! — oświadczył Dwuogoniasty — Ja sam, co prawda, nie zawsze mogę to uczynić, gdyż jestem, jak wiadomo, ni pies, ni wydra, ale Billy powiedział prawdę. Słuchaj człowieka, kroczącego obok ciebie i pełń jego rozkazy, inaczej bowiem zatrzymasz całą baterię i dostaniesz lanie!

Woły wstały, zabierając się do powrotu.

— Zaczyna świtać! — rzekły — Wracamy do stajni. Prawda, że widzimy tylko to, co mamy przed oczyma, a nie dostrzegamy nic we wnętrzu głowy. Ale w każdym razie my jedne w ciągu tej nocy nie doznałyśmy strachu. Bądźcież zdrowi, mężni wojownicy!

Nikt się nie odzywał, a koń, chcąc zmienić temat, spytał:

— Gdzież się podział ów pies? Jego obecność świadczy, że musi tu być niedaleko człowiek.

— Tu jestem! — szczeknął Vixen — Siedzę na lawecie koło mego pana. Ty, głupi wielbłądzie, zburzyłeś nam namiot. Mój pan zły jest bardzo na ciebie!

— Ooo… — rzekły woły — To pewnie biały człowiek?

— Oczywiście! — odrzekł foks. — Czy myślicie, że mam za pana brudnego wołopędka?

— *Buuu Uuu! Ueh*! — zaryczały woły — Umykajmy co tchu!

Rzuciły się naprzód tak gwałtownie, że jarzmo utknęło na jaszczyku pobliskim i zaplątało się w nim.

— Ładnieście się urządziły! — rzekł Billy drwiąco. Nie szarpcież daremnie! Musicie stać tu aż do rana. Cóż was tak nagle przeraziło?

Woły sapały, świstały zwyczajem bydła indyjskiego, szamotały się, pchały jeden na drugiego, cofały, tupały i porykiwały z wielką trwogą.

— Poskręcacie sobie karki! — zwrócił im uwagę koń — Czegóż się tak boicie białych? Ja obcuję z nimi ciągle i nie

zauważyłem nic strasznego!

— Jak to? Wszakże oni nas… zjadają! — jęknął jeden i krzyknął drugiemu — Szarp, a mocno!

Jarzmo pękło z trzaskiem, a woły oddaliły się ciężkim truchtem.

Dotąd nie wiedziałem, czemu bydło indyjskie umyka na widok Anglika. Teraz dopiero wyjaśniło mi się, że przyczyną tego jest, iż my jadamy wołowinę, której nie tknie żaden poganiacz hinduski.

— Niech mnie wybiją łańcuchem od kulbaki, jeśli przypuszczałem, by te tłuściochy mogły aż do tego stopnia stracić głowę! — rzekł Billy.

— Pal ich licho! — odparł koń — Muszę znaleźć tego człowieka. Biali miewają czasem w kieszeni różne dobre rzeczy!

— Ano, to żegnam! — ozwał się Billy — Nie przepadam wcale za nimi. Zresztą biali, nie mający gdzie spać, są to przeważnie złodzieje, a ja noszę na grzbiecie sporo rzeczy, będących własnością rządową. Chodź ze mną, młokosie! Bądź zdrów, Australczyku. Zobaczymy się jutro na przeglądzie! Żegnam cię, stogu siana, i życzę, byś miał sny miłe oraz umiał opanować wzruszenie. Żegnam cię, Dwuogoniasty! Gdy będziesz przechodził koło nas, nie trąb, bo nam to miesza szyki!

Billy ruszył zawodowym krokiem starego żołnierza, koń zaś zbliżył się do mnie i wietrzył wokoło, tak, że musiałem mu dać kawałek biszkoptu.

Mój Vixen, blagier pierwszej wody, rozmawiał z koniem i nagadał mu niestworzonych rzeczy, ile to on i ja koni posiadamy.

— Jutro jadę na przegląd w swym nowym powozie! — powiedział — A gdzie ty będziesz?

— Na lewym skrzydle drugiego eszelonu! — powiedział uprzejmie koń — A teraz żegnam, muszę wracać do Dicka, zabłociłem sobie ogon, a biedny chłopiec namorduje się niemało, zanim go doprowadzi do porządku.

Nazajutrz koło południa odbył się wielki przegląd wojsk. Vixen i ja zajmowaliśmy wygodne stanowiska, niedaleko wicekróla i emira Afganistanu, ubranego w wysoki futrzany kołpak z ogromną, brylantową gwiazdą pośrodku. Gdy rewia się rozpoczęła, zabłysło słońce, a pułki, maszerujące jeden za drugim, wyglądały wspaniale. Płynęły szeregi, poruszały się zgodnym ruchem nogi, a pochylone pod jednym kątem karabiny rzucały snopy skier. Po piechocie ukazała się jazda, maszerując przy dźwięku marsza kawaleryjskiego *Bonnie Dundee*, a na ten odgłos Vixen, siedzący ze mną w powozie, nastawił uszu. Gdy nas mijał drugi eszelon ułanów, zobaczyliśmy australijskiego rumaka z jedwabistym ogonem, ściągniętą pod piersi głową, jednym uchem wstecz, a drugim wprzód skierowanym. Prowadził on rzeczywiście cały eszelon, a tak zgrabnie przebierał nogami, iż zdawało się, jakoby tańczył walca. Po konnicy szły ciężkie armaty. Ujrzałem Dwuogoniastego, ciągnącego wraz z dwoma towarzyszami ogromną kolubrynę oblężniczą, za nim zaś kroczyło dwadzieścia par wołów w jarzmach. Siódma para miała nowe jarzmo i posuwała się krokiem niepewnym, wyrażającym znużenie. Na końcu zjawiły się działa górskie, muł Billy miał na sobie wyczyszczoną, połyskującą uprzęż, a z miny jego zdawało się, że dowodzi całą armią. Sam jeden dałem mu brawo, ale Billy był zbyt służbisty, by się oglądać.

Niespodzianie lunął znowu deszcz, a mgła przysłoniła ruchy wojsk. Pośrodku równiny zatoczono półkole, po czym flanki jego prostowano powoli. Szeregi wydłużały się coraz to bardziej, aż wreszcie stanął jednolity mur piersi ludzkich, koni i oręża. Za chwilę cała ta masa ruszyła wprost na wicekróla i emira. Szli, a ziemia zaczęła drżeć, niby pokład okrętu podczas przyspieszonego biegu maszyn.

Niepodobna objaśnić temu, kto nie zna sprawy sam, jak silne daje wrażenie taki niewstrzymany marsz wojsk wprost na widza. Dreszcz go przenika, mimo, że wie, iż jest to tylko ćwiczenie. Patrzyłem na emira. Dotąd nie objawiał żadnych

uczuć i pozostał obojętny, teraz jednak rozszerzyły mu się oczy, ściągnął cugle i obejrzał się za siebie. Wydało mi się, że lada moment sięgnie po szablę i ucieknie, wyrąbując sobie drogę przez tłum Anglików obojga płci, znajdujący się w tyle. Marsz ustał nagle, ziemia drżeć przestała, wojsko zasalutowało, a jednocześnie zagrzmiało trzydzieści orkiestr.

Przegląd był skończony, a pułki pod ulewą odchodziły na swe stanowiska. Mimo deszczu, śpiewała piechota:

Każde zwierzę szuka pary…
Hurra!
Każde zwierzę szuka pary,
Słoń i wielbłąd i muł szary!
Wchodzą w arkę zwierząt krocie,
Aby nie utonąć w błocie!
Hurra!

Jeden z przybyłych z emirem wodzów, stary, siwy jegomość o długich włosach, spytał któregoś z oficerów Hindusów:

— Powiedz mi, jakimi środkami osiągacie takie cuda?

— Wydano rozkazy i spełniono je! — odrzekł oficer krótko.

— Jak to? Czyż i zwierzęta rozumieją rozkazy?

— Są równie jak ludzie posłuszne! Muł, koń, słoń i wół są powolne przewodnikom, przewodnik słucha sierżanta, sierżant porucznika, porucznik kapitana, kapitan majora, major pułkownika, pułkownik brygadiera, który ma pod rozkazami trzy pułki, brygadier generała, ten zaś słucha wicekróla, który jest sługą cesarzowej Indii. To cała tajemnica!

— Inaczej jest u nas w Afganistanie! — rzekł wódz azjatycki — Tam każdy pełni tylko własną wolę.

— Dlatego to — odparł oficer, pokręcając wąsa — emir wasz, którego słuchać nie chcecie, przybywa po rozkazy do naszego wicekróla.

Śpiewka zwierząt obozowych podczas rewii

Słonie

Od nas to wziął zaiste Aleksander siły,
Myśmy go też rozumu i sprytu uczyły,
My do wytrwałej pracy bojowej jedyne!
Z drogi! Dwuogoniaści ciągną kolubrynę!

Woły artyleryjskie

Słoniom nie w smak kul świstanie,
Dym źle oddziałuje na nie,
W bitwie myśmy są jedyne!
Z drogi! Woły ciągną kolubrynę!

Konie kawaleryjskie

Nie ma piosnki nad te tony,
Co brzmią, gdy walą dragony,
Nade wszystko milej brzmi:
Marsz konnicy: *Bonn Dundee!*

Dobra pasza, trężla równa,
Własny jeździec… to rzecz główna,
Leci szwadron, kiedy brzmi
Marsz konnicy: *Bonn Dundee!*

Muły baterii górskiej

Śmiało, hej, śmiało na góry, na szczyt!
Choć przepaść wokoło, to cofać się wstyd!
Po perciach, wiszarach, pod chmury się pną
Te muły, co w wojsku chwatami być chcą!

Jak dzielnie prowadzi nasz sierżant wśród gór,
Masztalerz wie także, że siodło nie wór…
Na szczyty niesiężne ostrożnie się pną
Te muły, co w wojsku chwatami być chcą!

Wielbłądy juczne

Smutny los! Smutny los!
Każdy zwiesza nos!
Kij po żebrach skocznie gra:
Ratatatataaaa…!

Darmo krzyczeć: — Nie chcę biec!
Jeszcze gorzej lec…
Gdy ładunek zleci z garba
Biją, aż się puszcza farba…

Smutny los! Smutny los!
Beczym ciągle w głos
I znów kij po żebrach gra:
Ratatatataaa…!

Chór zwierząt

Nie ważąc, czy mamy siły,
Wszystkieśmy się poświęciły,
W jukach, wierzchem albo w wozie,
Służym już od lat w obozie,
Spełniając rozkazy.

Bez nas nie byłoby wojny…
Przez nas minął czas spokojny,
Bo człek rady sobie nie da…
Wielka to wojować bieda!

Ale rozkaz tak niemiły
Chce, byśmy się poświęciły,
Przeto w jukach, wierzchem albo w wozie
Służym już od lat w obozie,
Spełniając rozkazy.

Przypisy:

[1] *mila* — chodzi o milę angielską, równą ok. 2 km.

[2] Mroźne Pieczary — w oryg. Cold Lairs. Nazwę taką zyskały zapewne z powodu swojej architektury przywodzącej na myśl lodowe formy tworzone przez mróz oraz z uwagi na chłód w nich panujący.